

DROGA

Kolekcja
Emila Kornasia



N7-8

MIESIĘCZNIK

D R O G A

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWIE ŻYCIA POLSKIEGO

ROK 1935

ROK XIV

Nr. 7-8

T R E Ś Ć

Władysław Maliniak: Józef Piłsudski jako polityk romantyczny (I)	585
Konrad Winkler: Andrzej Pronaszko	603
T. Z. Krępski: O niepokoju chrześcijańskim	616
Stefan George: Poezje. Przełożył Leopold Lewin	626
Marjan Promiński: Ksenia Pietrowna Łukiczewna. Fragment powieści	629
Józef Czechowicz: Hildur, Baldur i Czas	641
Paul Claudel: Młodość Violeny (akt II i III). Przełożył Roman Kołoniecki	643
Zygmunt Szempliński: Uprzemysłowienie Z.S.R.R. a sprawy narodowościowe	667
Emil Bobrowski: Sprawa Stanisława Brzozowskiego. Akta Sądu Obywatelskiego (VI)	673
SZTUKA. Wystawa zbiorowa Tytusa Czyżewskiego, Leopolda Gottlieba i Jacka Mierzejewskiego w Instytucie Propagandy Sztuki (K. Winkler)	700
KSIAŻKI. J. E. Skiński: Naprzelaj. Jerzy Liebert: Pisma, tom I. Jerzy Putrament: Wczoraj powrót (L. Fryde). — Florjan Znaniński: Ludzie terazniejsi a cywilizacja przyszłości. „Nowe Państwo” (Al. S.) . . .	703

CENA NINIEJSZEGO NUMERU ZŁ. 3.—

DROGA Nr. 7-8

Kolekcja
Emila Kornasia



WŁADYSŁAW MALINIAK

JÓZEF PIŁSUDSKI JAKO POLITYK ROMANTYCZNY

§ 1. Bismarck nie uważał niepodległości Polski za jałową romantykę. — § 2. Niepodległość Polski a „Tygodnik Pruski“. — § 3. Bismarck a restytucja Polski w czasie Wojny Krymskiej (1853 — 56). I. Rusofilskie stanowisko Bismarcka. II. Wojna z Rosją wysuwa kwestję niepodległości Polski. III. Wojna z Rosją uniemożliwi zjednoczenie Niemiec. IV. Rosja jest niezniszczalna. — § 4. Bismarck przeciwko Polsce w r. 1863. — § 5. Bismarck za niepodległością Polski. — § 6. Waldersee za niepodległością Polski. — § 7. Bismarck: Nie można „zdruzgotać“ narodu polskiego. — § 8. Wilhelm II za niepodległością Polski przed r. 1906. — § 9. Stanowisko niemieckich sfer miarodajnych a stanowisko endecji i esdecji. — § 10. Ocena stanowiska Bülowa. — § 11. Dwutorowość polityki Bismarcka w sprawie polskiej. — § 12. Szkodliwość logiki abstrakcyjnej w polityce. — § 13. Niepodległość Polski trwała wytyczną miarodajnej polityki Niemiec.

§ 1. Bismarck nie uważał niepodległości Polski za jałową romantykę.

„Romantyka polska jest polityczna — polityka polska jest romantyczna“. Te słowa Bismarcka zrodziły się z niewątpliwej intencji ironicznej, a pomimo to zawarta w nich jest prawda znacznie bardziej doniosła, niż sam autor, w chwili jej wygłaszania, sądził. Waga tego powiedzenia polega na tem, że raz jeszcze przypomina ono równie prostą jak i bezsporną prawdę, iż nie samym chlebem człowiek żyje. Pomimo całej bezsporności tego pewnika, należy go jednak ustawicznie przypominać i ironja Bismarcka na temat romantyczności polityki polskiej jest właśnie dowodem najwymowniej świadczącym o tem, iż ustawiczne przypomnianie tej prawdy jest nieodzowne.

Przecież nikt inny lepiej niż Bismarck sam nie zdawał sobie sprawy z tego, że niepodległość Polski bynajmniej nie jest dążeniem romantycznym

w tem znaczeniu, iż właśnie ta romantyka pragnienie niepodległości, już *ipso facto*, pozbawiała realności politycznej. Bismarck restytucję Polski uważał zarówno za zupełnie możliwą, jak i niezmiennie aktualną — a nawet, w pewnej określonej sytuacji, za konieczną z punktu widzenia interesów Niemiec, względnie Prus. Sytuacją tą być miała wojna Prus, później zaś Rzeszy z Rosją. Bismarck zdecydowany był w wypadku takiej wojny Polskę restytuować. Słuszności tego twierdzenia w niczem nie osłabia fakt, że Bismarck również konsekwentnie uprawiał politykę antypolską i to zarówno podczas wojny krymskiej (1853 — 56), jak i w czasie powstania w r. 1863, jak też i później. Bismarck bowiem restytucję Polski uważał za nieuniknioną na wypadek wojny z Rosją, dlatego też za wszelką cenę dążył do jej uniknięcia, w szczególności zaś nie chciał, żeby jedną z przyczyn tej wojny była kwestja polska. Dlatego też, o ile tylko było to w jego mocy, kwestji tej usiłował nadać piętno beznadziejności przez wynarodowienie Polaków. Poza tem stosunek Bismarcka do polityki antypolskiej łączył się też organicznie z innemi zagadnieniami polityki wewnętrznej — przedewszystkiem z Kulturkampfem (1871 — 87), a Polacy i w tej sprawie uprawiali opozycję.

§ 2. Niepodległość Polski a „Tygodnik Pruski”.

Program restytucji Polski wyznawała w Prusiech t. zw. partja *Tygodnika Pruskiego* (*Preussisches Wochenblatt*). Nazwa ta pochodziła stąd, że od stronnictwa konserwatywnego odłączyła się niewielka grupa konserwatystów umiarkowanych, która założyła *Tygodnik Pruski*, co było wypowiedzeniem walki *Gazecie Krzyżowej* (*Kreuzzeitung*). Na czele tej grupy stał wybitny prawnik Moritz August v. Bethmann - Hollweg. Oprócz niego należeli do niej Robert v. d. Goltz, Alb. Pourtalès i radca Mathis — wierny wyznawca ministra spraw zagranicznych Radowitza, zmarłego w r. 1853.

Z nowym tym tygodnikiem sympatyzowała następczyni tronu Augusta, a pod jej wpływem i mąż jej — przyszły cesarz Wilhelm I¹⁾. Program powyższy zyskał na aktualności, gdy obóz wyznający go doszedł do władzy. Dnia 7 października r. 1858 w Prusiech objął rejencję książę Wilhelm; w początkach listopada powołał on rząd Antoniego von Hohenzollern - Sigmaringen — rząd „Nowej Ery”. W rządzie tym Bethmann - Hollweg był ministrem oświaty i wyznań (o nim porów. też niżej § 10).

W czasie Wojny Krymskiej obóz *Tygodnika Pruskiego* w stosunku do Rosji wyznawał i propagował program, do którego później zbliżył się bardzo Schiemann. Według tego programu „Prusy, jako przodujący bojownik (*Vor-*

¹⁾ Wertheimer: Bismarck im politischen Kampf (1929) 545 N. 11. Bismarck, j. w. 130 śr, 131 śr.

kämpfer) Europy“ dążyć miały do „rozkawałkowania Rosji“ w sposób następujący: „Ustąpienie Prusom i Szwecji prowincyj nadbałtyckich wraz z Petersburgiem, (ustąpienie W. M.) całkowitego terytorjum Rzplitej Polskiej w jej największym zasięgu, oraz rozerwanie (*Zersetzung*) terenów pozostałych przez podział między Wielko- i Małorusów, bez uwzględnienia okoliczności (*abgesehen davon*), iż prawie że większość Małorusów włączona już była do maksymalnego terytorjum Rzplitej Polskiej. Dla usprawiedliwienia tego programu chętnie posługiwano się teorią barona Haxthausen - Abbenburga (1792 — 1866) ²⁾, według którego wymienione trzy strefy ze swemi wzajemnie uzupełniającymi się produktami musiałyby zapewnić przewagę w Europie stu milionom Rosjan, gdyby pozostali zjednoczeni“ ³⁾.

§ 3. Bismarck a restytucja Polski w czasie Wojny Krymskiej (1853-56).

I. Rusofilskie stanowisko Bismarcka.

Bismarck poglądy te zwalczał energicznie, gdyż — zdaniem jego — za wojną z Rosją nie przemawiało nic. Natomiast przeciwko tej wojnie przytaczał on okoliczności następujące: „Każda zwycięska wojna z Rosją przy naszym sąsiedzkim udziale obarcza nas nietylko trwałem dążeniem Rosji do rewanżu, które ściągamy na siebie nie posiadając żadnego własnego powodu wojny — lecz (obarcza nas) również *bardzo niebezpiecznem (bedenklichen) zadaniem*, polegającym mianowicie na rozwiązaniu kwestji polskiej w formie dla Prus znośnej. Jeżeli własne nasze interesy nie przemawiają w żadnym wypadku za, a raczej przeciwko zerwaniu z Rosją, to dotychczasowego przyjaciela i niezmiennego ⁴⁾ sąsiada zaatakowałibyśmy, nie będąc sprowokowani, albo z obawy Francji lub dla wysługiwania się (*im Liebedienste*) Anglii i Austrii“ (130 n). „Nie mamy ani absolutnie żadnego własnego powodu prowadzenia wojny z Rosją, ani też żadnych takich interesów na Wschodzie, któreby potrafiły usprawiedliwić wojnę z Rosją lub chociażby poświęcenie naszych wieloletnich dobrych z nią stosunków“ (130 śr).

Bismarck zezwalał też „członkom partji Bethmann - Hollwega, że uważali za możliwe traktować w europejskiej przyszłości ciało 60 milionów

²⁾ August Haxthausen-Abbenburg: Studien über die inneren Zustände, das Volksleben, u. insbesondere die ländlichen Einrichtungen Russlands. Berlin, 1847-52. 3 tomy. Z tomu trzeciego Die Kriegsmacht Russlands. Berlin 1852; wydano oddzielnie.

³⁾ Bismarck: Gedanken u. Erinnerungen. 1 (1922) 125 n.

⁴⁾ W oryginale *immerwährender Nachbar* — znaczyć to może również „sąsiad po wsze czasy“. Niżej mowa będzie o tem, dlaczego taki przekład nie odpowiadałby istocie rzeczy.

Wielkorusów jako *caput mortuum*⁵⁾, którem można według upodobania po-niewierać, nie robiąc z niego przez to pewnego sprzymierzeńca każdego przy-szłego wroga Prus i nie zmuszając Prus do tego, by w każdej wojnie z Fran-cją nie kryły sobie tyłów przed Polską⁶⁾, gdyż rozrachunek (*Auseinander-setzung*) zadawalający Polskę w prowincji pruskiej i poznańskiej, a ponadto jeszcze⁷⁾ na Śląsku, jest niemożliwy bez rozpadnięcia się Prus o dotychczas-o-wym składzie⁸⁾. Dlatego to Bismarck program ten uważał za „głupstwo“ i „dziecinną utopję“ (j. w.) i wszelkie usiłowania pruskich jego zwolenników, by Bismarcka dla niego zjednać, pozostały bezowocne (125 k).

II. Wojna z Rosją wysuwa kwestję niepodległości Polski.

Z wywodów powyższych z całą wyrazistością wynika, że stanowisko Bismarcka jest zdecydowanie rusofilskie ze względów następujących: 1) między Prusami a Rosją nie istnieją żadne własne istotne antagonizmy; 2) Bismarck obawia się dążeń rewanżowych Rosji; 3) wojna z Rosją posta-wiłaby na porządku dziennym rozwiązanie kwestji polskiej, którą Bismarck uważał za „bardzo niebezpieczną“, gdyż jej rozwiązanie „zadawalające Pol-skę“ oznaczałoby „rozpadnięcie się Prus o dotychczasowym składzie“. Innemi słowami — *Bismarck już w czasie Wojny krymskiej w okresie maksymalnego natężenia swych ten-dencyj rusofilskich* (inaczej działo się np. po r. 1875) *prze-konany był, że restytucja Polski jest nieuniknio-na w wypadku wojny z Rosją, — i właśnie to przeświadczenie stanowiło, według własnego jego wyznania, jedną z istotnych przyczyn, dla których wojnie tej był tak bardzo przeciwny*⁹⁾.

*

Drugim momentem, świadczącym o tem, że Bismarck restytucję Polski uważał za konieczną konsekwencję wojny z Rosją, jest zwrot, iż skutek tej wojny polegałby również i na tem, że „Prusy zmuszone byłyby do tego, by

⁵⁾ W dawnej chemji nazywano tem mianem nietotne produkty stałe, pozostające po destylacji. — Dosłownie: martwa głowa.

⁶⁾ Zur Rückendeckung gegen Polen zu nötigen.

⁷⁾ Selbst noch.

⁸⁾ Ohne den Bestand Preussens aufzulösen. (j. w. 127). Identycznie 358 g.

⁹⁾ Fakt, że Bismarck wojnę z Rosją tak gorąco i wytrwale zwalczał, świadczy o tem, że wojny tej nie tylko że nie uważał za raz na zawsze wyłączone, ale nawet nie był bezwzględnie pewien, czy jest ona wyłączona na najbliższą przyszłość. Wobec tego powyższe określenie Rosji, jako *immerwährender Nachbar*, znaczyć może tylko „nie-zmienny sąsiad“, i to — niezmienny *jak dotychczas*. Natomiast zwrotu tego, w danym wy-padku, nie można tłumaczyć przez „sąsiad po wsze czasy“, chociaż w innych okolicz-nościach i taki przekład byłby zupełnie poprawny.

w każdej wojnie z Francją kryć sobie tyły przed Polską“. Obawę tę, tylko w przesadnej formie powtarza też i Bülow. Właśnie nikt inny, tylko Piłsudski dowiódł, że przyjazne stosunki polsko-francuskie bynajmniej nie wyłączają tego, że polsko-niemiecki pakt o nieagresji jest realnością od strony Polski. Przecież właśnie Bismarck nie powinien był żywić wątpliwości co do takiej realności, gdyż i on, słusznie, był zdania, że realność obronnego przymierza z Austrią nie wyłączała realności traktatu reasekuracyjnego z Rosją. Troska o tyły w wojnie, którą toczyć mogą Prusy, później zaś Niemcy, z Francją, stanowi jednocześnie drugą przyczynę opozycji Bismarcka przeciwko wojnie z Rosją.

III. Wojna z Rosją uniemożliwi zjednoczenie Niemiec.

Drugą przyczynę opozycji Bismarcka przeciwko wojnie z Rosją stanowiła chęć uniknięcia dążeń rewanżowych Rosji, szczególnie niebezpiecznych wobec planów przyszłych wojen, niezbędnych dla zjednoczenia Niemiec, według koncepcji Bismarcka. Wiadomo, że miało się ono dokonać zarówno przeciwko Austrii, jak i przeciwko Francji. Gdyby więc w obozie przeciwnym znalazła się również i Rosja, losy tego zjednoczenia byłyby raz na zawsze przesądzone.

Obawa, iż w przyszłych wojnach o zjednoczenie Niemiec Rosja znaleźć się może w obozie antypruskim, zrodziła też antypolską politykę Bismarcka. Oto odnośny jego wywód: „Dla *niemieckiej* przyszłości Prus stanowisko Rosji było kwestją wysokiej doniosłości. Polonofilski kierunek polityki rosyjskiej przyczyniał się do ożywienia kontaktu rosyjsko-francuskiego, do którego, przy sposobności, dążono od czasu pokoju paryskiego, a nawet już wcześniej, a polonofilski sojusz rosyjsko-francuski, który wisiał w powietrzu przed rewolucją lipcową, wytworzyłby dla ówczesnych Prus ciężką sytuację. Byliśmy zainteresowani w tem, aby w gabinecie rosyjskim zwalczać sympatje polskie, również i takie, jakie żywił Aleksander I“ (Bismarck 1/352). I w tej cytacie Bismarck stanowisko swe wobec stosunków polsko-rosyjskich określa ze względu na „niemiecką przyszłość Prus“, a więc ze względu na rolę, jaką wyznaczył on Prusom w przyszłym zjednoczeniu Niemiec. Bismarck ciągle obawia się, że przyjaźń polsko-rosyjska doprowadzić może do przyjaźni francusko-rosyjskiej, ta zaś sprawiłaby, że w przyszłym konflikcie Prus z Francją o zjednoczenie Niemiec Rosja stanęłaby po stronie Francji.

Podobnie ukształtował się później pod wpływem Bismarcka stosunek Wilhelma I do Rosji. Twierdził on, motywując swój opór przeciwko układowi z Austrią z roku 1879, że „przy dobrych stosunkach z Rosją, naogół i wszystko dobrze zważywszy ¹⁰⁾, przeważnie jechaliśmy dobrze“. Argumenty te wy-

¹⁰⁾ Sind wir alles in allem et tout bien pesé überwiegend gut gefahren.

warły wrażenie nawet na Stolbergu, który oświadczył, że „przy całej mej przyjaźni dla Austrii, gdzie jako ambasador czułem się bardzo dobrze, nie mogłem się jednak obronić wrażeniu, że z wywodów naszego starego pana przemawiała mądrość, dojrzała w sześćdziesięcioletniem doświadczeniu“¹¹⁾. W roku 1879 Otto zu Stolberg - Wernigerode był już pruskim wicepremierem, któremu Bismarck powierzył misję przekonania Wilhelma I o konieczności podpisania układu z Austrią.

IV. Rosja jest niezniszczalna.

Trzecią przyczyną, dla której Bismarck życzliwość Rosji cenił nadewszystko i przedewszystkiem troszczył się o jej zachowanie, była okoliczność, że zupełnie nie wierzył w możliwość „zdruzgotania“ Rosji (niż. § 7); jako jedyna możliwość pozostawała tedy przyjaźń. Bismarck potrafił stanowisko swe przevorsować u Fryderyka Wilhelma IV, i główny propagator polityki antyrosyjskiej i restytucji polskiej na terenie międzynarodowym — ówczesny poseł pruski w Londynie Christian Karol Bunsen otrzymał dymisję (początek marca r. 1854 — Bismarck — j. w. 1/128 N 4).

§ 4. Bismarck przeciwko Polsce w r. 1863.

Równie nieprzejednanie antypolski był Bismarck wobec powstania z roku 1863. Antypolskość ta i wtedy wynikała konsekwentnie z jego stanowiska, gdyż i wtedy Prusy nie prowadziły wojny z Rosją, antypolska zaś polityka Bismarcka miała właśnie na celu niedopuszczenie do takiej konstelacji międzynarodowej, z której wojna z Rosją mogłaby wyniknąć. Niebezpieczeństwo powstania konstelacji antypruskiej z udziałem Rosji wynikało z polonofilskich tendencyj, istniejących w sferach miarodajnych państwa carów.

Bismarck zwraca uwagę na to, że stosunek decydujących sfer rosyjskich do powstania styczniowego był rozbieżny, i „rozbieżność ta dotarła aż do najwyższych sfer wojskowych i doprowadziła do namiętnego sporu między namiestnikiem w Warszawie generałem hrabią Lambertem a generał-gubernatorem Gerstenzweigem. Spór ten zakończył się gwałtowną, jednak niewyjaśnioną śmiercią Gerstenzweiga (styczeń 1862)“ (j. w. 2/350). Bismarck był jeszcze na jego pogrzebie.

Prądy polonofilskie istniały też w stolicy Rosji. W czasie, gdy Bismarck był posłem pruskim w Petersburgu (1859 — 62), miał on sposobność przekonać się z poufnych rozmów zarówno z Aleksandrem II, jak i z Gorczakowem, że „niebezpieczeństwo polityki polonofilskiej jest znaczne i że „Rosja sama nie dawała pewności, iż nie nastąpi zbratanie się z Polską. — Cesarz Aleksan-

¹¹⁾ Bülow: Denkwürdigkeiten 4/508g.

der nie był wówczas niechętny częściowemu wyrzeczeniu się Polski; sam mi to sucho zakomunikował, przynajmniej w odniesieniu do lewego brzegu Wisły, przytem, *nie kładąc na to nacisku, wyłączał Warszawę*, która i jako garnizon armji posiadała przecież swój urok i strategicznie należała do trójkąta twierdz nad Wisłą“ (Bismarck 1/352 śr).

Aleksander II przytaczał następujące okoliczności, przemawiające za wyrzeczeniem się Polski przez Rosję: „Polska jest dla Rosji źródłem niepokojów i niebezpieczeństw europejskich, rusyfikacji nie można dokonać zarówno z powodu różnicy wyznania, jak i braku zdolności administracyjnych organów rosyjskich. Natomiast (zdaniem cara — W. M.) nam (t. j. Prusom — W. M.) uda się terytorjum polskie zgermanizować (?), my mamy środki potemu, gdyż ludność niemiecka jest bardziej oświecona niż polska. Rosjanin nie odczuwa wyższości, niezbędnej by Polaków opanować; należy ograniczyć się do minimum ludności polskiej, na jakie pozwala położenie geograficzne, a więc do granicy Wisły wraz z Warszawą jako przyczółkiem mostowym“ (352 k).

Wobec takich planów Aleksandra II Prusy, a właściwie Bismarck stanął na stanowisku, że „w roku 1863 wskazane było, aby otwarcia kwestji tej (polskiej) nie popierać, lecz przeciwdziałać tak, jak to tylko było dla nas możliwe“ (358 śr.). Wynikiem tego przeciwdziałania stała się konwencja wojskowa prusko-rosyjska, którą w lutym r. 1863 zawarł w Petersburgu generał Gustaw v. Alvensleben. Zdaniem Bismarcka „dla polityki pruskiej miała ona cel bardziej dyplomatyczny, niż wojskowy. Oznaczała ona zwycięstwo polityki pruskiej, odniesione w gabinecie cesarza rosyjskiego nad polityką polską, reprezentowaną przez Gorczakowa, W. Ks. Konstantego, Wielopolskiego i inne wpływowe osoby. Wynik ten opierał się na bezpośredniej decyzji cesarza, (powziętej — W. M.) w przeciwstawieniu do dążeń ministerjalnych“ (358 n). „Przez zawarcie naszej konwencji, *które nastąpiło przy dużym oporze (Widerstreben) Gorczakowa*, na wyraźny rozkaz cesarza, o tyle, o ile zależało to od nas, zapewniliśmy przewagę partji *antypolskiej i antyfrancuskiej* w gabinecie cesarza, i uchwały, które dotychczas były chwiejne, zapadły w sensie *stanowczego zdławienia powstania*“ (359 śr).

Według własnych wywodów Bismarcka, konwencja Alvenslebena była jaknajbardziej antypolska z dwóch względów: 1) wymierzona była przeciwko niepodległości Polski przez to, że zwalczała tendencje jej sprzyjające, istniejące zarówno w rządzie rosyjskim, jak i na dworze carskim. Stanowisko Bismarcka było tu tedy *czynnie* antypolskie już nie tylko dlatego, że Bismarck uprawiał politykę wrogą Polsce na terenie Prus i zwalczał ją w obozie *Tygodnika Pruskiego*, ale jaknajbezwzględniej usiłował tępić ją wszędzie tam, gdzie istniała, w danym tedy wypadku w rządzie i na dworze carskim.

2) Tę bezwzględnie antypolską kampanję Bismarck podjął i przeprowadził w momencie najbardziej tragicznych zmagania się Polski w walce o niepodległość. Używając terminologii, która wytworzyła się w Niemczech pod koniec Wojny światowej stwierdzić należy, że polityka Bismarcka odegrała rolę owego zabójczego „ciosu sztyletem“, zadanego w plecy, co Niemcy wilhelmowskie stale zarzucały niemieckiej lewicy.

Wobec tego, że w r. 1863 po stronie Polski była nie tylko Anglja, Austria i Francja, ale nawet i bardzo wpływowe czynniki w Pruszech i Rosji uznać należy zarówno, iż właśnie konwencja Alvenslebena jest jedną z przyczyn, które w sposób bardzo istotny zadecydowały o ostatecznej klęsce powstania, jak i to, że właściwym sprawcą tej klęski był ojciec duchowy omawianej konwencji — Bismarck. Również na zaznaczenie zasługuje okoliczność, że i w ostatniej cytacji Bismarck zwalczanie wpływów polonofilskich w gabinecie rosyjskim utożsamia ze zwalczaniem wpływów frankofilskich.

§ 5. Bismarck za niepodległością Polski.

Z powyższych wywodów wynika zarówno, że Bismarck zdawał sobie sprawę z wzajemnej współzależności, zachodzącej między wojną Prus, względnie Niemiec, z Rosją a odbudową Polski — jak też, że i dlatego to do wojny tej dopuścić nie chciał. Skolei należy przytoczyć dowody, świadczące o tem, że na wypadek wojny z Rosją Bismarck gotów był przystać na odbudowanie państwowości polskiej. Jednym z takich dowodów są pamiętniki osoby tak bardzo wtajemniczanej, jak Alfred Waldersee, wtenczas już pruski generał - kwatermistrz. Dn. 11.12.1882 po konferencji, na którą Bismarck zaprosił Walderseego, ten ostatni zanotował w swym dzienniku: Bismarck „mówił przeważnie o naszym stosunku do Rosji i otworzył przedemną tak daleko idące perspektywy, że nie ośmielam się ich zapisać. W odniesieniu do kwestji polskiej był on całkowicie tego zdania, jakie mu przed kilku miesiącami rozwinąłem, z czego rad jestem bardzo. Wkońcu osiągnęliśmy zgodę w sprawie kampanji prasowej¹²⁾, która obliczona jest w pierwszej linii na Sejm Rzeszy, ale również i na Rosję“¹³⁾.

O tem, że wymieniona konferencja dotyczyła spraw nie tylko ważnych, ale i pilnych — dowodzi fakt, że Bismarck chciał ją odbyć już wcześniej i że przeszkodziły mu bóle nerwowe. Dnia 6 grudnia Waldersee zapisał w swym dzienniku: „Bismarck od 4 dni znowu jest w Berlinie; chciał on zaraz mówić ze mną, lecz — niestety — niebawem (*bald*) po przyjeździe bóle nerwowe zaczęły mu bardzo dokuczać“ (222 k). Obawa wojny z Rosją wyłoniła się wówczas w związku ze śmiercią Aleksandra II, który dnia 13.3.81 zginął

¹²⁾ Wurde eine Presskampagne verabredet.

¹³⁾ Waldersee: Denkwürdigkeiten I (1922) 223 g. O dalszym rozwoju stosunków z Rosją j. w. 223 pod 15.12 nn.

od bomby Hryniewieckiego. Zdaniem Walderseeego, było to „wydarzenie o doniosłości zupełnie nie dającej się obliczyć. *Nasi wrogowie podniosą teraz głowy, przedewszystkiem Francuzi*“ (1/212 śr). Dnia 11.3.82 Bismarck w czasie konferencji z Walderseem, która trwała prawie 1½ godziny, „mówił bardzo dużo o Rosji i o *możliwej wojnie*. Uważa on tamtejsze stosunki za bardzo poważne (*bedenklich*), aczkolwiek zdaje się nie wierzy w bliską wojnę“ (219). Natomiast Moltkego „bardzo zajmuje możliwość wojny z Rosją i codziennie omawiam z nim ten temat“ (Waldersee, 15.3.82 — 1/219 n).

Że i Bismarck niebawem temat ten uznał za aktualny, świadczy notatka Walderseeego z dn. 30.6.82, w której powiedziane jest: „W Austrii spotkam zapewne szefa tamtejszego Sztabu generalnego, barona v. Becka, i mówić z nim będę o *wojnie z Rosją*“¹⁴). Już zimą wyrażono życzenie, żeby taka narada (*Unterhaltung*) odbyła się, później znów to odsunięto (*hinausgeschoben*). Teraz kanclerz Rzeszy godzi się na to, tak samo jak i cesarz“¹⁵ (2/221 g). Sytuacja dla Niemiec komplikowała się wówczas i od strony Austrii, gdyż w listopadzie r. 1881 zmarł nagle następca Andrásy'ego w M. S. Z., baron v. Haymerle. Waldersee był zdania, że „skutków nie można jeszcze przewidzieć. W każdym bądź razie nie jest łatwe ponowne znalezienie śród austriackich mężów stanu takiego, *który uczciwie chciałby będzie trzymać z nami razem*“ (1/215 śr).

*

Omówione wydarzenia, tak bardzo znamienne, nie stanowiły bynajmniej przemijających epizodów. Świadczy o tem fakt, iż jeszcze dnia 10 lipca 1888 r. Bismarck był zdania, że gdy dojdzie do wojny niemiecko-rosyjskiej, nastąpić będzie musiała i restytucja niepodległości Polski. Dnia tego bowiem Waldersee, ówczesny pruski generał-kwatermistrz, wówczas też prawa ręka Moltkego, a niebawem¹⁵) jego następca na stanowisku szefa Sztabu Generalnego, odbył konferencję z Bismarckiem, o której między innymi w dzienniku swym zapisał co następuje: „Byliśmy zgodni co do tego, że w wypadku wojny przeciwko wschodowi będziemy musieli prowadzić ofensywę, jednakże nie wykraczając poza Polskę, że później powinniśmy *Polskę restytuować*“¹⁶). Narady te, tak samo jak w r. 1882, odbywały się pod wpły-

¹⁴) Werde — — mich über einen Krieg gegen Russland unterhalten.

¹⁵) Dokładnie w miesiąc po wymienionej w tekście konferencji z Bismarckiem.

¹⁶) **Waldersee: Denkwürdigkeiten.** Hrsg. v. H. O. Meisner 1 (1922) 412 k.: Das wir sodann Polen wiederherstellen sollten, darüber waren wir einig. W czasie swej bytności w Wiedniu (23 — 28.6.1888) Waldersee wobec Kalnoky'ego zlekka dotknął (*gestreift*) kwestji polskiej; Kalnoky przyznał, że gdy wybuchnie wojna z Rosją, kwestja ta natychmiast stanie na pierwszym planie. Waldersee dodaje jednak, że Kalnoky, jak to już w czasie rozmowy u Becka zauważył, „niechętnie nad tem się zatrzymywał“ (j. w. 23.6.88 — 1/410 śr).

wem tak dalece aktualnego niebezpieczeństwa wojny z Rosją, że do jej odwrócenia Bismarck zdecydował się na ujawnienie tajemnicy, której przez lat 9 pilnie strzegł. Dnia 3.2.88 Bismarck ogłosił niemiecko - austriacki traktat przymierza z dnia 7.10.79. Ogłoszenie to wywołało „olbrzymie poruszenie“ (Waldersee 1/357 k). Fakt tego poruszenia wymownie świadczy o tem, jak troskliwie tajemnica dotąd była przestrzegana. Przytoczone fragmenty nie pozostawiają tedy żadnej wątpliwości co do tego, że zarówno Bismarck sam, jak i bardzo miarodajne czynniki w ówczesnym Sztabie Generalnym, żywiły przeświadczenie, iż wojna Niemiec z Rosją postawi na porządku dziennym sprawę niepodległości Polski. To przeświadczenie o konieczności restytuowania Polski niepodległej było bezpośrednim skutkiem niewiary Bismarcka w możliwość „zdruzgotania“ narodu polskiego lub chociażby zgermanizowania go.

§ 6. W a l d e r s e e z a n i e p o d l e g ł o ś c i ą P o l s k i.

Jednak nietylko Bismarck, ale, jak przytoczone już cytaty o tem świadczą, również i Waldersee możliwość wskrzeszenia Polski uważał za zupełnie realną. Że nie było to przeświadczenie przemijające, tego dowodzi fakt, że i w r. 1884 Waldersee faktycznie liczył się z możliwością, a nawet koniecznością restytucji Polski. Dnia 9 lutego tegoż roku Waldersee w pamiętniku swym zapisał co następuje: „Jak się zdaje, stosunki z Rosją rzeczywiście układają się lepiej, działalność Herberta Bismarcka daje wyniki. Rosja idzie tak daleko, że znowu ofiarowuje nam część Polski; my jednak podziękowaliśmy, co też uważam za słuszne. Albo Rosja musi tyle ustąpić, że *samodzielna Polska stanie się możliwa*, albo niech zatrzymają sobie wszystko“ (j. w. 1/234 k.). W przytoczonym właśnie ustępie zarysowuje się już nietylko bierne uleganie konieczności w sprawie niepodległości Polski, lecz wprost czynne i wyraźne dążenie do jej przywrócenia — i to, co jest szczególnie doniosłe, przyczyną tych dążeń Walderseego nie są zgoła trudności, wytworzone przez pogarszanie się stosunków z Rosją, tem mniej przez wojnę z nią — lecz, wręcz naodwrot, dążenia te pruski ten generał żywi w okresie, o którym sam wyraźnie stwierdza, że „stosunki z Rosją rzeczywiście układają się lepiej“ (j. w.).

To bynajmniej nie przypadkowe liczenie się, a nawet więcej — dążenie Walderseego do restytuowania Polski jest tembardziej godne uwagi, że przy niewątpliwej rozległości horyzontów i przenikliwości sądów¹⁷⁾ nieraz

¹⁷⁾ Waldersee w wymienionej już rozmowie z Bismarckiem z dnia 10.7.88 r. stanowczo wypowiedział się przeciwko pogwałceniu neutralności Belgii przez Niemcy, natomiast uważał „za b. pożądane, gdyby Francja chciała przez Belgię operować“ (1) 412 k.

skłonny był on do nadmiernego upraszczania trudności sytuacji międzynarodowej i do przeceniania roli i trwałości rozstrzygnięć militarnych. Waldersee twierdził wprawdzie, że losy Niemiec zagrożone są przez geografję ich sąsiadów. Ale nawet i bez geografji był on za tem, żeby „zagrać w prewencję“¹⁸⁾. Twierdził on, że przyszłość Niemiec jest „beznadziejna, jeżeli ktoś nie zatłuczemy na śmierć (*totschlagen*) — czy to na prawicy, czy też na lewicy“. Raz uważał, że na zatłuczenie na śmierć zasługuje Francja, to znowu, nieco później, Rosja¹⁹⁾.

§ 7. Bismarck: Nie można „zdruzgotać“ narodu
polskiego.

Echem takich poglądów Walderseego był wtedy (r. 1888) ówczesny następca tronu, książę Wilhelm, przyszły Wilhelm II. Świetną korekturą tych jego pomysłów są następujące uwagi Bismarcka: „Niezniszczalne (*unzerstörbar*) państwo narodu rosyjskiego, silne swym klimatem, swemi puszciami i swym brakiem potrzeb, po swej klęsce pozostałoby naszym urodzonym i łakącym rewanzu wrogiem, zupełnie tak samo, jak na Zachodzie jest nim dzisiejsza Francja. Przez to stworzonoby na przyszłość sytuację trwałego naprężenia, ja zaś nie chciałbym obarczyć mej odpowiedzialności dobrowolnym wywołaniem tego naprężenia. „Zdruzgotanie“ (*zertrümmern*) narodowości w ciągu stu lat nie udało się już silnym mocarstwom ze słabszym o wiele narodem polskim. Uczynimy najlepiej, gdy narodowość rosyjską traktować będziemy jako żywiołowo istniejące niebezpieczeństwo, przeciwko któremu utrzymujemy tamy ochronne“²⁰⁾.

Ówczesny książę Wilhelm opatruje powyższe wywody Bismarcka następującymi marginaljami: w miejscu, w którym Bismarck twierdzi, że Rosja „pozostałaby naszym wrogiem“, Wilhelm notuje: „Nie bardziej, niż już jest teraz“, na co Bismarck znowu odpowiada: „Jednak bardziej!“. Przy słowach o pragnieniu rewanzu Wilhelm zaznacza: „Pragnąć będzie — być może, ale możliwości nie będzie“. Na to Bismarck: „Ale niebawem (możność) będzie — znowu tak, jak Francja od lat dwunastu znowu możliwość tę posiada“. Do ustępu o niemożności zdruzgotania narodowości Wilhelm zauważa: „Tak, ale można zdruzgotać jej środki walki“, na co znowu Bismarck: „Te odnowić (*ersetzen*) można w przeciągu 5 lat, porów. Francja“ (610 g). W dialogu tym bardzo wyraźnie uwydatnia się rozbieżność poglądów Bismarcka i księcia Wilhelma. Dziś nie istnieje już nawet cień wątpliwości, czym udziałem

¹⁸⁾ Das Prävenire zu spielen.

¹⁹⁾ K. F. Nowak: Das dritte deutsche Kaiserreich 1 (1929) 56 k.

²⁰⁾ Ludwig: Bismarck. Geschichte eines Kämpfers (1927) 609 n.

była wówczas wielka rozległość perspektyw historycznych i niemniejsza przenikliwość sądu, a czym jej zupełny brak, i u kogo te nieodzowne walory męża stanu zastępowała pewność siebie i „Schneidigkeit“, wynikająca zarówno z zupełnego prostactwa, jak i arcymłodzieńczej żądzy „czynu“ za wszelką cenę.

Na szczególnie zaznaczenie zasługuje też okoliczność, że Bismarck i tu daje wyraz swemu przeświadczeniu o beznadziejności „zdruzgotania“ Polski. Bismarck w gruncie rzeczy nie wierzył nawet w możliwość zgermanizowania Polaków. Świadczy też o tem fakt, że nie podzielał on przekonania Aleksandra II, iż w przeciwstawieniu do Rosji Prusom „uda się terytorjum polskie zgermanizować“. Bismarck twierdzenie to opatrzył znakiem zapytania (1/352 k, wyż. § 4). Nie mniej godny zapamiętania jest też fakt, że nawet i Waldersee, tak bardzo nie doceniający trudności „załuczenia na śmierć“ czy to Francji czy też Rosji — Polski za „załuczoną na śmierć“ nie uważał nawet w czasie jej politycznego niebytu.

§ 8. Wilhelm II za niepodległością Polski przed r. 1906.

O stałości tej linii świadczy też fakt, że również i Wilhelm II, i to bez aktualnej wojny z Rosją, bo już w r. 1906 zdecydowany był dążyć do restytucji Polski. Inspiratorem tych koncepcyj był Teodor Schiemann, z pochodzenia rosyjski (mianowicie nadbałtycki) Niemiec, wówczas profesor historii Europy wschodniej na uniwersytecie berlińskim. Wilhelm II przyznaje sam, że „zawdzięcza(m) mu pewną orjentację, głównie co do Wschodu“²¹⁾, i że swem „szczególnem zaufaniem darzył(em) profesora Schiemanna — — przenikliwego polityka, świetnego historyka i pisarza“, którego „rad stale (*andauernd*) zasięgał(em) *in rebus politicis* i w odniesieniu do kwestyj historycznych“ (j. w.). Poglądy Wilhelma II na Rosję i na sprawę restytucji Polski kształtowały się pod wpływem zarówno przegranej wojny z Japonją, jak i rewolucji, z której zwycięstwem cesarz niemiecki również się liczył. Wilhelm II odnośne swe plany wyłożył w końcu lipca r. 1906, w czasie konferencji z przydzielonym do niego przedstawicielem Urzędu Spraw Zagranicznych, Marcinem baronem v. Rücker - Jenisch. W r. 1906 był on posłem w Darmsztacie. Jenisch z konferencji tej złożył raport Bülowowi, w którym przedewszystkiem stwierdza, że odbyła się ona „po dłuższej rozmowie (cesarza) z prof. Schiemannem“²²⁾.

O poglądach, które Wilhelm II w czasie konferencji z Jenischem wyłożył, donosi on do Bülowa co następuje: „Jeżeli w Rosji niebawem wszystko

²¹⁾ **Wilhelm II: Ereignisse u. Gestalten. 1878 — 1918.** Berlin (1922) 166 g.

²²⁾ **Bülow: Denkwürdigkeiten** 2/243.

się zawali²³⁾ i jeżeli przygotowuje się tam pewna ilość republik federacyjnych, jak to Schön w swym raporcie przewiduje — wówczas prowincyj bałtyckich pod żadnym pozorem nie opuszczę, lecz przyjdę im z pomocą, poczem muszą one być przyłączone do Rzeszy Niemieckiej“ (j. w.). Już z przytoczonego ustępu jasno wynika, że Wilhelm II liczy się z możliwością zwycięstwa rewolucji w Rosji i że do tego zwycięstwa plany swe przystosowuje. Związek ich z tem zwycięstwem podkreśla on raz jeszcze: „Nie ruszę palcem, dopóki rząd rosyjski jeszcze istnieje, jednakże nie pozwolę na to, by Balci w swej niedoli zginęli“ (j. w.). Wilhelm II zapewnia tedy, że „nie ruszy palcem, *dopóki* rząd rosyjski *jeszcze* istnieje“, ale w wywodach jego nic nie zdradza nawet cienia gotowości jego do „ruszenia palcem“, aby „rząd rosyjski jeszcze istniał“ *nadal*. Plany Wilhelma II, dotyczące Polski, o braku tej gotowości świadczą jeszcze wymowniej; natomiast sprawiedliwość przyznać każe, że w gorliwości i gotowości do „ruszania palcem“ na korzyść zachowania ówczesnego carskiego rządu Wilhelma II znacznie wtedy zdystansował Roman Dmowski.

Polski dotyczą następujące wywody Wilhelma II: „Polacy, naturalnie, próbować będą rozszerzyć sferę swej władzy (*Machtbereich*) aż do północy, do morza; do tego nigdy nie dopuszczę. *Niech się rozszerzają*²⁴⁾ *ku wschodowi i południo-wschodowi, gdzie mają swe interesy gospodarcze*. Mówiłem już z Bülowem i Bethmann-Hollwegiem o tem, że gdy w Rosji nastąpi katastrofa, *nie będziemy stawiać przeszkód programowi polskiemu (p r z y w r ó c e n i a K r ó l e s t w a P o l s k i e g o)*. — Nasza polityka i nasza dyplomacja w *bliskiej przyszłości* stanie wobec *zadań zupełnie innych niż dzisiejsze*“ (j. w. 243 n).

*

W sprawie swego własnego stosunku do tych wywodów i planów Wilhelma II Bülow zaznacza przedewszystkiem, że cesarz rzadko z nim poruszał sprawę polską, jednakże „nigdy nie pozostawiałem żadnej niejasności co do tego, że *restytucję samodzielnej Polski uważałbym za największy błąd, jaki pruska i wogóle niemiecka polityka popełniłby mogła*. Państwo (*Reich*) polskie u naszej granicy wschodniej, powtarzałem mu *wielokrotnie (wiederholt gesagt)*, byłoby urodzonym sojusznikiem naszych nieprzejednanych przeciwników na Zachodzie, armja polska w Warszawie znaczyłaby tyleż, co istnienie wojsk francuskich również na naszej wschodniej flance“ (j. w. 245 śr.). Z powyższych wywodów Bülowa z całą wyrazistością wynika, że Wilhelm II, jeszcze i przed rokiem 1906, *wielokrotnie* poruszał z Bülowem

²³⁾ Falls in Russland demnächst alles drunter u. drüber geht.

²⁴⁾ Sie mögen sich — — ausbreiten.

kwestję przywrócenia niepodległości Polski. Jest to jeszcze jeden niezbity dowód, że niepodległość ta była *stałą* wytyczną polityki niemieckich sfer decydujących — tembardziej stałą, że Wilhelm II *wielokrotnie* poruszał ją z Bülowem, jeszcze przed rokiem 1906, a więc właśnie wówczas, gdy Niemcy nie były zmuszone do tego przez żadne bezpośrednie i doraźne niebezpieczeństwo.

§ 9. Stanowisko niemieckich sfer miarodajnych
a stanowisko endecji i esdecji.

Przytoczone fragmenty niezbitie tedy świadczą o tem, że również i pod względem świadomości, że przywrócenie niepodległości Polski stanie się koniecznością właśnie w konsekwencji wojny Niemiec z Rosją, Bismarck, a nawet i Wilhelm II, o całe niebo górował nad wszystkimi polskimi „realnymi politykami“ z ugody, endecji i esdecji. Politycy ci przecież wyrzekli się niepodległości na przyszłość, z tego też powodu odżegnywali się od tradycji powstańczych przeszłości, a w teraźniejszości wszelkiego nawet cienia akcji niepodległościowej bali się bardziej, niż djabeł święconej wody. Pod tym względem godnem *pendant* tej polskiej „polityki realnej“ był w obozie niemieckim Bernhard Bülow. Wyjątkowa ta miernota polityczna w pamiętnikach swoich, korygowanych przez niego osobiście jeszcze w okresie lat 1926 — 29, wskrzeszenie Polski uważa za „potworny (*ungeheurer*) błąd Bethmann-Hollwega“²⁵⁾, za „drugi skolei (*zweitgrösster*) błąd naszych dziejów po bezsensownem ultimatum do Serbji“ (2/246), za „głupstwo“ (245 k).

Całkowita nicość perspektywy historycznej, a przez to i politycznej Bülowa ujawnia się w pełni w tem utożsamieniu ultimatum do Serbji z odbudową niepodległości Polski. Ten dyplomata, poniżej przeciętnego poziomu, zapewniający niezmiennie na przestrzeni przeszło 2000 stron swych pamiętników, że jest kontynuatorem i uczniem Bismarcka, nie potrafił dostrzec żadnej różnicy między świadomie prowokacyjną i *préstige*’ową sztuką dyplomatyczną za życia rozkładających się Austro-Węgier, a wymiarem sprawiedliwości dziejowej, który za równie konieczny i nieunikniony uważali Bismarck, Waldersee i Wilhelm II! W tej sprawie, jak i w wielu innych²⁶⁾, Bülow jest doskonałą ilustracją różnicy, zachodzącej między genjuszem politycznym a genjuszem kariery.

²⁵⁾ **Bülow:** *Denkwürdigkeiten* 1/563.

²⁶⁾ Odrzucenie zaofiarowanego przez Anglję sojuszu w r. 1898, stosunek do budowy floty, zupełnie błędna ocena stanowiska Włoch w trójprzymierzu, fatalna polityka marokańska oraz w sprawie aneksji Bośni i Hercegowiny, niedocenianie powstającej *entente*’y.

Horyzonty polityczne, których kres jest u końca własnego nosa, Bülow ma wspólne nie tylko z endeckim „realizmem“, ale również i z „realizmem“ i materjalizmem historycznym obozu, znajdującego się na wręcz przeciwnym biegunie — z t. zw. Socjaldemokracją Królestwa Polskiego i Litwy. Na tle tych wszystkich kardynalnych błąków z należytą wyrazistością uwydatniają się historyczne kontury monumentalnej postaci Józefa Piłsudskiego.

§ 10. Ocena stanowiska Bülowa.

To zaś, co Bülow sam przeciwko restytucji Polski niepodległej „wielokrotnie powtarzał“, są to wierutne bzdury: „Armja polska w Warszawie znałaby tyleż, co istnienie wojsk francuskich również na naszej wschodniej flance“. Właśnie Piłsudski dowiódł, że tak nie jest, że istnienie „armji polskiej w Warszawie“ oznacza istnienie wojsk *sojuszniczki* Francji i że sojusz ten w niczem nie przeszkadza Polsce w zawarciu z Niemcami paktu o nieagresji. O trafności i *szczeroci* tego stanowiska Polski Francja jest dziś tak samo przekonana, jak i Niemcy. Nie mniejszą bzdurą jest też to, co Bülow pisze o powodach, dla których Bethmann-Hollweg już wtedy był za niepodległością Polski: „Że Bethmann-Hollweg żywił cieplejsze uczucia ²⁷⁾ do ideałów polskich, to spowodował atawistyczne pobudek (*Regungen*). Dziad Teobalda Bethmanna, profesor August Maurycy von Bethmann-Hollweg, który oddawna i aż do swej śmierci zwalczał Bismarcka z jadowitą nienawiścią, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ze ślepym zapalem oświadczał się za polityką Polakom przyjazną — i to zarówno w sferach politycznych, jak i na dworze pruskim“ (245).

Atawizm i „ślepa nienawiść do Bismarcka“ pasują do omawianej tu kwestji, jak kwiatek do kozucha. Zwalczanie Bismarcka jeszcze przez *dziadka* kanclerza Bethmanna nie musiało bynajmniej w tym ostatnim zrodzić reakcji polonofilskiej, gdyż Bismarck, już w tym czasie, gdy przyszedł kanclerz Bethmann zajmował skromne stanowisko Landrata (od r. 1886), był za przywróceniem Polski niepodległej. Również niewiele znaczy i okoliczność, którą Bülow dalej przeciwko Bethmannowi przytacza. Pisze on, że niebawem po otrzymaniu raportu Jenischa zażądał od Bethmanna wyjaśnień. Bethmann uznał wówczas pomysły Wilhelma II za „idee czysto akademickie“ (245 k), za „szaleństwo“ (*Tollheit* — 246 g), poczem Bülow dodaje, że od czasu tej rozmowy i aż do ustąpienia Bülowa (r. 1909) Bethmann zachowywał się, jak „gorliwy (*strammer*) ²⁸⁾ hakatysta. Bronił on nawet gorliwie noweli wywłaszczeniowej, która mnie napawała znacznemi wątpliwoś-

²⁷⁾ Sich erwärmt hatte.

²⁸⁾ Dosłownie — wyciągnięty, można też przetłumaczyć: nadmierny służbista.

ciami“ (246 g). Ten zarzut Bülowa dowodzi jeszcze niewiele, o czym świadczy najlepiej okoliczność, że po wybuchu Wojny światowej Bethmann *faktycznie usiłował* realizować niepodległość Polski; za opór Naczelnego Dowództwa Wojskowego nie ponosi on żadnej odpowiedzialności. Dowództwo to niebawem też go obaliło.

§ 11. Dwutorowość polityki Bismarcka w sprawie polskiej.

Tę samą niekonsekwencję możnaby zarzucić i Bismarckowi, którego pozytywny stosunek do niepodległości Polski na wypadek wojny z Rosją jest tak samo niewątpliwy, jak jego polityka hakatystyczna. Oba te przykłady niekonsekwencji świadczą właśnie o tem, że nie jest możliwa polityka, uprawiana według pewnych, raz na zawsze ustanowionych, *racjonalnych* wytycznych i że tu wyłącznie racjonalna logiczna konsekwencja całkowicie zawodzi. Zawodzi, między innymi, i dlatego, że na politykę zagraniczną bardzo istotny wpływ wywierają arkana rządzenia nawewnątrz, tak samo, jak arkana dyplomacji nie mniej silnie oddziałują na politykę zagraniczną. Że tak samo działało się również z polityką Bismarcka, wystarczy zestawienie dat następujących. Zdecydowanie antypolski kurs jego polityki nawewnątrz zaczyna się w początkach r. 1886. Wtedy to następuje wysiedlenie 30.000 Polaków, jako „uciążliwych cudzoziemców“, co Sejm Rzeszy potępił na posiedzeniu z dn. 16.1.86. Dnia 30 stycznia tegoż roku Sejm pruski przyjmuje ustawę o komisji kolonizacyjnej i asygnuje na jej potrzeby 100 milionów marek. Wszystko to dzieje się zarówno w cztery lata po tem, gdy w r. 1882 Bismarck pozytywnie przesądził restytucję Polski w wypadku, gdy dojdzie do wojny z Rosją, jak i w dwa lata przed ponownem przesądzeniem tejże restytucji w r. 1888.

§ 12. Szkodliwość logiki abstrakcyjnej w polityce.

Zjawisko wzajemnego oddziaływania polityki zagranicznej na wewnętrzną i naodwrot, tak samo, jak i zagadnienie bardzo skomplikowanych arkanów rządzenia, mogą być zrozumiane tylko wówczas, gdy politykę rozpatruje się jako pewną dialektyczną *całość*, a więc nigdy przy pomocy logiki abstrakcyjnej, gdyż wszelka abstrakcja i abstrahowanie jest bezwzględnie zaprzeczeniem ujmowania rzeczywistości jako całości. Abstrahowanie polega przecież na apriorycznem nieuwzględnianiu wszystkich wogóle momentów rzeczywistości, oprócz tego jednego, który składa się na treść pojęcia, będącego wynikiem tego procesu abstrahowania. Zagadnienie istoty arkanów rządzenia jest olbrzymie, i ta właśnie okoliczność sprawia, że wymaga ono zupełnie specjalnych rozważań.

Ostry kurs antypolski polityki Bismarcka bynajmniej nie świadczy jeszcze o tem, że był on *zasadniczo* przeciwny restytucji Polski. Bismarck nie uznawał żadnych abstrakcyjnych zasad, posiadających moc obowiązującą, niezależnie od konkretnego ukształtowania się stosunków, i w polityce jego nienawiść nie stanowiła czynnika decydującego na stałe. Bismarck sam twierdził wprawdzie, że nienawiść jest równie wielką podniętą do życia, jak i miłość, i że żona jest mu równie potrzebna, jak i Ludwik Windthorst²⁹⁾. Jednakże polityczny stosunek Bismarcka do tego posta centrowego, z którym przez całe dziesięciolecia staczał bezwzględne walki, zaprawione serdeczną nienawiścią, pomimo wszystko nieprzejednany nie był. W roku 1890 Bismarck osobiście rokował z Windthorstem w sprawie wytworzenia w Sejmie Rzeszy większości z centrum i jak wiadomo właśnie te rokowania stały się jednym z powodów zerwania z Wilhelmem II i dymisji żelaznego kanclerza.

A więc w sprawie stosunku do centrum i do Windthorsta Bismarck potrafił dokonać obrotu o całych 180°. Taki sam obrót Bismarck zademonstrował wobec socjalistów — mianowicie od konferencji z Lassallem do ustawy antysocjalistycznej. Nie mniej ostre były też zwroty stosunku Bismarcka do konserwatystów, później zaś do narodowych liberałów. Najbardziej zaś przekonywujący jest fakt, że Bismarck w r. 48 przeciwny był zjednoczeniu Niemiec, gdyż dokonać się ono miało „na ulicznym bruku“, t. zn. przez obóz rewolucji marcowej. A więc mąż stanu, którego olbrzymi wysiłek całego życia niebawem wypełnić ma zjednoczenie i utrzymanie jedności Niemiec — w r. 48 przeciwny jest temu zjednoczeniu nie mniej bezwzględnie, niż niepodległości Polski w czasie Wojny Krymskiej lub powstania styczniowego. Względność zasad politycznych osiąga tu napięcie maksymalne. Zagadnienie to posiada znaczenie olbrzymie i nieraz przełomowe. Wymaga też specjalnego opracowania³⁰⁾.

§ 13. Niepodległość Polski trwała wytyczną miarodajnej polityki Niemiec.

Niepodległość Polski w koncepcjach politycznych niemieckich sfer decydujących, zarówno cywilnych jak i wojskowych, nie była tedy postulatem natury wyłącznie koniunkturalnej — postulatem przygodnym, i dlatego wraz z koniunkturą bezpowrotnie przemijającym. Odbudowa Polski miała tam głębsze podstawy, niż w rojeniach niemieckich liberałów lub pseudo-międzynarodowych doktrynkach niemieckich socjalistów. I dlatego to

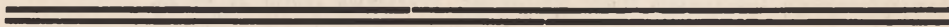
²⁹⁾ **Ludwig:** Bismarck. Geschichte eines Kämpfers (1927) 450 k.

³⁰⁾ **Malinlak:** Demokracja a parlamentaryzm. Prace Biura Konstytucyjnego (Prezydjum Rady Ministrów). Warszawa (1919) 21 — 25.

bynajmniej nie jest rzeczą przypadku, że w czasie Wojny światowej postulat ten z pośród ówczesnych mocarstw wojujących pierwsze wysunęły Niemcy i że uczyniły to w każdym razie i śmielej i wcześniej, niż zawsze opatrnościowa i po wsze czasy niepodległościowa polska endecja. Dla całości osobliwego obrazu dodać należy, że mniej więcej wtedy, gdy Wilhelm II propagował w rządzie niemieckim ideę Polski niepodległej, mianowicie w lipcu roku 1908, Roman Dmowski na zjeździe w Pradze zadeklarował swą solidarność „bez zastrzeżeń“ z neoslawizmem z pod znaku Stołypina! *T a k w r z e c z y w i s t o ś c i w y g l ą d a e n d e c k a n i e p o d l e g ł o ś ć o t y m s a m y m c z a s i e, g d y o n i e j n a s e r j o m y ś l a ł . . . W i l h e l m I I !*

Jest to okoliczność o decydującej doniosłości również i dla oceny orjentacji polskiej, która w Wojnie światowej przez czas pewien była przychylna mocarstwom centralnym. Nie mniej istotny jest fakt, że niezrozumienie dwutorowości polityki Bismarcka i Rzeszy wobec Polski stanowi fatalny błąd, zaprzepaszczający bodajże jedyną możliwość odbudowy Polski w wypadku wojny rosyjsko-niemieckiej.

(Dokończenie nastąpi)



KONRAD WINKLER

A N D R Z E J P R O N A S Z K O

Kiedy przed dwudziestoma niespełna laty tworzyła się w Krakowie grupa formistów, niewiele zastanawiano się nad tem, jakie mogą być przyszłe losy nowatorów i ich rewolucyjnej sztuki. Prasa codzienna, wrogo najczęściej dla formistów nastrojona, pocieszała się myślą, że ów nowy kierunek „nie utrzyma się” w naszych warunkach dłużej niż 2 — 3 lata, ulegając niebawem jakimś kompromitującym przemianom, ku wielkiej satysfakcji dziennikarskich trutniów, pasorzytujących na niewyrobieńcu kulturalnem i instynkcie zachowawczym człowieka ulicy. Dzisiaj, spojrzawszy wstecz, przekonywamy się bez trudu, że ów ruch nowatorski, mimo przeróżnych odchyłeń i dywagacyj, był dla sztuki polskiej tą odświeżającą kąpielą, gdzie współczesna myśl plastyczna w Polsce zahartowała się niejako i nowych nabrała rumieńców. Rzecz jasna, iż formizm, jak każdy prawie kierunek radykalny, musiał poddać szczegółowej rewizji wiele z dotychczasowych poglądów, musiał dokonać mnóstwa przesunień w hierarchji nazwisk, a wywalczywszy sobie prawo do życia szczególnie pod postacią sztuki dekoracyjnej i t. zw. stosowanej — głęboko zakotwiczyl się w kulturalnej glebie współczesnej Polski.

Ów śmiały ruch rewizjonistyczny, przedsięwzięty przez teoretyków formizmu w latach 1917 — 1935, doprowadził wkońcu do gruntownej selekcji tych mocno niepewnych wartości, które nam pozostawiła tradycja ub. stulecia. Wspólnie z „kapistami“, reprezentującymi u nas kult dla sztuki czystej i doszukującymi się w naszej tradycji plastycznej mocnych i trwałych pozycyj, wydobyto na światło dzienne dorobek twórczy kilku czy kilkunastu świetnych, prawdziwie rasowych malarzy, których imiona usunięte w cień niepamięci przez zbyt hałaśliwą i narzucającą się twórczość pogrobowców romantyzmu oraz zwolenników „secesji“ odżyły nanowo, stając się niejako podwaliną własnej, pełnowartościowej tradycji plastycznej, oczyszczonej

z wszelakich przesądów i aktualności, z parafjańskiej estetyki mecenasów „z waszecia“ oraz z naiwnych spekulacji myślowych piszących o sztuce literatów.

Tak więc, po kilku zaledwie latach istnienia grupy formistów, nowatorzy ci więcej zrobili dla plastycznej kultury Polski współczesnej od setek wrzaskliwych i pewnych siebie krytyków i estetyków z przeciwnego obozu, dla których bezlitosna niwelacja uznanych przez nich wielkości oznaczała równocześnie ich osobistą klęskę, podważając ich autorytet i zaufanie w oświeconych sferach społeczeństwa. I jakkolwiek walka z obskurantryzmem plastycznym i pasytywizmem u nas bynajmniej nie jest skończona, jakkolwiek tu i ówdzie przeróżni karjerowicze i arraywiści usiłują podkopać powagę i znaczenie tego żywotnego ruchu, to przecież w miarę zmniejszania się naszego deficytu kulturalnego na odcinku plastyki, sztuka nowoczesna w Polsce — a zwłaszcza ta jej część, która rodowód swój wywodzi z owych pamiętnych czasów walki o formę — zyskuje wciąż na terenie na najważniejszych frontach życia duchowego Polski Odrodzonej.

Andrzej Pronaszko należy do najstarszych weteranów formizmu. Wraz z Tytusem Czyżewskim i z swym bratem, Zbigniewem — stanął on w pierwszym szeregu bojowników polskiej awangardy, zakładając w r. 1917 tow. artystyczne „Formiści“ w Krakowie, gdzie bogaty okres twórczości „Młodej Polski“ miał się już ku końcowi, a na sfałszowanym nieboskłonie polskiej plastyki zgasty już gwiazdy pierwszej wielkości, nie pozostawiwszy po sobie żadnej jaśniejszej smugi, któraby oświeciła drogę nadchodzącemu pokoleniu. Ale człowiek nie jest przeznaczony do odgrywania biernej roli we wszechświecie. Skoro jakaś rzecz zdolna do życia rodzi się w mózgu człowieka, używa on celem jej skonkretyzowania najbardziej ekonomicznego typu środków. Stąd pochodzi znane powiedzenie Pitagorasa, oczarowanego prostotą i logiką w twórczości przyrody, że „Bóg zajmuje się geometrią“. Pronaszko już od zarania swej artystycznej działalności okazywał wyraźną skłonność do ekonomii i uproszczeń w budowaniu plastycznych organizmów, do porządkowania zasadniczych elementów formy i barwy — wychodząc z założenia, że pojęcia sztuki naśladowniczej krępują formę ekspresji artystycznej, unicestwiając bezpośredniość plastycznego wypowiedzania się i instynktowne poczucie rytmu w obliczu zjawisk.

Na tem tle, a nie z przyczyny zwykłego naśladownictwa, powstało niejakię powinowactwo formizmu z kubizmem Picassa'a i Braque'a. Lecz podczas gdy w kubizmie cała procedura, mająca na celu syntezę form według ich wartości plastycznych, wypływała raczej z potrzeby intelektualnego wyżycia się artysty — to u formistów dołączenie się do owej procedury czynnika emocjonalnego dało asumpt do powstania jakiejś nowej postawy

twórczej, gdzie owe naładowania emocyjne musiały w jakiś sposób znaleźć swe ujście. To partykularne odszczepieństwo w twórczej postawie formistów nie było atoli jednoznaczne z porzuceniem przez nich owego wyższego stanu świadomości plastycznej, z której narodził się kubizm. Inna tradycja, odmienne zgoła warunki tworzenia, a przede wszystkim różnice w psychice, temperamencie i wyobraźni tych dwóch narodów stały się przyczyną pewnej swoistości i wyłączności w tendencjach plastycznych formistów — w tendencjach, jakże przypominających nieliczne okresy prymitywizmu w dziejach sztuki światowej. Słusznie zauważył Chwistek, że „wielkość prymitywów polega na tem, że opanowali oni w zupełności zagadnienie świata rzeczywistego i mogli całą uwagę poświęcić zagadnieniom czysto artystycznym“ *). Formiści, a z nimi obaj bracia Pronaszkowie, przeciwstawiając naturalizmowi i impresjonizmowi swój własny, mocno uproszczony schemat widzialności świata — zbliżyli się do prymitywów o tyle, że sprowadzając wielość materiału empirycznego do form zasadniczych, wpłynęli decydująco na zmianę stosunku widza do dzieła sztuki, narzucając temu widzowi jedynie wartości plastyczne obrazu lub rzeźby, niezależnie od tematu i przeróżnych tendencji życiowych.

To arcyważne przesunięcie w zainteresowaniach plastycznych dzisiejszego widza odbywa się wprawdzie niesłychanie powoli — przeciętna społeczność bowiem zawsze jest skłonna do szukania w dziele sztuki własnego wrażenia wzrokowego, — ale wydaje się obecnie rzeczą niewątpliwą, że dawny, bezsporny autorytet naturalizmu w plastyce został dziś w sferach inteligentniejszych poważnie zachwiany. O wiele łatwiej natomiast następuje asymilacja form nowoczesnych w dziedzinie sztuki dekoracyjnej i stosowanej. Tutaj umowna rola symbolu, wyrażonego w kształcie uproszczonym, nie wywołuje tylu protestów i nieporozumień, co w sztuce czystej, której zagadnienia, nie mając żadnych szans do przedarcia się na powierzchnię życia zbiorowego, pozostaną zawsze w orbicie zainteresowań niewielu wyborowych jednostek.

A jednostek tych niestety mamy u nas niezbyt wiele, co wobec wyraźnych skłonności do wysługiwaniania się twórczością plastyczną na wszystkich zagrożonych odcinkach życia społecznego i narodowego, wytwarza sytuację niebezpieczną wprost dla istnienia sztuki czystej, niezaprzęgniętej w jarzmo użyteczności publicznej i sięgającej w sferę zagadnień plastycznych wyższego rzędu. Panująca ogólnie tendencja do naginania twórczości artystycznej do aktualnych przeżyć społeczności wywierać również zaczyna przemożny nacisk na krytykę. Już niewiele w Polsce mamy pism, gdzie swobodne wypowiedzianie się sprawozdawcy artystycznego bywa w pełni tolerowane. Nic więc dziwnego, że w takim klimacie kulturalnym wszelka nowa myśl twór-

cza, wszelakiego rodzaju eksperyment, o ile nie ma poparcia jakiegś znaczniejszej jednostki o wyższych aspiracjach kulturalnych, skazane są zgóry na niepowodzenie i kompletną izolację. Nawet we Lwowie — w mieście, gdzie tyle lat pracował prof. Bołoz - Antoniewicz nad zbliżeniem sfer inteligentnych do czystej sztuki — nie udało się Andrzejowi Pronaszce za pośrednictwem teatru pobudzić zjeżdżającej wyobraźni tamtejszej drobnomieszczańskiej filisterji. Każda prawie sztuka, wystawiona przez dyr. Horzycę w plastycznej oprawie Pronaszki, wywoływała zbiorowe protesty lwowskich melomanów, a ankieta *Kurjera Lwowskiego* z marca 1933 r. „O styl dekoracyjny w teatrze“ odsłoniła mimowoli niebывałe opóźnienie kulturalne lwowskiej inteligencji, która pod tym względem zdystansowała nawet znaną ze swej neofobji Warszawę.

Cała zresztą działalność artystyczna Andrzeja Pronaszki w ciągu około dwudziestu lat — to ustawiczne a prawdziwie bohaterskie zmaganie się, z jednej strony, z niedorozwojem kulturalnym środowiska, z drugiej zaś — z przedziwną dewocją posecesyjną, a następnie naturalistyczną sfer artystycznych. Walka ta trwa po dzień ostatni. Twardo, manjacko, nieustępliwie manifestuje artysta swe estetyczne *credo*. Pamiętam jego doskonałe kompozycje formistyczne z r. 1917 — 1919, jak „Ucieczkę do Egiptu“, fascynujący, niewielkich rozmiarów obrazek w niebieskawej gamie, „Portret żony“, „Autoportret“, które nawet wśród naszych wypróbowanych przyjaciół poważne budziły zastrzeżenia. Jawny antagonizm Pronaszki do wszelkich ustępstw na rzecz pojęć Abdery najlepiej charakteryzuje fakt, że kiedy formiści — po części pod wpływem własnej wewnętrznej ewolucji, po części zaś ulegając w pewnym stopniu naciskowi mieszczańskiej opinji — złagodzili nieco po pewnym czasie swe założenia twórcze, Pronaszko z determinacją rasowego nowatora nie ustąpił ani na krok, wyciągając z formistycznego procederu budowy obrazu jego ostateczne konsekwencje. Okres ów w twórczości artysty, trwający z pewnemi zmianami do roku 1927, przechodzi następnie w neo-realizm — realizm konstruktywny, — gdzie poszczególne elementy obrazu redukuje artysta do minimum i gdzie w formułowaniu myśli plastycznej występuje nowy mechanizm twórczy, podobny do tego, jaki rządzi w ogólności zasadami matematyki i filozofji. Sublimacja elementów formy, wyrazu kolorystycznego, faktury, światła i t. p. dokonywa się tutaj na podstawie selekcji indywidualnej artysty, eliminującego wszelakie nieistotne szczegóły, to znów podnoszącego owe szczegóły do godności akumulatora treści życiowej obrazu. Prawda artystyczna polega tu głównie na harmonji całości przy uwzględnieniu peryferyj kompozycji, wciągając w to również ramę ograniczającą przestrzeń malowidła. W ten sposób powstaje szereg „martwych natur“ Pronaszki — przeważnie kompozycji silnie w barwie skonstrastowanych, zachowujących jednak w sobie wiele elementów rzeczywistości, a częściowa deformacja

tej ostatniej, doskonale po malarsku przemyślana i uzasadniona, ogranicza się przeważnie do koniecznych przesunięć, rozmieszczeń lub też eliminacji tych fragmentów formy, które w ogólnej koordynacji obrazu są zbyteczne albo też reprezentują poniekąd punkty oporu przeciw doskonale pojętej całości. Metoda ta, doprowadzona w twórczości członków grupy „ar“ do ostatniej konsekwencji (w t. zw. unizmie), dzięki dawnym związkom Pronaszki z formistami stała się w jego sztuce jedynie czynnikiem puryfikującym jego osobisty pogląd na plastyczny sens natury. Pronaszko jest zanadto malarzem, by go mogły porwać za sobą wyłącznie teoretyczne racje malarstwa, chociażby jaknajlogiczniej uzasadnione i pozbawione wszelkich ubocznych tendencji, równie słuszne, jak i nieżyciowe i z odwiecznym instynktem człowieka: plastycznego wyobrażania świata — bynajmniej niezgodne. Maluje on dla samej rozkoszy malowania, a nie dla wzbogacenia prawdy obiektywnej w sztuce o jakiś nowy kanon estetyczny. Nie uchyla się wprawdzie od ogólnych praw nowoczesnej ikonografii, ale też nie wyprowadza z nich teoretycznie najdalej idących nakazów czy wniosków. Efektów faktury używa oszczędnie, celowo, nie usiłując zaskoczyć widza ani niezwykłością, ani też obiektywną doskonałością swej malarskiej „kuchni“. Maluje obrazy a nie preparaty, dawne przyzwyczajenie z czasów formizmu: poszukiwania indywidualnej formy wyobrażonych na płótnie przedmiotów — chroni jego malarstwo tak przed oschłością schematyzowania, jak i przed dekoracyjnym efekciarstwem formalnej stylizacji. Na ostatnim „salonie“ I. P. S. widziałam niedawno jedną z jego kompozycji „Pan Mecenas“ — obraz sporych rozmiarów, w swem barwnem i fakturowem założeniu niezupełnie, jak to mówią, „dociągnięty“, ale dzięki tym problemom i śmiałości w ich rozwiązywaniu na nowej u nas płaszczyźnie — będący chlubnym przykładem zmagania się artysty o własny plastyczny wyraz z pominięciem wszelkiej kokieterii i malowanej „literatury“. Obraz ten stanowi niejako miarę moralności artystycznej Pronaszki i rzetelnej prostoty jego stosunku do sztuki.

Ale najbardziej ofiarną walkę o nową sztukę prowadzi artysta na froncie teatru. Wygląda to na prawdziwie bohaterski epos, któremu należy się poczesne miejsce w dziejach polskiej sceny. Pierwsze kroki stawia artysta w teatrze w Zakopanem w r. 1915, gdzie wspólnie z Żeromskim i bratem swym, Zbigniewem, wystawia ostatnią scenę z *Legjonu* Wyspiańskiego oraz *Lillę Wenedę*. Była to pierwsza w Polsce inscenizacja, oparta na nowoczesnem ujęciu plastyki scenicznej, włącznie z grą aktora, jego kostjumem i gestem. Zaangażowany następnie do teatru łódzkiego, wystawia tam w modernistycznej oprawie *Hamleta* — ale ostry protest świata teatralnego i łódzkiej publiczności paraliżują wkrótce dalszą pracę naszego awangardzisty. Podobnie rzecz się miała w lwowskim teatrze pod dyrekcją Żelazowskiego.

Pierwszy poważniejszy sukces w teatrze odnosi artysta w Łodzi za dyrekcji Zelwerowicza. Daje tam formistyczną oprawę *Powodzi* O'Neill'a, a następnie za dyrekcji Z. Noskowskiego *Bolesławowi Śmialemu* Wyspiańskiego. Po raz pierwszy zjawiają się tam usztywnione kostjумы, zachowujące przy każdym ruchu aktora raz wyznaczoną im formę — lecz, niestety, powstały podczas trzeciego przedstawienia tej sztuki pożar niszczy doszczętnie gmach teatralny, a z nim wszystkie dekoracje i projekty.

Pobył Pronaszki w r. 1922 — 1923 w krakowskim teatrze im. Słowackiego za dyrekcji Trzcńskiego wiąże się z wysiłkami artysty w celu całkowitego opanowania techniki inscenizacyjnej w zakresie plastyki i stworzenia własnej konwencji teatralnej w myśl nowej estetyki sceny. Ta ostatnia przestaje być już polem do popisu dla rutynowanego, ale najczęściej bezmyślnego „pacykarza” konwencjonalnych dekoracji, zrodzonych z banału i blichtru operowego, a uświęconych tradycją teatru barokowego z XVII wieku. Nawiązując w pewnym względzie do tradycji Wyspiańskiego, Pronaszko wyzwolił ostatecznie teatr krakowski z rutynicznego patrzenia i dzięki swym eksperymentom inscenizacyjnym podważył mocno niezachwiany dotąd autorytet dawnego stylu teatralnego.

Lecz dopiero w Teatrze im. Bogusławskiego w Warszawie zabłysnął w całej pełni talent zuchwałego modernisty. Teatr ów wśród teatrów miejskich w stolicy miał być sceną „popularną”, zaś jego repertuarem — melo-dramat. A jednak dyr. Schiller, najwyższej rafinady gustów i smaków „człowiek teatru”, a z nim Andrzej Pronaszko nie mogli pominąć tej świetnej okazji, by na własne ryzyko nie dać ujścia swemu wrodzonemu instynktowi teatralnemu. Sprawiedliwość nakazuje przyznać, że w owym wspaniałym wy-czynie teatralnym, jakim był bezwątpienia szereg doskonale wystawionych sztuk z wielkiego repertuaru w tym teatrze, głównym inicjatorem i promotorem nowych idei stał się niemal wyłącznie Andrzej Pronaszko. Jego to pomysły i wizje plastyczne inspirowały Schillera, dając temu ostatniemu możliwość zademonstrowania w całej pełni swych daleko idących aspiracji.

Nie obeszło się przytem bez walki. Silne indywidualności tych wytrawnych artystów teatru, ścierając się tutaj na każdym kroku i przenikając się wzajemnie, nie zdołały uniknąć głębszych między sobą konfliktów. Sam Pronaszko wspomina o tem nieledwie z goryczą — kiedy w *Opowieści zimowej* Szekspira, która poszła „na pierwszy ogień”, ściągnął na siebie burzę potępienia całego zespołu teatralnego. Siedmiometrowej wysokości formistyczny Apollo, przedziwne konie i wozy, morza i drzewa, jakich nikt nigdzie nie oglądał — abstrakcyjna architektura i usztywnione kostjумы, nieprawdopodobnie szerokie podesty i strome, monumentalne schody — wszystko to, razem wzięwszy, wywołało ostry sprzeciw aktorów i reżysera. Pronaszko zgłasza

swą dymisję, a próba generalna jest dla autora tych „dekoracyj” prawdziwym sądym dniem, pełnym histerycznych napaści i drażniących nieporozumień. Ale premiera odnosi wielki a nieoczekiwany sukces. Staje się rewelacją. Udobruchany Pronaszko pozostaje nadal na swym stanowisku, powołując do współpracy swego brata. Następuje szereg świetnych realizacyj plastycznych w *Kniaziu Patiomkinie*, w *Róży* Żeromskiego, w *Achilleis* Wyspiańskiego, które szeroko rozślawiają imię braci Pronaszków.

Ich metoda jest dosyć prosta. Interesuje ona raczej swą problematyką w plastycznym ujęciu scenicznego wnętrza, aniżeli samą dekoracyjnością elementów wizualnych w *mise en scène*. Owa problematyka wiąże się celowo a dyskretnie ze śmiałym rozmieszczeniem węzłów plastycznych na scenie, oraz z przewaloryzowaniem dotychczasowego materiału plastycznego na abstrakt scenicznej metafory. Umowna rola prymitywnych dekoracyj teatru szekspirowskiego powraca w zmienionej formie: konstrukcji scenicznej, gdzie sugeruje się widzowi tylko jej najważniejsze, najbardziej istotne elementy. W rozbudowie sceny doprowadzono syntetyzm plastyczny do ostateczności prawie, osiągając nowy rodzaj teatralnej ekspresji. Ale nowoczesny plastyk sceniczny daje nie tylko sam materiał wizualny — on organizuje również ruch aktora na scenie, rozplanowuje teren akcji i stwarza odpowiednie momenty dla najintensywniejszej emanacji treści ideologicznej scenicznego utworu. Pomaga sobie w tem światłem, dźwiękiem i logicznym urytmizowaniem ruchu aktora na scenie. W ten sposób plastyk sceniczny wdziera się dziś śmiało w atrybucje reżysera, przejmując część jego odpowiedzialności na siebie i stając się temsamem współtwórcą przedstawienia w istotnem słowa tego znaczeniu.

Bezsporną zasługą Andrzeja Pronaszki, a poczęści i jego brata, Zbigniewa — jest odnalezienie właściwego rytmu plastycznego w treści emocjonalnej niektórych utworów z klasycznego repertuaru. Tu nie chodzi tyle o ów okrzyczany konstruktywizm sceniczny, ile o nową formę symbolu — o formę uproszczoną, skondensowaną, działającą na kulturalnego widza o wiele potężniej, aniżeli ów groteskowy naturalizm operowy z całą swą rupieciarnią iluzjonistyczną i sentymentalną nastrojowością. Artysta nie sili się bynajmniej olśnić widza ani wspaniałością barwnej czy formalnej gry elementów na scenie, ani niespodziewanością ujęcia i budowy sceny, ale stara się zbliżyć niejako zasadniczą myśl poety do widowni, przepoić tą myślą całą atmosferę przedstawienia i zamknąć ją w doskonałych ramach plastycznej kompozycji. Uczy przytem widza myśleć kategorjami czysto plastycznymi, niezależnie od ideowych przesłanek literackich, tak, by widz się łudził, że wrażenia, jakie odbiera patrząc na plastyczną transpozycję słów poety, równe są tym, jakie mu się narzucały podczas lektury danego utworu.

Kino nauczyło nas w tem bardzo wiele. Kino nauczyło nas przedewszy-

stkiem patrzeć innem, nieuprzedzonym okiem na wartości plastyczne autonomicznej sztuki teatru. Zmusiło nas do szacunku dla pogardzanej doniedawna rzeczywistości na scenie, oraz dla środków ekspresji, którymi ona w swym zakresie rozporządza. Dobry teatr nie potrzebuje posługiwać się atrybutami sztuki filmowej, posiada on bowiem w swym zapasie niewyczerpane możliwości ożywienia i zaktualizowania scenicznej przestrzeni, do czego mu pomaga nowoczesna technika inscenizacyjna. Nie potrzebuje się on również obawiać konkurencji z kinem w dziedzinie wrażeń plastycznych — o ile, rozumie się, nie zrezygnuje z swej twórczej postawy wobec wszystkich zagadnień sceny i nie sprzeda swego artystycznego pierworództwa za misę wątpliwych efektów, zapożyczonych z innych sztuk na lichwiarski procent. Sztuka sceniczna nie może być ani zastygłym w bezruchu obrazem stalugowym, ani pełnym szalonego tempa wycinkiem taśmy filmowej. Teatr musi pozostać teatrem.

Prostą tę prawdę dobrze pojęli bracia Pronaszowie. W ich plastycznych inscenizacjach niema ani fałszu sztuki iluzjonistycznej, ani też żadnych usiłowań, zmierzających do walki o lepsze z literaturą. Andrzej Pronaszko, przy swej niemal wrodzonej awersji do sceny pudełkowej i wogóle do tradycyjnego typu teatru, pragnąłby nawet posunąć autonomję sztuki teatru tak daleko, gdzie dawne a podstawowe elementy, składające się na całość przedstawienia, absolutnie już nie wystarczają. W ankiecie *Wieku XX* p. n. „O Teatr Przyszłości“ (Nr. 2 z kwietnia 1928 r.) pisze artysta w swym autoreferacie, że „teatr, którego „duszą“ jest autor czy reżyser, malarz czy aktor, teatr, który się w ich sztuce zasklepia i z nich czerpie rację swego bytu, ten teatr musi przestać istnieć. Teatr bez „reżysera“, teatr bez „malarza“, teatr bez „autora i aktora“ jest teatrem, który stoi dziś u wrót nowych objawień, nowej twórczości ludzkiego ducha“.

Jakże więc wyobraża sobie Pronaszko ów „Teatr Przyszłości“ — teatr bez reżysera, bez aktora, ba! bez autora? „Potrzeba mi w teatrze, — pisze tam dalej artysta, — ostatniego krzyku życia, tego, które codzień w kurczach ginie i codzień w bólach się rodzi. A tego żaden aktor nie da i dać nie może. Najpotężniejsze słowo, najmocniejszy zamysł gestu umiera, gdy jego interpretatorem staje się aktor“... „Wolę gigantofon, który może zamiast niego mówić, wolę maszynę, która za niego może się ukazać“... „Zadaniem teatru nie jest odtwarzanie życia, ale chwytanie jego pędu, jego wołań, chwytanie i objawienie tej siły, która mu pęd nadaje“... „Teatr musi wypaść na ulicę, krzyczeć i gadać ze wszystkich stron. Z bramy, z dachu, balkonu, z auta. Do tych, którzy przyjdą do centrali, w centrali. Tych zaś, którzy przyjsć nie chcą, lub nie mogą, musi złapać na ulicy, ująć i opanować“... „Teatr Nowy — to olbrzymia maszyna, w której ginie, jak na terenach Wielkiej Wojny, postać ludzka, ginie i znika z jego powierzchni“...

A więc całkowita mechanizacja i maszynizacja teatru? Zamiast aktora — gigantofon i konstrukcja, zamiast reżysera — mechanik, który z kabiny, naciskając całe systemy sygnałów, wprowadza w ruch głosy, postacie, światła, realizujące problemy teatru „Jutra“. W przededniu tego „jutra“ usiłuje Pronaszko urzeczywistnić jego fazę wstępną. „Zasadą przy komponowaniu dekoracyj i kostjumów, — pisze, — powinien być *kierunek ruchu*“. Kostjum czy dekoracja winny być regulatorem tego ruchu. Wymuszają one na zakutym w nie aktorze pewne ruchy, a uniemożliwiają inne: „Aktorzy, — powiada Pronaszko, — nigdy nie mogli zrozumieć, dlaczego schody, które dla nich kazałem robić, były niejednokrotnie za strome“. Artyście chodziło tutaj widocznie o ograniczenie swobody aktora i sprowadzenie jego gry do wspólnego mianownika jakiejś konwencji stylowej. Ów „kierunek ruchu“ ma również swoje uzasadnienie w rozplanowaniu i rozbudowie scenicznego wnętrza, gdzie aktorowi narzuca się poprostu miejsce gry oraz mechanikę jego ruchu i gestu — zależnie od akcji, jej kolejności i jej napięcia w stosunku do poszczególnych planów *mise en scène*. Kompozycja inscenizacji musi wyrzucić wszelkie zbyteczne sprawy, wszelkie rupiecie, które utrudniają należyte zrozumienie istotnej myśli kierowniczej scenicznego utworu.

Po niespodziewanem zamknięciu Teatru im. Bogusławskiego, który był solą w oku warszawskich „łyżków“, Pronaszko nie może nigdzie znaleźć warsztatu pracy. Przyłgnęła do niego niezbyt u nas pochlebna opinia niebezpiecznego a upartego modernisty-doktrynera, którego działalność w sferze teatru płoszy sen z powiek zramolizowanych melomanów. Nie mogąc pracować w teatrze, tworzy jednak dla teatru i wraz z arch. S. Syrkusem wysuwa nową ideę organizacji przestrzeni teatralnej, publikując ją pod nazwą „Teatru Symultanicznego“. Częściową konkretyzację tej idei podziwia Warszawa w *Golemie Asza* — sztuce, wystawionej w Cyrku Warszawskim w r. 1929.

Następne lata dają Pronaszce nowe pole do popisu w Teatrze Wielkim we Lwowie. Dyr. Horzyca, niezwykle kulturalny i w całym tego słowa znaczeniu twórczy kierownik lwowskiej sceny, w przeświadczeniu, że w naszych warunkach ideałów teatru artystycznego z zasadami teatru dochodowego absolutnie pogodzić się nie da — zaangażował Pronaszkę, ceniąc w nim nie tylko śmiałego i świadomego swych celów nowatora, ale także znakomitego znawcę techniki inscenizacyjnej i spraw teatru. Następuje szereg doskonale a nowocześnie zorganizowanych przedstawień z wielkiego repertuaru, jak *Sen nocy letniej* Szekspira, *Krzyczcie Chiny* Tretiakowa, *Samuel Zborowski* Słowańskiego, *Zbyt prawdziwe, aby było dobre* Shawa, *Jeńcy* Marinetti'ego, *Jutro* Conrada-Korzeniowskiego, *Wesele* Wyspiańskiego w plastycznej inscenizacji Pronaszki. W tym czasie otrzymuje nasz artysta za *Powrót Odysa* Wyspiańskiego państwową nagrodę teatralną.

Przy końcu pobytu Pronaszki we Lwowie nastąpiła w jego pracach inscenizacyjnych wyraźna ewolucja. Skłonności dawnego formisty do pewnych sugestyj formalnych, do wyrażania przestrzennych walorów kształtu jako bryły — pozostają w jego sztuce prawie niezmienione. Ale do jego metody porządkowania i konstruowania scenicznej przestrzeni wdzierać się powoli zaczyna nowy sens kompozycyjny: architektonika sceny, przyczem treść plastyczna *mise en scène*, stając się bardziej czytelną, sprowadza się ostatecznie do niewielkiej ilości elementów na scenie. Daje to nowy charakter wrażeń wzrokowych, gdzie poszczególne znaki-symbole, w ujęciu prawie realistycznym i najbardziej typowym, ułatwiają widzowi nawiązanie kontaktu z plastyczną wyobraźnią artysty. Są to pierwsze zwiastuny t. zw. neo-realizmu na scenie, który już zresztą w pierwszych pracach niektórych formistów znalazł swe częściowe bodaj uzasadnienie. Najbardziej charakterystycznym przykładem tej ewolucji była inscenizacja plastyczna *Dziadów*, granych w reżyserji Schillera we Lwowie, następnie zaś w Wilnie i w Teatrze Polskim w Warszawie. Pronaszko dał tu z siebie wszystko, na co go tylko było stać — dał przede wszystkim niezwykle głęboko przemyślaną syntezę myśli kierunkowej mickiewiczowskiego arcydzieła, idei, wyrażonej środkami tak prostymi a nawet pozornie ubogimi, że trafić mógł w ten sposób jedynie do wyobraźni ludzi wyborowych, tej elity intelektualnej, dla której widowisko sceniczne nie jest tylko zwyczajną rozrywką po pracy, ale także terenem, gdzie krystalizują się twórcze indywidualności ludzi teatru. We wspomnianej ankiecie *Kurjera Lwowskiego* jeden z autorów zauważył poniekąd słusznie, że plastyk teatralny musi uzgodnić swą postawę z postawą widowni. Teatr nowoczesny musi dać szerokim masom to, czego masa ta wymaga, musi zrezygnować ze swych ambicij estetyzujących i pójść w służbę propagandy. To prawda. Ale z tego bynajmniej nie wynika, że twórca przedstawienia, t. j. reżyser, plastyk teatralny i t. p. — winien zniżyć się do pospolitych gustów tłumu i... że ma ponosić moralną odpowiedzialność za lenistwo duchowe, zramolizowanie i kompletny brak wyobraźni wśród przeważnej części naszej pół i ćwierćinteligencji. Kto szuka w teatrze jedynie rozrywki, pustej i bezmyślnej, niech idzie lepiej do cyrku — chociaż i w tym cyrku, pod grubym nalotem rutyniarstwa zawodowego i zwyczajnej błagi, wrażliwy widz doszukać się może czegoś więcej — gdzie w takt policzków, sypanych obficie kłownom, biegnie ku nam ponury cień sponiewieranej, gwoli uciesze tłumu, godności człowieka...

Jeśli mickiewiczowskie *Dziady* w plastycznej oprawie Pronaszki nie zdołały trafić do wrażliwości estetycznej dzisiejszego widza — to przyczyna tego stanu rzeczy tkwi gdzieś indziej, a w każdym razie nie w „konstruktywistycznym uporze“ teatralnego plastyka. Przyczyny owej należy przede wszystkim szukać w naszej psychice, w naszych predyspozycjach uczuciowych, któ-

re gruntownie przeorała wojna światowa. *Dziady* przestały być poprostu aktualne dla nowego pokolenia, zestarzały się — nie jako emanacja mickiewiczowskiego genjuszu poetyckiego, ale jako idea, którą one reprezentują. Wmawiać w nas dzisiaj legendę o specjalnem powołaniu Polski wobec tych ciężkich i rzadko w historii świata widzianych nadszperników i przewin, które upadek Państwa Polskiego poprzedziły — wydaje się nam dzisiaj zbyt ryzykowne. „Wolno w Polsce jak kto chce“ i „Polska nierządem stoi“ — te straszliwe w swem istotnem znaczeniu mowy przeszłości, tej przeszłości, która wydała Kossakowskich, Massalskich, Branickich i t. p. — przesłaniają nam obecnie swym cieniem upiornym wszystkie nasze klęski i nędzy w okresie porzobiorowym, gdzie bohaterstwo i poświęcenie walczących o wolność było jedynie konieczną ekspiacją i zadośćuczynieniem za zbrodnie dawnych pokoleń, popełnione na żywym ciele narodu. Polska porzobiorowa nie „Chrystusem“, ale „Wielkim Pokutnikiem Narodów“ — taka idea trafiłaby snadniej do poczucia sprawiedliwości dzisiejszego pokolenia, poczucia mocno zahartowanego w kataklizmie wojny światowej.

Ale za to rażące nas dzisiaj nieporozumienie plastyczna realizacja *Dziadów*, wprost genialnie przez Pronaszkę pomyślana i przeprowadzona, bynajmniej odpowiadać nie może. Główną jej zasługą jest zamknięcie mickiewiczowskiego utworu w jedną integralną całość, gdzie poszczególne a luźnie z sobą powiązane fragmenty poetyckie *Dziadów* właściwego dopiero nabierają wyrazu. Gdziekolwiek akcja się tam rozgrywa — czy na cmentarzu, czy w celi więziennej, na sali balowej, czy też w gabinecie moskiewskiego dygnitarza — rozwarłe wnętrza, bez ścian i sufitów, ciągle ukazują nam ciemne, tajemnicze niebo, a na jego tle w głębi wyniosłe wzgórze z trzema krzyżami na szczycie: wzniosły symbol Golgoty uciemnionego narodu. Tylko tu i ówdzie, w scenach przedstawiających zamknięte wnętrza, nieliczne fragmenty ściany, jakieś draperje czy sprzęty markują charakter miejsca.

Pomysł jest niewątpliwie śmiały i oryginalny. Ale rezygnując z przedstawienia lokalnych właściwości wnętrza i jego charakteru, utrwala artysta w wyobraźni widza główną wizję poety, wiążącą poszczególne fragmenty przedstawienia w jedność zasadniczego kamertonu. Sprawdza się tutaj dosłownie zdanie Meyerholda, że ideologia dzieła teatralnego tylko wtedy oddziaływa skutecznie, gdy jego technologia stoi na wysokości zadania.

W tym mniej więcej czasie powstaje u Pronaszki koncepcja „Teatru Ruchomego“. Opuszcza więc teatr lwowski, by przy poparciu Funduszu Kultury Narodowej poświęcić się całkowicie temu nowemu zadaniu. W pierwszych miesiącach 1935 r. demonstruje swój model, wygłaszając przytem szereg odczytów w poważniejszych ośrodkach kulturalnych kraju. Artyście chodzi tu głównie o to, by uprzystępnąć sztukę teatru najszerszym masom

społeczeństwa, by wyjść naprzeciw tej publiczności, która w naszych warunkach do teatru z różnych przyczyn dostępu mieć nie może. Pragnąłby on widzieć w owym teatrze nie rozpróżnionych snobów, szukających tam jedynie rozrywki, nie mieszkańców śródmieścia w wielkich metropoljach i centrach kulturalnych, ale przede wszystkim lud, owe zaniedbane moralnie i kulturalnie monady ludzkie, mieszkańców przedmieść i dalekich odludnych osad i wsi.

Cały budynek „Teatru Ruchomego“ jest konstrukcją z żelaza, łatwo przenośną i rozbieralną. Konstrukcję tę okrywa z zewnątrz płótno brezentowe, zaś od wewnątrz ciemno-niebieskie płótno, spełniające równocześnie rolę tła dla terenów gry i dekoracyj. Ruchomą, amfiteatralną widownię otacza ze wszystkich stron przestrzeń sceny — odwrotnie niż w teatrze tradycyjnym. Kurtyny ani kulis niema — zbędne są tu również kuluary, palarnie, korytarze, gdyż z braku jakichkolwiek przerw i antraktów przedstawienie nie powinno ciągnąć się dłużej niż $1\frac{1}{2}$ godz., co umożliwia równocześnie wystawienie sztuki 2 — 3 razy dziennie. Ruchoma widownia, mieszcząca się w środku teatralnego budynku, obracając się naokoło swej osi, przesuwa widzów z jednego terenu gry na drugi, idąc w ślad za rozgrywającą się akcją i umożliwiając także rozwinięcie gry na wszystkich terenach jednocześnie, podobnie jak to ma miejsce w projektowanym przez Pronaszkę i Syrkusa „Teatrze Symultanicznym“. Wobec tego procederu, przedstawienie skomponowane jako pewna ilość scen następujących po sobie bez przerwy może liczyć na bliski kontakt z widownią — nie załamuje się i nie pacy, osiągając swobodnie swe kulminacyjne punkty.

Pomysł Pronaszki jest rzeczywiście niepospolity. Przez niewidziane dotąd rozmieszczenie widowni i sceny rozwiązuje on równocześnie zagadnienie nowoczesnego stylu teatralnego w tym znaczeniu, w jakim był dawniej styl starożytnego mimosu ludowego, commedii dell'arte i widowisk linoskoków paryskich. Podnosi on także społeczne znaczenie teatru, jego związek funkcjonalny z całokształtem życia zbiorowego, przenikając do jego najskrytszych, najbardziej kulturalnie izolowanych komórek. Dla reżysera, inscenizatora i plastyka teatralnego staje się atrakcją wyższego rzędu, zmuszając tych twórców przedstawienia do solidnego komponowania tegoż w myśl praw nowoczesnego teatru. A więc zmusza ich przede wszystkim do porzucenia dawnej metody iluzjonistycznej na scenie, aktora zaś — do uzgodnienia swej roli z ogólną koncepcją widowiska. Nie wyklucza bynajmniej realizmu na scenie, ale nie dopuszcza do powierzchownych efektów i tricków technicznych, stosując n. p. światło nie jako środek do przeżywania jakiegoś „nastroju“, lecz powierzając temu światłu arcyważną funkcję organizatora wizualnej części przedstawienia.

Niewątpliwie, realizacja „Teatru Ruchomego“ Andrzeja Pronaszki może w przyszłości odrodzić sztukę teatru w Polsce — może odrodzić sztukę aktorską równocześnie, przemawiając do współczesnego widza żywym językiem nowoczesności. Teatr jest bowiem królestwem człowieka — człowieka, walczącego o swój dzień dzisiejszy i o swe „jutro“. Jako instytucja wybitnie agitatywna i propagandowa, teatr nowoczesny musi w swych murach stworzyć emocje i przeżycia, dostępne dla najszerszych warstw narodu, — musi tym warstwom wyjść naprzeciw i wyrównać różnice jakości kulturalnych między temi warstwami. Aby ów cel osiągnąć, teatr nowoczesny nie może być ani budą jarmarcznią, ani też terenem popisu rozambicjonowanych aktorskich „solistów“, tej artystycznej „nobility“, wokół której pęta się liczne grono szarych, bezosobowych komparsów. Teatr nowoczesny musi tworzyć, musi wejść w masy tylko z dobrą sztuką, z tworzywem głęboko przemyślanem i jaknajskrupulatniej przygotowanym. Teatr ów winien być więc dobrze skonstruowanym organizmem artystycznym, logicznie przeprowadzoną w każdym calu *jednością*.

W walce na kilku frontach naraz powstaje dzieło Andrzeja Pronaszki. Nie jest ono może jeszcze zupełnie doskonałe, a jak na nasze warunki, zbyt może agresywne i zbyt może jednostronnie przeżyte i skryształizowane — ale bezwzględnie twórcze, kierunkowe, reprezentatywne. Ma to dzieło przytem — w dziedzinie teatru zwłaszcza — poważną zasługę inicjatorstwa i tę siłę sugestywną, która jest udziałem jedynie twórczości na prawiecznym instynkcie plastycznym opartej, wywodzącej swój rodowód z koniecznej potrzeby szukania jedności wszechświata i boskiego pokrewieństwa wszystkich rzeczy na ziemi. I jakiegokolwiek miałyby być przyszłe drogi polskiego teatru, czyn Pronaszki wyrażony w jego stylu plastycznej inscenizacji pozostanie w dziejach naszej sceny dokumentem czasu, świadectwem rzetelnego wysiłku i zdecydowanej woli twórczej, *woli formy* — tej ewangelji naszej epoki, epoki, reprezentującej zasady porządku, dyscypliny, prawa, przy pełnem poczuciu wolności, łączności i swobody twórczej.

Warszawa, w czerwcu 1935 r.

*) Dzieło zbiorowe „O sztuce nowoczesnej“, cz. II — Leon Chwistek: *T r a g e d j a n a t u r a l i z m u*. Wyd. Tow. Bibliofilów w Łodzi; 1934, str. 94.

T. Z. KRĘPSKI

O N I E P O K O J U CHRZEŚCIJAŃSKIM

Paradoks, — byle nie wietrzony oddawna, — może długo spać nieporuszonym snem, bez obawy rewizji. Dopiero narastanie warstw życia, zwykle coraz bardziej złożonych, ujawnia zbyt uproszczone oblicze opinij, których nikt bliżej nie sprawdzał. Takiej rewizji powinien się doczekać zarzut, czyniony katolicyzmowi (*vel* chrześcijaństwu), jakoby on jeden ze wszystkich wyznań wprowadzał dusze w stan niepokoju, niezgodny z radością życia.

W nieśmiało *distinguamus* mniej apodyktycznego stanowiska trafiają różne pociski grubego kalibru. Mówi się, że św. Augustyn sam się przyznawał do niepokoju serca („*Inquietum est cor meum*“) ¹⁾. Przytacza się takie nazwiska frontowych katolików i niekatolików — ludzi „obarczonych“ zarówno głęboką wiarą, jak i dręczącym niepokojem, jak Pascal, Baudelaire, Dostojewskij. Nie na tem koniec: przychodzi na pomoc list A. Gide'a z dn. 24 marca 1928 r., w którym pisze on do Mauriaca: „Najbardziej chrześcijańską cechą w tobie jest właśnie twój niepokój“; a dalej — broszurka samego Mauriaca *O udreće Rivière'a* (*Le tourment de Rivière*).

Przecież, — powiadają nam, — ten młody krytyk francuski (nawrócony pod wpływem Claudela) wprost błagał Boga o odwrócenie od niego „pokusy świętości“, z obawy przed wewnętrznym nakazem wyrzeczenia się „rozkoszy i uciech“, których doznawał, które umiłował i które miał nadzieję jeszcze przeżywać, jako ojciec, mąż i pisarz (*A la trace de Dieu*). Rivière wprost woła, że „świętość nie jest jego sprawą“, że nadmiar cierpienia mógłby go pozbawić swobodnego czasu, który pragnie użyć „inaczej“ dla służby Bożej.

¹⁾ „Wyznania“, str. 1 (tłum. franc. Pierre de Labriolle).

Udręka Rivièrè'a — to niezwalczony argument. Trzeba będzie do niego powrócić po wyliczeniu reszty zarzutów i odpowiedniem ich oświeceniu.

Słyszemy dalej: od początku chrześcijaństwa cóż innego miały znaczyć masowe ucieczki od życia anachoretów? Czem była niesamowita flora eremów, którą pokryły się odrazu pustynie dookoła morza Śródziemnego i którą zakwitały później leśne puszcze północy, dając początek cenobitycznemu życiu klasztorów? A same klasztory? Czy może nie są wymownym dowodem samolubnego lęku o zbawienie własnej duszy, przejawem instynktu ludzi zdręczonych, którzy pragną wykupić siebie od kary wiecznej za cenę wyrzeczenia się wszystkiego, co trąci urokiem lub radością życia? Rozstrzyga tu zresztą tekst ewangeliczny: „Zaprawdę wam powiadam, że niemasz żadnego, który opuścił dom albo rodziców, albo braci, albo żonę, albo dzieci dla Królestwa bożego, a nie miałby wziąć daleko więcej w tym czasie, a w przyszłym żywot wieczny“ (Łuk. XVIII v. 29). Po tem powiedzeniu Chrystusa prawdziwy katolik nie może chyba zażywać spokoju nawet wśród rodziny, względnych chociażby wygod i dóbr. I czy podobna jeszcze się dziwić, że w wiekach żywej wiary *acedia*²⁾ przybrała wszystkie cechy duchowej epidemii?

Jeżeli przytoczone zarzuty nie wyczerpują wszystkich „dowodów“, określają przynajmniej postawę tych, co w samej istocie nauki chrześcijańskiej upatrują zasadniczy brak pogody i niepokojąco ponury stosunek do życia. Kto wie, czy nie wypadałoby się na to zgodzić, gdyby nie ten wieczysty Janus — bożek dwulicowości wszystkich spraw ludzkich, który dziś ukazuje nam już nie dwa oblicza, ale wielką ich mnogość. Ten Janus nie pozwala na przyjęcie jednostronnie postawionej tezy, zmusza — wobec każdej — do poważnych zastrzeżeń, a w zagadnieniu, które nas zajmuje, do poddania rewizji samego pojęcia „niepokoj“, przez wzgląd na różnorodność jego odcieni i źródeł.

Przedewszystkiem główną przyczyną niepokoj, tak w życiu jednostek, jak w życiu społeczeństw, będzie zawsze *niepewność, towarzysząca okresom przełomu*. Coś u podstaw zwietrzało, wykrusza się, powodując drobne wstrząsy. Fundamenty zaczynają się chwiać, wiara w ich wytrzymałość ustępuje zwątpieniu: od tej chwili dominującą rzeczywistością staje się niepewność i tu zjawia się psychologiczny moment niepokoj. Te obawy dobrze są znane współczesnym pokoleniom. Kto z nas np. zaprzeczy, że nadciągające drugie *millenium* budzi bardziej usprawiedliwione obawy od tych, które towarzyszyły zbliżaniu się pierwszego tysiąclecia naszej ery?

²⁾ Przygnębienie. Ogólne zniechęcenie do życia. „Żywe kamienie“: smutek nie-rządny.

Może kiedyś sporadyczne przyływy zbiorowego niepokoju, które nawiedzają ludzkość, pobudzą historyków do ściślejszego zbadania ich ukrytych powodów. Ale nam zachwianie się pewności we wszystkich dziedzinach życia — sceptycyzm intelektualizmu, w parze z gorączką metafizycznych dociekań, posuniętą aż do zabobonu i wieszczbiarstwa (Augustyn poganin) — już dziś tłumaczą aż nadto psychiczne nastawienie św. Augustyna, Pascala, Baudelaire'a, Dostojewskiego. U Dostojewskiego przybywa jeszcze jeden czynnik: żelazny ucisk caratu, któremu on nie umiał nic przeciwstawić, prócz beznadziejności chorego człowieka. Wreszcie dla trzech ostatnich, jako motywy depresji, grały olbrzymią rolę odziedziczone lub nabyte obciążenia fizyczne. Motywy takie trzeba umieć rozróżniać. Zanim się pośpiesznie ogłosi, że objawy niepokoju trafiają się głównie u chrześcijan, należałoby wpierw sprawdzić, co taki zakłócony psychicznie — rzeczywisty czy przygodny chrześcijanin — wniósł ze sobą do swego chrześcijaństwa i co za sobą wlecze.

W ciągu ostatnich lat we Francji zajmowano się sporo zagadnieniem niepokoju. Pisali o nim Daniel Rops (*Le monde sans âme*), Benjamin Crémieux (*Nôtre inquiétude*), Jules Chaix (*Inquiétude et reconstruction*). Nie wchodzę w rozbiór ich książek, ani w różny zasięg, jaki każdy z piszących zakreślił zaniepokojeniu świata. Prace ich są przez to ciekawe, że nie o religijny niepokój tam chodzi. Przeciwnie, każdy z autorów stwierdza, na swój sposób, ścisłą łączność między problematem moralnym i religijnym, a wytrąconym z równowagi dzisiejszym człowiekiem. Każdy podziela (choć w różnym porządku) wniosek, który wypowiada Crémieux, że „w bankructwie świata zewnętrznego“, do którego „przyczyniło się bankructwo wewnętrznego świata“, leży powód tego wytrącenia.

Po wojnie opadł człowieka rój niepokojących myśli: dlaczego? poci? komu to wszystko potrzebne? I tu dopiero mieści się właściwe sedno zagadnienia. Czy wiek XIX i początek XX utorowały drogę dzisiejszemu człowiekowi do takiej koncepcji życia, któraby mu pozwoliła mierzyć względność spraw ziemskich skalą wartości, przerastającą i życie i jego samego? Czy ułatwiły ugodę między obu wrogami instynktami: instynktem życia i instynktem poznania? Na to znów odpowiada Jules Chaix w obszernym studjum *De Renan à Jacques Rivière*. Jest ono długim i wyczerpującym oskarżeniem przeszłości.

Pozwolę sobie, w tem miejscu, odejść pozornie od przedmiotu, ale poto tylko, żeby uwydatnić, zapomocą wyraźnych założeń książki Juljusza Chaix, istotne przyczyny niepokoju Rivière'a, który dla tylu ludzi stał się prototypem człowieka zdręzonego katolickim niepokojem. Poprzez dzieła Renana, Barrèsa, koncepcję czasu Bergsona, literacką twórczość André Gide'a i Prousta, aż do Rivière'a wylacza Chaix — drogą wyczerpującej analizy — proces tej

grupie francuskich pisarzy, z którymi Rivière stał w najbliższym duchowym stosunku. Z niezrównaną znajomością przedmiotu wykazuje on, jak — odrzuciwszy pojęcie absolutu — myśl ludzka przechodzi stopniowo przez wszystkie etapy relatywizmu, żongluje względnością ³⁾, coraz niechętniej posługując się twierdzeniem; wreszcie, wyzwolona z wszelkich norm odpowiedzialności, wstępuje otwarcie w sferę dyletantyzmu.

Chaix rozpoczyna swoje mocne studjum znamienną cytata z Renana: „Niema nic okrutniejszego nad jednostronność, nieodzowną w każdym życiu. Ach, czemu posiadam tylko jedno życie? Czemu nie mogę wszystkiego objąć? Kiedy pomyślę, że w stosunku do niektórych form trzeba sobie powiedzieć: nigdy, nigdy“. Zdawałoby się, że to mówi Barrès z pierwszego okresu swej literackiej twórczości, albo Gide. Dowodzi to, że stopniowa ewolucja, którą przechodziły pod jego wpływem dwie generacje, następujące bezpośrednio po Renanie i wychowane na jego naukowych i filozoficznych przesłankach, już się całkowicie odbyła w nim samym, nie dając mu ani radości, ani zadowolenia, — że już w nim samym spowodowała dręczące rozdarcie.

Dla Gide'a człowiek ma już tylko jedno zadanie: być aparatem odbiorczym dla przepływających fal wrażliwości, nadawanych przez życie. Ma żyć podnieceniem nieustannego oczekiwania, ale jednocześnie powinien się bronić przed niewolą wszystkiego, co mogłoby zaważyć na życiu, osłabić lotność wzruszeń i głębszym rylcem zadrasnąć dziewiczą wrażliwość ludzkiej płyty.

Krańcowe stanowisko, w ucieczce od transcendentálnych zainteresowań do egocentryzmu, z bagażem już nietylko myśli i uczuć (to za mało), ale z całym aparatem podświadomych poruszeń i urazów, zajmuje Marcel Proust. Z napiętą wytrwałością i odwagą analizy, jakich dotąd nie znano w literaturze, odtwarzał Proust swą przeszłość — nie ze wspomnień rzeczy przeżytych, ale z odruchów i stanów, z przelotnych refleksów, zapadłych dawno w głąb podświadomości. One mu dopiero wyjaśniały powstawanie konkretnego świata jego myśli, uczuć i czynów: dlaczego w takim, a nie innym kierunku „musiło“ potoczyć się jego życie.

Według Juljusza Chaix, nawet pojęcie czasu u Bergsona — „to czyste trwanie, pozbawione wyobrażeń przestrzeni, mogących je zniekształcić“, i celowości, którą Bergson odrzuca; jego pojęcie wolności uzależnionej od przypadku, na koniec nieufność jego filozofji do rozumu — pokrywają się z Gide'a i Prousta płynną nieodpowiedzialnością ludzkiego życia, z ciemną zagadką kierunku, jaki ono nagle przybrać „musi“. Dalszym wynikiem założeń Bergsona będzie u obu pisarzy zaprzeczenie wolności wyboru, o ile obaj — wogóle — przyznają nam choćby pozorną wolność wybierania. Tak wyglądała

³⁾ Renan nazywał historję „les petites sciences conjecturales“.

ideowa spuścizna, odziedziczona „po starszych“ przez generację, do której należał Rivière. Zatrzymam się na nim dłużej, jako na znamionym spadkobiercy spuścizny, która na nim zaciążyła.

Może głównym źródłem jego udręczeń, którym Mauriac poświęcił głęboko wzruszoną broszurkę (*Le tourment de Jacques Rivière*), było to, że Rivière urodził się ze zmysłem krytycznym, nie mniej subtelnym od swych poprzedników i współczesnych pisarzy z rozmaitych dziedzin literatury; z nie mniej spostrzegawczym darem badania i introspekcji, którym potrafił się upajać tak samo, jak oni. Podlegał tej samej gorączce ciekawości w stosunku do wszystkiego, co ludzkie: ciekawości siebie samego, wrażeń otrzymywanych z zewnątrz i reakcyj, jakie w nim wywoływały. Ale Rivière miał prócz tego skłonność do porządkowania, do klasyfikacji, bo mu torowały drogę do ulubionych uogólnień⁴⁾. Kto wie, czy to upodobanie do klasyfikacji nie doprowadziło go czasami do stopniowania, skąd już do hierarchii wartości — z absolutem na końcu widnokręgu — nie było daleko? Rozszczepienie między głodem umysłu a odmiennym kierunkiem głodu psychicznego wywoływało w nim nieustanne wahania. Walka wewnętrzna — niepokój — w podobnych warunkach jest nieunikniona. Uciekł przed nią pod wpływ Claudela, mając lat dwadzieścia. Pod tym wpływem się nawrócił. Ale ani nawrócenie, ani wojna, ani okres duchowych rekolekcji, jakim były dla niego długie, bolesne lata niewoli niemieckiej — nie zdołały przeszkodzić dalszym oscylacjom Rivière'a pomiędzy dwoma wpływami: przedwojennym Barrèsa i Gide'a, późniejszym Gide'a i Prousta — z jednej strony, a Claudela i Péguy — z drugiej, ponieważ oba kierunki odpowiadały dwu katagorycznym potrzebom jego dwoistej natury. Wszędzie w jego dziełach, w rozległej korespondencji uderza obecność tej dwoistości. Odwrócił się od Barrèsa, którego entuzjastycznie podziwiał, z chwilą kiedy ten przestaje nasłuchiwać siebie, jak musieli wypełnionej nieodpowiedzialnymi głosami oceanu, a zaczyna patrzeć na swoją konstrukcję duchową pod kątem dziedzictwa, określonego rasą (bardziej jeszcze narodowością), i za ten spadek czuje się odpowiedzialny przed Francją.

Taki punkt stałego oparcia, takie dobrowolne ograniczenie swej idealnej płynności były powodem anatemów Gide'a, a w ślad za nim — i krytycznej postawy samego Rivière'a. Dwa krótkie zdania, wyjęte z korespondencji z Alain Fournierem, wykażą najlepiej jego przeciwieństwa: „Niema jednej prawdy, są tylko prawdy poszczególnie“ (list z 24 maja 1908 r.). Kiedyin-

⁴⁾ „Innym dowodem mojej namiętności do uogólnień jest to, że staram się klasyfikować, porządkować — czyli brać rzeczy abstrakcyjnie“ (Koresp. z Alain Fournier, tom I).

dziej zaś pisze: „Ale gdy mi się uda wyczerpać niewyczerpane cuda natury, chciałbym — ześrodkowany całą siłą pragnienia — ponad wszystkim, co poszczególne, posiąść Boga w prawdzie“ (16 maja 1906). Książka *A la trace de Dieu* (*Śladem Boga*), wydana po jego śmierci, świadczy, jak stało się zadanie jego „ześrodkowanemu pragnieniu“. Składa się ona z fragmentów, kreślonych podczas niewoli: z notatek do rozumowej apologii katolicyzmu, przeznaczonych dla pokrewnych mu umysłów (ściśle analitycznych), i z osobistych rozmyślań (*Carnets de captivité*), przeplatanych wezwaniami do Boga.

Wśród niedostatków koszarowego życia jeńców, niezliczonych cierpień, braku zdrowia, tęsknoty i niepokoju o wszystko, co mu było najdroższe, Rivière odzywa się do Boga w sobie tylko właściwy sposób. Rozmyśla o Nim, podchodzi Go, tropi, chwyta niemal na gorącym uczynku: podpatruje ślady Jego kroków we własnym życiu. Ze wszystkiego co napisał *A la trace de Dieu* ma oddech najmniej urywany⁵⁾. Poprzez wysiłek wszystkich władz umysłu⁶⁾ odczuwa się jednolitość dążenia do wypoczynku w prawdzie. W żadnej innej jego książce niema tylu wytrysków szczęścia. Przypominają świeżość źródła nad ocienioną głębiną: „Jakże mógłbym, — pisze, — wymyślić sam tyle radości! Gdyby pochodziła tylko ze mnie, czemu nie przyszła, kiedyś tak bardzo jej pragnął, kiedy czyniłem tyle wysiłków, aby ją posiąść? Dlaczego czekała dnia Zmartwychwstania, żeby się zjawić?“. Na tych słowach kończy się książka.

Rivière wierzy w obiektywną osobowość Boga. Dowodzi jej. Dlatego, że Bóg dla niego jest „kimś“, może być dla każdego z nas spotkaniem — stać się doświadczeniem. Niemniej bierze świętych za świadków trudności, jaką każdy musi odczuwać, ile razy zapragnie udzielić drugiemu człowiekowi cośkolwiek z tego, „co sam widzi“. Ale niebawem stajemy znowu przed zagadką jego rozdwojenia. Trzeba się dłużej nad nią zastanowić dla wyjaśnienia sobie, że nie z katolicyzmu bierze się niepokój Rivière'a, ale że Rivière z natury swojej był terenem konfliktów (taka psychologia dziś nie stanowi rzadkiego wyjątku). Kiedy po wojnie wrócił do kraju i jako redaktor *Nouvelle Revue Française* znalazł się w dawnym otoczeniu i zetknął na powrót z grupą ludzi, którzy na jego rozszczepienie tak potężnie wpływali — odżyły w nim dawne niepewności. Być może, że zjawiała się nawet dodatkowo trudność: zmysł krytyczny, który go nigdy nie opuszczał, mógł mu podszepnąć, że jego nawrócenie, jego tak bardzo wyłączny poryw w kierunku Boga i zagadnień wiary wybujał za silnie i za wcześnie, dzięki wyjątkowym warunkom: niewoli, cierpieniu, duchowej samotności.

⁵⁾ Z wyjątkiem: „L'Allemand“, napisanej w tym samym czasie.

⁶⁾ „A la trace de Dieu“ — to studjum o Opatrzności, posiadające cechy pozytywnej nauki“ (Fr. Mauriac: „Le tourment de J. Rivière“, str. 24).

W okresie ostrego ścierania się sprzeczności duchowych i nierozstrzygniętej walki, jaka się w nim toczy, człowiek o głębszej potrzebie autodyskrecji tę walkę zawsze zatai. Przemilczy ją z prostej uczciwości wobec samego siebie. Tembardziej jeżeli spostrzegł, że uczuciem przechyla się na jedną stronę obu przeciwieństw, że jej zwycięstwa skrycie oczekuje. Przez siedem lat — po powrocie z niewoli — Rivière milczy w sprawach, dotyczących religii. Pozornie leżą one odłogiem. Czyżby i on czuł ten sam wstręt wydawania swego stosunku do nich na pastwę jaskrawych dyskusyj i niedyskretnych domysłów krytyki, zanim ich sam w sobie nie rozstrzygnie? Pani Rivière⁷⁾, a za nią Mauriac, stwierdzają zgodnie, że w walce wewnętrznej Rivière nigdy *nie liczył na własne odosobnione siły*. Uchylając zasłony nad tą częścią życia, która pozostała jego tajemnicą i mogła być znana tylko żonie, mówią nam, że Rivière ani razu od wojny nie opuścił wieczornej modlitwy.

Ktokolwiek miał w ręku *A la trace de Dieu* i zapoznał się z korespondencją Rivière'a, nie mógł nie odczuć tego, o czym wiedzieli jego najbliżsi: że siłą pragnienia, która nie znała żadnych odchyłeń w ciągu całego życia, „dążył wolą do wiary“⁸⁾. Zgodność wewnętrzna, unifikacja przeświadczeń spływały na niego pewnością i spokojem w ostatniej krótkiej chorobie. Wtedy autonomia człowieka, tak zazdrośnie strzeżona przez Rivière'a, w imię postulatów wolności i dobrej wiary, ustąpiła miejsca autonomji Boga. Przyszła wreszcie chwila ostatecznego spotkania i doświadczenia, których stopnie znał już za życia, skoro o nich pisał w niewoli w głębokim tonie przeżyć.

Gasł w uniesieniach radości: „Oto drzwi stoją otworem — odnajdę światłość bożą“. Brzmi w tych ostatnich słowach jakgdyby kulminacyjny okrzyk życia, poświęconego szukaniu prawdy.

*

Ciekawe byłoby zbadać — na podstawie pism Rivière'a — w jakiej mierze *bezwzględność żądań*, którą przypisywał katolicyzmowi, ściśle się godzi z nauką katolicką. Takie studjum przerasta, oczywiście, rozmiary zwykłego artykułu. Ale czy sam fakt odpięrania z lękiem świętości, jak to czyni Rivière w krótkim ustępie *A la trace de Dieu*, nie przemawia za tem, że Rivière nie wnikał dostatecznie w *bardzo różnorodne* odcienie wymagań, jakie katolicyzm (*vel* chrześcijaństwo) stawia każdemu człowiekowi *zosobna*, że nie rozróżniał „rady“ od „nakazu“.

Jako religja życia, katolicyzm nie znosi szablonu jednostajności. Z analitycznego nieporozumienia wynika drugi błąd, popełniany zresztą powszech-

⁷⁾ We wstępie do „*A la trace de Dieu*“, str. IX.

⁸⁾ „*Le tourment de J. Rivière*“ Fr. Mauriac.

nie. Wyjmuje się z całości Ewangelji jedno zdanie i szermuje nim w prawo i w lewo dla obrony własnej, swego postępowania, przekonań, albo dla usprawiedliwienia swoich zarzutów. Choćby owe zacytowane na początku słowa Chrystusa: „Zaprawdę wam powiadam, że nie masz żadnego“ etc., z którymi Chrystus zwracał się do Apostołów, t. j. do ludzi wybranych z *pośród tysięcy* dla wyjątkowej misji, mającej objąć cały świat. Przytoczone osobno — bez koniecznego wyjaśnienia — słowa te muszą spowodować dwa niepożądane rezultaty: odwrócić jednych od wyznania z racji jego krańcowych wymagań, rzekomo równych i jednostajnych dla wszystkich ludzi, bez różnicy, wrażliwszych zaś nie przestaną nękać i szarpać przez całe życie.

Sprawa świętości łączy się tak ściśle z zagadnieniem „katolickiego niepokoju“, że musi być choć pobieżnie poruszona. Religja, któraby nie stawiała sobie za zadanie najwyższego udoskonalenia człowieka (jego świętości), nie zasługiwałaby na miano religii. Dzisiejszy człowiek zanadto odczuwa moralny *bluff* współczesnej cywilizacji, aby nie zrozumieć, że w tej dziedzinie półśrodki niczemu nie są w stanie zaradzić. Nagromadzone „grzechy opuszczenia“ (a wyrażając się językiem świeckim: niespełnione zadania) stwarzają położenia bez wyjścia, które historia zawsze usuwała gwałtem. Ale na takie prywatne, czy ogólne „impasy“ człowiek i ludzkość zapracowują sobie z rosnącym zaślepieniem od chwili, gdy tracą z oczu ostateczny swój cel: postęp moralny (świętość zadania ludzkiego życia, a temsamem i zbiorowości).

Obarczając dziś ludzkość ciężarem zarzutów, czyniąc ją odpowiedzialną za jej długi, ujemny stosunek do zasadniczych zagadnień i spraw życia, uznajemy przez to samo pozytywny biegun, na którym mogła stanąć i może. Logicznie wypada zająć takie samo stanowisko wobec jednostki ludzkiej. Cóż innego robił kiedykolwiek katolicyzm ze swoją nieubłaganą logiką duchową? Zanim to jeszcze zostało empirycznie stwierdzone, wyprowadzał życie z komórki. Komórką moralną w życiu zbiorowem był dla niego zawsze człowiek. Dla katolicyzmu prawdziwy postęp społeczeństw stoi w prostym związku z dążeniem jednostek do własnego udoskonalenia. Rola *twórczości* moralnej została złożona przez Chrystusa ⁹⁾ w ręce pojedynczego człowieka. Na tem polega *indywidualny*, a zarazem *uniwersalny* zasięg jego nauki.

Tak zwany chrześcijański, czy katolicki niepokój nie jest więc niczem specyficznym: *jest niepokojem twórczym*. Wyprowadza akt twórczości, towarzyszy mu równoległe podczas wykonywania rozpoczętego dzieła; odpowiada ściśle pasowaniu się w człowieku, jego wysokiej koncepcji, z gorączką niepewności, czy urzeczywistnieniu jej podoła. Odnajdujemy w nim te sa-

⁹⁾ Marek IV, v. 31. Przypowieść o ziarnku gorczycznem i wiele innych.

me pierwiastki wahania, niepewności, pokory, co w każdym wielkiem zamierzeniu ludzkim, te same obawy twórcy, że do swego dzieła nie dorósł. Mimowoli przychodzi na pamięć werset ¹⁰⁾: „Niewiasta, gdy rodzi, smutek ma, że przysła jej godzina, ale gdy porodzi człowieka — już nie pamięta ucisku dla radości“. Zznał jej Rivièrę w chwili rozstawania się z życiem. Może w świetle przybliżającej się „światłości bożej“ pojął właściwą istotę wymagań katolicyzmu: cenę wysiłku i walki *wedle możliwości każdego*. Sąd nad wartością całego życia zostawiał już komu innemu.

Świętość nie ma zakreślonych granic. Uosabia najwyższe *pragnienie* człowieka. Dlatego istotą chrześcijaństwa będzie zawsze dążenie, rozwój, dostosowywanie się do wyższej rzeczywistości. Wysiłek bywa nierówny w natężeniu, w tempie, skoro podejmują go ludzie nierówni naturą, stopniem świadomości, o nierównych siłach i w różnych porach życia — ale ma być stały w swej wizji ponadludzkiego celu. Zmierzać do tego celu musimy wszystkim, czem jesteśmy — inaczej nie potrafilibyśmy być w prawdzie: wszystkim, co każdy z nas otrzymał, nie odsądzając od współpracy żadnego czynnika naszej natury, żadnego talentu. Wszystko musi być użyte: porywczność i słodycz, namiętność i umiar, dary i braki — ale podniesione, oczyszczane stale, przepalane w ogniu najlepszej woli ¹¹⁾.

Istnieje drugi, negatywny niepokój: niepokój ciasnoty, raczej tchórzowstwa, tylko że pochodzi on właśnie z zapoznania pozytywnej cechy katolickiej moralności, która polega na zużytkowaniu pełni natury człowieka — na odwracaniu skib, *nie na sterylizacji gleby*. Ale ilu z nas potrafi zdobyć się na taki odwrót? Im bardziej sobie uświadamiamy, jak mało i jak rzadko nam się to udaje, tem więcej chyba powinniśmy być wdzięczni religii, która przez swój przejściowy, twórczy niepokój ożywia przerywany prąd naszego kalekiego wysiłku. Religii, która ocenia etapy naszego wzrastania wedle sił i przesuwa poszanowanie dla indywidualnej wartości poza granice czasu, kiedy obiecuje „wiele mieszkań w domu u Ojca“ (Jan XIV, v. 2).

Zostaje do odparcia zarzut, ciążący na ludziach chroniących się do klasztorów. Cóż, kiedy katolicyzm wierzy głęboko, że powołanie jest przede wszystkim wybraństwem, że powołany człowiek jest naznaczony zgóry, jako ofiara zjednoczenia, ale i na przedmiot wymiany za cudze przewiny. Jakże wygląda wobec tego egoistyczny niepokój — lęk o własne zbawienie, wyrzucany zakonom? Nie mamy prawa utożsamiać powołania klasztornego z tchórzowstwem, a tembardziej z egoizmem ducha. Nietylko wielcy święci, ale i te anonimowe jednostki wśród nas, których imiona nigdy nie zabłys-

¹⁰⁾ Jan XVI, v. 21.

¹¹⁾ Zjawisko, mające swój odpowiednik w chemji w t. zw. procesie sublimacji.

ną w spisach martyrologji, ani w cyklu uroczystości świętych, zamykały się i zamykają nadal w celach dla złożenia z siebie ofiary wykupu: bez różnicy — za żywych, czy umarłych. Ale ani wtedy, gdy chodzi o własną reformę, której konieczność pewnego dnia zaczęliśmy odczuwać, ani gdy idzie o wymianę wysłużonych łask — nie potrzeba zrywać łączności z ciężkimi zadaniami świeckiego życia. Każdy z nas przecież czuje, że punktem wyjścia jego odrodzenia będzie zawsze miejsce, gdzie stoi, i chwila, w której uczuł pierwsze poruszenia twórczego niepokoju.

STEFAN GEORGE

P O E Z J E

* * *

*W krzaku róż królowo!
Kwiecie łak lilijny!
Spraw bym się weselił
I w młodego wcielił
W twój pełen łaski dzień koronacyjny.*

*O ty matko z blasku.
Pani nad paniami.
Okaz serca więcej
Miłości dziecięcej
Co opłotła mchem twój obraz i ziołami.*

*Pani dobrej rady!
Gdy pełen ufności
Bezgrzesznej czystości
Twą potęgę głoszę:
Czy dasz mi o co tak długo cię proszę?*

Z „GWIAZDY ZWIĄZKU“ CHÓR KOŃCOWY

*Boga ścieżka nam otwarta
Boga jest nam dany kraj
Boga jest nam bój wzniecony
Boga wieniec znany nam.
Boga spokój w naszych sercach
Boga w naszej piersi moc*

*Boga gniew na naszych czołach
 Boga chuć u naszych warg.
 Boga pas dał zjednoczenie
 Boga błysk się w nas rozżarza
 Boga dane nam zbawienie
 Boga szczęście nam się zdarza.*

TRAUSNITZ: OJCZYŻNA KONRADINA

*Tu widziałeś jak młodszy bracia w świat daleki
 Precz od płaskiego pola i ojczystej rzeki
 W ich wzroku południowców płonęła tęsknota
 W góry wysokie jako w Zeldy wrota.*

HILDESHEIM

*Niech to, że podli zbyt was nie oburza
 Prześwięte miejsca bezcześcić się waży!
 Bo złote pąki pod troskliwą strażą
 Puściła — zdawało się — Tysiącletnia Róża.*

PRZEZ BIAŁE STEPY...

*Przez białe stepy gnamy cwałem.
 Przeminął w mig rozłąki żal.
 A chyże koła w polu białem
 Ciągną nas ku wiośnie wdal.
 Noc grzmiące myśli wypełniają.
 Wiem... jak po ciężkim, późnym śnie,
 Gdy mgły przed blaskiem opadają,
 Mknę do szyb światelko mdle.
 Gdzie młode palmy z paprociami
 Powstały jak z kryształu sad
 Z kłosami, mchami i skrzypami.
 Roślinności cudny świat!*

MŁYNIE, SPUSĆ WZNIESIONĄ DŁOŃ...

*Młynie, spuść wzniesioną dłoń,
 Bo już chce odpocząć błon.
 Stawy oczekują rosy,*

*Na ich straży jasne lance
 Stoją i drętwieją wrzosy
 W twarde krzaki na polance.*
*Cicho białe dzieci mkną
 Slepym lodem, śnieżną mgłą
 Po zbawienie. Potem droga
 Do wsi wszczęta znakiem krzyża,
 W cichych modłach wdał do Boga,
 Do którego szept ich zbliża.*
*Czy przeleciał ziemię gwizd?
 W lampach tęskny wichru świst.
 Czy woddali gdzieś wołają?
 Czarni chłopcy w ciemne tonie
 Narzeczone swe wciągają.
 Dzwonźże, dzwonie! Dzwonźże, dzwonie!*

CZY POMNISZ...

*Czy pomnisz jeszcze wdzięk chłopięcej głowy
 Tego, co róż z wqwozu łowcą był.
 Który o dniu zapomniał przez te łowy.
 Który z winnego grona soki pił.*
*Który po spokój biegł za park do gaju.
 Skrzydeł go połysk tak daleko gnał.
 Który w zadumie na tej łąki skraju
 Tajemniczości nasłuchując trwał.*
*Łabędź leżący na omszałej skale.
 Opuszczał wody rozhukany spad.
 I w delikatną dłoń dziecięcą stale
 Wysmukłą szyję w zaufaniu kładł.*

Przełożył
 LEOPOLD LEWIN

MARJAN PROMIŃSKI

KSENIA PIETROWNA ŁUKICZEWNA

FRAGMENT POWIEŚCI

I

Każdy klimat ma swój „psi czas“, każdy zrobił coś w życiu „pod psem“, czyli inaczej pod „zdechłym Azorkiem“, ale nie każde miasto ma Psi Placyk. Moskwa właśnie ma. Możnaby ankietę rozpisac na genezę tej nazwy, a odpowiedzi zapewne byłyby rozliczne

Ja osobiście nie wiem skąd, poco i dlaczego? Może jest to pozostałość po jakiejś psiej giełdzie, a może zwarta struktura dookolnych kamienic stanowi odpowiedni teren do łapania psów. Choć teraz tam nikt psów nie łapie, biegają więc bez bumagi i cieszą się z nowego porządku rzeczy. Dochodzi się do tego Psiego Placyku od strony Smoleńskiego rynku przez Arbat i podziwiać trzeba niezdecydowaną architekturę starych nierównych domostw, wyrwy parkanów, szyldy kapitulujące zardzewiałą blachą, kaskady murów, przymurków, pogiętych dachów, by smutnem okiem dowiec się wreszcie do jednego rogu, który swym wyłomem absolutnie by łapanie psów uniemożliwił. Nie wiem jak tam było przedtem. Teraz po rozebranym domu pozostały tylko ogryzki fundamentów, czając się w ubitem klepisku ceglanymi wzniesieniami i białym rozdeptanym gruzem. Utworzył się więc w narożu wydmuch, odsłaniający wnętrze dziedzińca, rzadka wybrukowanego kociemi łbami. W ten dziedziniec krzywą podkówną wcisnął się barak, łaściasty jak błazeńskie spodnie. Drewniany i stary, jednak budowlę macierzystą frontowej kamienicy przetrzymał, i podparty z dziesięciu stron, nawet za mieszkanie ludzkie służył.

Gnieździło się tam z dziesięć rodzin i nie można powiedzieć, by choć jeden arszyn mieszkaniowej przestrzeni został niewyzyskany lub zbyteczny.

Życie zamknięte w tych ścianach, niczem nie przypominało coprawda dawnego ustroju kapitalistycznego carskiej Rosji, ale to czcze gadanie o obniżonym jego poziomie jest zgoła pozbawione sensu. Nawet na pewne uczucia natury estetycznej proletarjacka dusza jest wrażliwa i może właśnie temu zawdzięczał barak swoją różnokolorową szatę. Na kruchej błonce tynku każdy wokół własnych okien i drzwi spowiadał się z najgłębszych swoich zamięłowań barwnych. Lecz trudno dwie przystające do siebie dusze dopasować. Dlatego właśnie obok chabrowego wapna Róży Iwanowny Łukiczewy jaskrawo rozsiadła się siarkowa plama malowidła Kurkówów, a potem znowu biała płachta staruszki Marty Wasyljewny Piegich. Z tą bielą była cała historia. Wszyscy wokół wiedzą, że Marta Wasyljewna jest zwolenniczką starego regimu, że ze źródła rozkoszy bezwzględnej równości wszystkich — pić nie potrafi. Ale nie trzeba się temu dziwić; stara jest, mąż jej nieboszczyk „w kozakach“ służył, carskim pacholkiem był. Wiele jej zatem przebaczano. Ale nie wszyscy i nie wszystko. Np. dzieciśka Artamona Wołka, węglarza, zresztą znane z potwornej złośliwości, na ledwie obeschłem wapnie pouczepiały równo ogonki z czarnego błota, tak że ściana wyglądała jak płaszcz gronostajowy. Miał to być przytyk do jej królewsko - cesarskich sympatyj. Taka złośliwość; zdaje się nawet, że to sam Artamon im to podszeptał, bo urwi-połciowskim głowom za trudno byłoby coś takiego wymyśleć. Tak jakby ich cynamonowa ściana była lepsza. Ale śmiano się z dowcipu do rozpuku. Gosposie z szorowanymi rondlami wylazły przed drzwi i zaczęły tak rechotać, że podobno jedną nawet od tego sparło.

Piotr Tofrymycz Łaskin zaś ogłosił krótko, że jest proletarjacki, czerwony, i zrobił ze swego odcinka rzeźnię.

Obejście nie kończyło się na owym baraku. Z boku, pod dwoma rachitycznymi kasztanami stał wagon kolejowy bez kół, na którym widniała tablica z lakonicznym napisem „Skład“. Ale czego? Ludzie wiedzieli. Była to hurtownia węglarza Artamona Wołka.

Po drugiej stronie podkowy stał znowu inny budynek, znacznie mniejszy, i co do niego się właśnie mylono. Gdy kto obcy, śpiesznie przechodząc ulicą, opętańczym wzrokiem szukał zbawienia, wtedy natrafiwszy na te niepozorne ścianki szedł jak w dym. Ale w pośpiechu przeoczył błaszany kominek sterczący z papowego dachu.

— „Przepraszam!“.

Tam ktoś mieszkał. Dymitr Pawłyecz Łazarin, zwany krótko „admiralem“, bo podobno kiedyś w marynarce służył; chyba dawno. Przed rewolucją był bowiem rentjerem i żył z dochodów, których mu dostarczała zburzona niedawno kamienica i ten barak. Teraz rezydował w kurniczku i wiadano o nim: całkiem prawidłowy warjat. Ofiara rewolucji, psiakrew, ale jeszcze większe utrapienie „ludu pracującego“. Napsuł im krwi coniemiarą. Kiedy dostawał napadów szału, wybiegał chudziaczek, korniszon zmizerowany, na środek dziedzińca, rękę jak trąbkę zwijał koło ust i hucał na cały Psi Placyk:

— Bunt! Bunt!!

Potem do wyimaginowanego telefonu gadał z godzinę. Wzywał milicję, by aresztowała opornych, kłął proletarjackie rządy, przemawiał do grządkki słoneczników jak na wiecu i napuszony i dumny marynarskim szerokim krokiem wracał do swojej budki. Niezawsze mu dali cało wracać. Gdy komuś dopiekl porządnie i familję mu objechał i po kątach porostawiał — ze spranym wracał pyskiem. Zresztą się nad nim litowano. Był nieszkodliwy.

Krzyżowały się w tem małym barakowem państewku sympatje i nienawiści, oddawano sobie honory lub lżono się soczyście, zależnie od potrzeby i od siły spijanej samogonki. W razie zaognienia stron walczących z każdej sionki wylatywała struga dosadnych epitetów, by od ust przeciwnika powrócić w zdwojonej dawce. Najgorszy bywał jazgot bab-ski, bo gderliwy, ostry, o jasnym tonie i przydługi. Były atoli tygodnie cizy. Nawet wtedy nie obeszło się bez małych antagonizmów. Np. Kurkowie nie mogli znieść psa Łaskina, a ów kota Kurkówów. Można sobie wyobrazić jak dopiero między sobą zwierzęta te się nienawidziły. Marji Wołkowej zginął przetak. Myślicie, że nie obchodziła wszystkich kuchen, by sprzęt swój odnaleźć? Co za łajdactwo posądzać kogoś o kradzież! Zresztą, jeśli nawet Marja Wasyljewna ukradła, to schowała przetak w piwniczce, a nie w kuchni, i szukanie na nic się nie zda.

Wiadomą było sprawą, że ta właśnie Marja Iwanowna Wołkowa, która na drugich nie wahała się rzucać kalumnij, sama nie była bez winy. I to nie bez grubej winy. Czyżby bez powodu ludzie gadali o jej za daleko posuniętych zalecankach na rachunek Piotra Łaskina? Wiedział nawet o tem jej mąż, kochany, drogi Artamon. Bo jak tego nie wiedzieć i nie widzieć! Marja Iwanowna miała bujny temperament, którego nie ostudziło urodzenie dwu chłopaków Miszy i Aleksa, sławnych z psot na cały Psi Placyk. Przytem Marja Iwanowna miała zaletę szczeroci i pretensję do prawdziwej etyki, bo robiła wszystko prawie jawnie. Kiedy Piotr wracał

z poczty, przebierała spódnice i wychodziła niby za sprawunkami naprzeciw. Przechodząc pod jego oknami, szczyrzyła zęby do poklejonych papierami szybek, a kiedy było otwarte, swoją lepszą połową tonęła we wnętrzu. Porozsuwała wazoniki z pelargonjami na bok i poddawała się urokowi czarodziejskiego flirtu. Taka sielanka jest możliwa nawet w samym centrum dwumiljonowej Moskwy. Z czasem jednak w bezpośredniości i jawności swych uczuć posunęła się za daleko. Podobno własne dzieci wykryły ją na czemś nieprzyzwoitem. I teraz przyszła kolej na męża Artamona. O ile z powieszanych błotnych ogonków na malowidle Marty Wasyljewny Piegich można było wnioskować o jego szczerzotym humorze, a z dotychczasowego patrzenia przez palce na wybryki żony o niepomiernej cierpliwości, — o tyle zażęcie ostatnie wyprowadziło go z równowagi i dowiodło iście męskiej energii. Na donos psotnego Miszenki z nahażem wpadł do mieszkania Łaskinowego, wywłókł stamtąd napoły rozdrianą żonę i na dziedzińcu w samym środku barakowej podkowy przetrzepał jej grzeszną skórę. Kiedy sąsiedzi wylegli zewsząd i domagali się uzasadnienia tej drażliwej egzekucji, Artamon między dziesiątym a dwudziestym zamachem rzecz wyjaśnił:

— Tak się karze niewierne żony, zdradzające... a masz, a masz jeszcze!... zdradzające luda pracującego... nie krzycz, towarzysze nie brońcie, sprawiedliwie robię... luda pracującego dla jakiegoś inteligenta zapowietrzonego, pocztowca!

Marja jednak wbrew mężowskim zakazom kwiczała wcale głośno i wołała na pomoc Piotrusia.

Wyszedł wreszcie po pięciu minutach, jeszcze teraz niezupełnie dopięty, i melancholijnie spojrzął od drzwi. Potem wrócił po marynarkę i bez słowa wyszedł na ulicę. Zaległa zupełna cisza. Trzeba przyznać, że było to zrobione z wielką dyplomacją: gdzieżby taki pan mieszał się do karczemnej awantury.

Wszyscy jednak wiedzieli, że poszedł prosto do dzielnicowego sowietu. Mocno czerwony jest, na swoim postawi i porządek zrobi. Spostrzegł to pierwszy karzący mąż Artamon i puścił z garści zapuchniętą z płaczu jawnogrzesznicę. Uprzedziła go jednak w donosie do sowietu, słusznie rozvodu natychmiastowego się domagając. Wpadła w zdekompletowanej garderobie, nic sobie nie robiąc z zatrzymujących ją po drodze milicjantów.

I pomyśleć: taka chryja w samym centrum dwumiljonowej Moskwy! Ale urzędnicy zasiadający w sowiecie dowiedli tym razem swej cudownej przemysłności. Obiecali sprawę rozpatrzyć, w razie potrzeby oddać do

saxu, do sądu, odrazu jednak nie taili się z ochotą pośredniczenia i załagodzenia nieporozumień. Nazajutrz wyrok był gotowy. Coprawda trochę oryginalny:

„Wobec szerzącej się manji rozwodów zgubnie i deprawująco działającej na ogół stowarzyszonego miejskiego sovietu dzielnicy i t. d., celem zapobiegania dalszym tego rodzaju i t. d. w sprawie zatargu w rodzinie Artamona Wołka zarządza się co następuje: dla regulowania nadwyreżonego pożycia małżeńskiego deleguje się co miesiąc specjalnego specy, który na niżej załączony blankiet będzie zbierał zeznania stron obu i w razie zażalenia którejkolwiek, każdorazowo doniesie o tem sovietowi. W ten sposób urząd będzie miał w ewidencji... i t. d. Podpisy“.

Wyrok godny Króla Salomona. Przytem ten załączony blankiet ankiety, też fachowość nielada — ze szczegółami, psiakość, nic się przed okiem władzy nie ukryje, nawet ile razy na miesiąc i kiedy... rozumiecie? Artamonowie będą odtąd musieli prowadzić specjalny kalendarzyk.

2

W takim otoczeniu wychowywała się Ksenia Pietrowna Łukiczewna, córka wdowy Róży Iwanowny. Dotąd oglądaliśmy wszystko po wierzchu, ograniczając się do wypadków, zachodzących na oczach wszystkich, na dziedzińcu. Teraz kolej na wnętrza i to właśnie pomijając przestrzeń mieszkaniową Wołkowych, regulowaną przez czynniki rządowe — warto się zainteresować mieszkaniem Łukiczewej.

Pokoik i kuchnia. W kuchni balja przystawiona do paleniska i spieniona gorącą falą wody i niebiesko - lśniących mydlin. Para, upał, stopy wykręconej bielizny. Czyż są jeszcze jakieś wątpliwości co do zawodu Róży Iwanowny?

Pokoik: trochę chłodniej. Bronzowa barokowa szafa, odchylona ku ścianie na krzywej podłodze, dwa łóżka z potężnymi garbami pościeli, na ścianach kilimki poprzetykane oleodrukami, w kącie naprzeciw drzwi ikona z pełgającym złotym płomykiem. Przyćmione wnętrza patrzy na świat małemi okienkami, jakby poprzez zmrużone powieki. Są to gęste płotki zieleni, krzaczące się w doniczkach. Jeszcze stół, trzy krzesła i mały tapczan. Ale co to takiego? Na nim moc jedwabnych poduszek. Zbytek? czyżby? Łukiczewa z prania gotowa jeszcze wyjść na nepmankę. Złudzenie, złudzenie. Robota Kseni. Ale i ta Ksenia. Jakby nie stąd, jakby nie wyszła z głębokich pokładów proletariatu. Na krześle siedzi jak gość, w jedwabnej sukience, o której mówi, że jest à la Paris. Niech ją! jak ona to mówi? à la Paris?

Właśnie spożywają obiad. Praczka kraje spranemi, wybledzonemi rękoma wielkie glony chleba, mięso rwie kawałami i odcina przy ustach. Pośpiech przetyka jej lewą ręką sążnisty kiszony ogórek.

— Jak mama je?!

— A jak mam jeść, widzieliście ją, balja wystygnie.

Ksenia z wyrazem zgorszenia przygląda manicurowanemi palcami czarną czuprynę z zębem włosów wyciętym nad czołem. Jak ona to uczesanie nazywa? à la Lya de Putti? Też wymyśl. Jak ona to powiedziała: Lya de Putti? też...

— Tobie wogóle dobrze jest siebie pielęgnować, skoro w eleganckim sklepie nepmanom sprzedajesz zagraniczne fidrygałki. „Może pan pozwoli krawat, może kapelusz, a pani pończoszki“ — o, takie jakie teraz masz na nodze, te mysie, i wogóle skąd? ile czerwonoćw mogą kosztować?

Ksenia się zapłoniła. Czarne oczy łysnęły jak lśniący tłusty węgiel, potem zaszyły popielatą ciemną mgłą, ot jak... te mysie, jedwabne pończochy. I wogóle skąd? Ile czerwonoćw?

— Co mama wie?! podarował mi je ktoś, podarował no i co? jak już szczerłość to szczerłość. Mogę powiedzieć.

Poderwała się z krzesła i stanęła przy oknie, zapatrzyła się w paździenikowe błoto na dziedzińcu i w kota Kurkówów, oglądającego chmury śpiące.

— Tu kiedyś wszedł do Domu Towarowego jakiś elegancki młody pan, nakupił mnóstwo drobiazgów w dziale męskim, a potem, przechodząc koło mojego stanowiska, jakby sobie coś przypomniał, złożył wszystkie pakunki na ladzie i zapytał tak dziwnie, przedziwnie, miękko, niezwykle:

— Czy ma pani (pani, nie: towarzyszyka) najnowsze odcienie damskich pończoch?

— Nie! mama nie ma pojęcia, jak on to powiedział: „Pani“ i „damskich pończoch“. Wyciągnęłam dla niego stos pudeł. Pochylił się nad stołem. Przerzucał wprawniemi palcami jedwabie. Mówił o nich z takim znawstwem, musiał je chyba nieraz kupować. Doradzałam mu specjalnie do tej pary, którą mam na nogach. Naciągając w palcach pokazywałam jakie mocne oczka, — wtedy spojrzał z pod zwiśniętego czarnego loka i położył rękę na mojej: — „Ja ofiarowuję pani tę parę, dla mnie proszę drugą taką samą“. Kiedy mu odpowiedziałam, że nie mogę przyjąć od nieznanomego, uśmiechnął się i powiedział: „Wobec tego muszę się pani przedstawić: jestem Cellini — i już nie jestem nieznanomy“. Widzi mama — Włoch. No, i przyjełam.

Ale Róży Iwanowny od dłuższego czasu już nie było w pokoju.

— E! — Ksenia machnęła ręką — niema z kim gadać.

Za oknem siąpił deszcz i Murus Kurkowów wciąż jeszcze oglądał chmury. Potem Ksenia wzburzona gwałtownie szarpnęła drzwi do kuchni i wyrzuciła jednym tchem:

— No co, może mama myślała, że całe życie będę się gnieździła w tym baraku, może ma mnie wziąć taki Wołkow, żeby mnie bił?! a niechby mnie taki tknął — niedoczekanie!

Nie można powiedzieć, żeby przy całej swej pańskiej, burżuazyjnej, przeważnie minionej już elegancji — była delikatna. Otoczenie zrobiło swoje.

— Takie bydlę, taki węglarz, cham!

Stara szurała po pralce i nuciła djabli wiedzą co.

Ksenia zatrzasnęła drzwi zpowrotem i stanęła przed ściennem lustrem cała w ponsach, targana wewnętrzną gorączką, skręcana od jakichś tajemnych czających się w żyłach pożądań. Skoczyła do okna, zapuściła zdarte firanki i poczęła się prędko, gwałtownie rozbierać. Pachnące kolorowe szmatki latały na wszystkie strony. Wysupłała się z nich naga, śniada, pulsująca pod cienką skórą. Czyniła tak zawsze, kiedy nadchodziły na nią odmetry złośliwych, nienawistnych zaburzeń. Widok własnego ciała uciszał tę falę. Poczęła się dokładnie oglądać. Piękno wywoływało na usta nieznaczny uśmiech. Zbliżyła głowę do skośnie zawieszonego zwierciadła, wypuczyła czerwone pomadkowane wargi, górną i dolną, by wypróbować ich śliską siłę zwarcia. Palcami przejechała po cienkim obrysie brwi, potem obróciła się tyłem i badała obłą linję pleców. Z rozkoszą wpiła się paznokciem w ustępujący jak guma miąższ piersi i odchyliła smukłą śniadą nogę. Poczęła ostygać. I śmiech z niej nagle trysnął. ze zwartego szeregu zębów — biały, różowy, drgający językiem. Zdrowe zęby pod nabłonkiem śliny zwierzały się i rozwierały w rozprysku jasnej, dźwięcznej, dzwonkowej kaskady. Śmiech matowieł, ciemniał, — załamywał się miękko, aż się załamał we łzach, w szlochu. Rzucona jego siłą na tapczan, wiła się naga w skrętach jedwabnych poduszek, przecierała się w najtajniejszych cieśniach ostrem włosiem narzutki, kopła nogami i zaczepiwszy wielkim palcem o materjał, rozdarła go na całą długość swojej nogi. Potem wyciągnięta tak napłask, wstrząsana jeszcze od płaczu, nieudolnie drgającymi palcami pohuśtywała wełnianego pajaca, zawieszonego u ściany.

— Ksenia, czyś się wściekła, czy co?!

Nie było odpowiedzi. Jakże mogła być, kiedy nikt nie wiedział, jak jej jest źle, kiedy nie mógł wiedzieć, jak jej jest źle, źle, potwornie, że się dusi.

Potem poderwało ją jak sprężyną, wrzasła na całe młode mocne gardło.

— Ja s... na takie wasze życie!... — i poczęła się ubierać.

Taka była Ksenia.

Ze zmielonym mózgiem wychodziła na miasto przez dziedzińczyk w kusiutkim, nowomodnym żakieciku, upudrowana, dumna, stąpająca lakierkami po kocich łbach, między stojącymi kałużami. Pod nogami jej rozbiegały się kury i skakały cienie długich tysięcy liter z pochłoniętych romansów.

— Kseniu, pomacaj-no tę kurę — głos Marty Piegich — dzisiaj kupiłam na Smoleńskim Rynku.

W dobrawierze to mówiła, podtykając jej wypierzonego ptaka.

Ksenia się zawstydziła.

— Gdzieżbym miała tę kurę obmacywać — spojrzała na swoje jelonkowe rękawiczki. Starucha się zdziwiła.

— Nie chcesz, no to nie.

Na nieszczęście Aleks i Miszka Wołkowie byli na dziedzińcu. Podchwycili szczerą propozycję Marty Piegich. Ilekroć Ksenia wyelegantowana obok nich przechodziła — ze słodką miną podtykali jej kurczaka.

— Ksenia, pomacaj go.

Dziewczyna płakała w domu, jednak słowem nie odzywała się na zaczepki, choć mocna piastka w jelonkowej rękawiczce aż świerzbiała, by dać nią po kudłatych, umazanych w błocie łbach. Nie wszyscy jednak byli tacy bezlitośni. Niektórzy ją rzeczywiście uważali za coś lepszego, choćby pocztowiec Łaskin, albo i ten stary Łazarin. Warjat bo warjat, ale na tem się rozumie.

Naprzekład przechodzi Ksenia pod jego domkiem, co do którego użytkowości przechodnie się mylą, i uśmiechnięta zagląda w zakurzone szybki. Wtedy on ze środka kłania jej się ręką, albo gdy stoi we drzwiach — palce przykładą do kaszkietu po wojskowemu i mówi:

— Bon jour, Mademoiselle.

A ona mu w żarcie odpowiada.

— Bon jour, colonel.

Niech się cieszy biedaczek, może kiedyś rzeczywiście był jakimś dostojnikiem, a teraz... tylko ten marynarski kaszkiet mu pozostał.

Wołkowa nie posiadała się w takich wypadkach ze złości. Rezonowała z kwadrans do sąsiadek.

— Niby teraz proletarjackie rządy, a tu pozwalają takiemu nic po burżujsku po chfrancusku trajlować i gdzie tu sprawiedliwość i taka ma

człowieka jeszcze za pomiotło. To należało zaraz jeszcze w siedemnastym roku wydusić, żeby ślad po tem nie został.

Ksenia nie słyszała jednak co za jej plecami mówiono, a tylko rosła w dumę. Czuła, że ścianka odgraniczająca ją od hołotnego środowiska grubieje coraz bardziej. Patrzyła na to wszystko zgóry i jak przez mgłę. Stara robiła jej wyrzuty.

— Skarżą się na ciebie dziewczyno, żeś taka nieprzystępna, jakbyś co lepszego była od wszystkich, jeszcze doniosą nas do sowietu jako kontrrewolucjonistki, jako przeciwników nowego reżymu i co wtedy?

Wobec tego Ksenia zapracowywała kilka dni na popularność. Zagadywała do sąsiadek, że aż się zglądały na siebie, nie wiedząc co się stało, spróbowała nawet pogłaskać małego Miszę, ale o mało nie ugryzł jej w rękę.

— Co gotujecie dziś na obiad, Marjo Iwanowno? co gotujecie na wieczrę?

Mniej więcej w ten sposób; rozmowa się nie kleiła i Ksenia niezadowolona wychodziła na miasto, do Domu Towarowego rano, wieczorem zaś na daleki spacer aż do Krasnoj Płoszczadi, — w stronę Kremla.

Jak w śnie oddalała się coraz bardziej od budy przy Psim Placyku. To nie mogło być jej środowisko. Czuła się już napół wyzwolona. Musiał jeszcze nadejść ktoś, ktoby ją całkowicie z tego hańbiącego ubóstwa wyrwał. Może Cellini? niedościgły, piękny Cellini, który przyszedł raz, ofiarował jej pończochy — i miesiąc upływa, a nie pokazał się więcej. Marzenia, wy marzenia, nieprzytomne, zwarjowane, rozkoszne!

3

Tymczasem zbliżał się listopad, zimno zwiększało się z dnia na dzień, z ołowianego nieba szedł ostry, mroźny podmuch. Czy to dziś pierwszy śnieg nie będzie?

W barakowem państewku od samego rana źle się działo. Wołkowi ze składu zginał centnar węgla. Awanturował się i chodził po sąsiadach, żądając wytłumaczenia:

— Bo jak to może być, towarzysze, łańcuch cały, kłódka cała, w wagonie okno zakratowane, a we środku centnar węgla. jak nie więcej, ubrany. To tak jakby kto z domowych, czy jaka cholera?

Szewe Kurkow odpowiedział mu na to filozoficznie:

— Wiadomo, spryciarze potrafią, że i poznaki nie będzie. Nie byliście to, towarzyszu, w cyrku? Jak to ten kuglarz Smielow z pod cylindra

jabłko uprzętnął, że ani ani, albo nie wyciągał kartofla z waszego nosa, Artamonie Pawłyczu? Wiadomo... wyciągnął.

Na kopytku przy oknie poklepywał jakiś buciorek, kołkami okładał, z zębów dratwę wyciągał, szczypcami szczypał i przyszywał.

— A, z wamiby się kto dogadał, — Artamon odszedł od otwartego okna. Schlany z powodu zmartwienia od samego rana, rdzawe wąsiska u czerwonej twarzy narywał i po obejściu się szastał.

Jakiś pan od strony ulicy wszedł na dziedziniec i stanął bezradnie na środku, rozglądając się po ścianach, jakby w poszukiwaniu numeru. Miał na sobie jesienne kraciaste palto i filcowy kapelusz, nasunięty na czoło, ręce w kieszeniach i drewnianą fajeczkę w zębach. Nie dopatrzwszy się numeru a widząc, że kilkoro ludzi po obejściu się kręci, zapytał bezosobowo w kierunku trzech ścian:

— Mieszka tu geometra Ilnycz, Zacharjasz Michajłowicz Ilnycz?

Kurkow poczuł się w obowiązku odpowiedzieć. Był w dobrym humorze. Niewiadomo, czy mu Wołkowy węgiel tak na humor podziałał, czy wogóle taki dowcipny był. Poznawszy, że przybysz jakiś nie tutejszy i przytem bogato z nepmańska ubrany, postanowił go trochę nabrać.

Zanim dowcipną odpowiedź wykoncypował, nieznamy pan zadał już drugie pytanie. Jakby mu się śpieszyło.

— Gdzie jest tu uprawdom?

Czekaj, nieświadomy rzeczy przybyszu, Kurkowi okrutnie chce się pofilozofować.

— Jakto zaraz widać, że towarzysz nie nasz rosyjski, bo to i pominąwszy akcent, zapewne z książki czytał towarzysz, że do każdego domu ma być uprawdom, ale gdzie tu do takiej budy uprawdom, zdechłby z głodu. Uprawdom — uważa towarzysz — w wielkich, bogatych kamienicach.

— Ja tu uczyć się waszego porządku nie mam czasu, ale z ramienia kolchizu pytam gdzie mieszka towarzysz Ilnycz Zacharjasz Michajłowicz.

Kurkowi mina zrzedła.

— Następny dom od frontu, pierwsze piętro.

Pan zakręcił się w swem dostatnim palcie jak wrzeczono i energicznym prędkim krokiem poszedł we wskazanym kierunku. Znikł.

Widziała to ze swej izdebki Ksenia, a był to czas jej choroby na arystokratkę, jakaś dziwna nienazwana tęsknota, godzinami potrafiła tak tkwić przy oknie, z czarnymi oczami wlepionymi w próżnię. Właśnie nadchodziła godzina jej poobiedniego spaceru. Powoli wciągnęła na siebie jesienny kostjum, blado uśmiechnęła się do pięknych szamerowań na rę-

kawach. Stroje, ot co mogło ją jeszcze rozweselić. Za oknem obrażony Kurkow pogadywał coś mruklawie do Wołkowa, obaj byli w nieszczerogólnych humorach, a w to wszystko wdepnął jeszcze warjat Łazarin. Także miał swój zły dzień. Najpierw odbuczał swoje, z ręką przy ustach, jakby mówił do telefonu:

— Bunt! bunt! wzywa się siódmy posterunek milicji do uwięzienia opornych. Porządek musi być.

Nie trwało to długo. Potem przyczepił się do Artamona, jak rzep do kozucha. Niby warjat, a do tego rozum miał.

— No, Artamonie Pawłyczu, spec tego miesiąca u was już był? żeby zapisać ile razy? he, spec już był?

Właśnie w tej chwili Ksenia była już w progu. Artamon musiał na kimś swój centnar węgla odbić, więc „admirala” z jednej strony w wymierzoną twarz i z drugiej. Zatoczył się staruszek, zamachał rękami, zaslaniając się przed ciosami jak dziecko.

Poderwało to Ksenię z miejsca. Ujęła się za nim, podbiegła do napastnika i chwyciwszy go za rękę wykrztusiła:

— To bardzo nieładnie z waszej strony, Artamonie, że bijecie tego biedaka, bardzo nieładnie, zostawcie...

Nie zwracał na nią uwagi, ale kiedy uczepiała się go gwałtowniej, spojrzął na nią nieprzytomnymi gałami. Czerwona gęba, przekreślona truskawkowym nosem, zbliżyła się do niej groźnie. Lęk ją przeszył, gdy jeszcze mówiła:

— ... zostawcie...

I ciężka sękata garść, jak worek upchany węglem, grzmotnęła ją z nagłą w twarz. Po skroń, po oko.

Zaszumiały domy. W błoto upadła drgająca z bólu, w truchlejącej ciszy własnego serca. „Byle nie zatratował buciorami” — pulsowało jej w głowie od środka, jakby wielkim żelaznym młotem. I łzy buchnęły z oczu, ze ściśniętego gardła — cichy, skomlący, przerywany jęk. Mazała się w tych łzach i w błocie, zgarniała szamerowanymi rękawami pod głowę. „Zapaść się, nie żyć, nie żyć!”.

W uszach szum wściekłych młynów, coś tam nad jej głową musiało się dziać, śmieli się. Babski cienki jazgot.

— ... widzieliście ją, arystokratka!

—... śmieć!

Róża Iwanowna krzyczała:

— Zbóje, dzieckoście mi zmaltretowali!

Słyszała to wszystko, jak przez watę. Tylko się stąd nie podnieść, nie popatrzeć w oczy, zamrzeć!

Potem zaległa cisza.

Czyjś równy, spokojny, stanowczy głos. Woda z kałuży wsiąkła już w materiał i oślizgłem zimnem wdarła się pod brzuch. Ktoś ujął ją pod rękę i podniósł. W zapłakanych oczach latała jej brązowa twarz z drewnianą fajeczką i zwały szarego sukna na podtrzymujących rękach. Delegat kolchizu mówił:

— Ja tę dziewczynę zabieram ze sobą.

Matka oponowała.

— Co to, niema na to sowietu, by nie pozwolił na uprowadzenie dziecka?

— Wy mnie sowietem nie straszcie. Będziecie ją mogli widywać, córki wam nie odbieram.

I wyprowadził Ksenię. Szła bezwolnie. Od ulicy jeszcze zawrócił.

— Po rzeczy przyślę później.

Szli. Słaniała się trochę, podtrzymywał ją, szli. Spoglądała na niego ukradkiem.

— Kto wy, towarzyszu... panie... jesteście, bo nie wiem kto... i dokąd?

— Drobnostka... Amerykanin... Readling.

JÓZEF CZECHOWICZ

HILDUR, BALDUR I CZAS

*Skrzydła w niebie furkoczą głucho —
Ikar to, Ikar opuszcza Dedala.
Piorunów starca szkarłatna fala
uderzy w puhar.*

*Pozbawiona kulis przepychu
ziemia stromo się piętrzy;
już wielkie schody wiodą pod chmur dno.
Ptaki padają na marmur cicho
(szczęście osłabia),
ptaki mrą.*

*A starzec za tymi dwoma rok po roku zatapia,
jak sine kry.
Kogut zapiał.
Kosa się skrzy.*

*Baldurze, wyżej! Ty czujesz: niema powrotu!
Och, idzie, kosę odrzucił, a ujął śpiewny łuk.
To znaczy śmierci nie chce, tylko go strąci grotem,
abyście razem nie doszli do czarnych strug.*

*Stopnie z białego kamienia, siło przedwieczna, pogaś,
przecież płonące w słońcu wydają Hildura na strzał
groźnego wroga.*

Imię jego — nienawiść młodych ciał.

*Przykłęka, błyska brodą assyryjską,
napina cięciwę,
świsnęło...*

To już to.

*Spada Hildur, kołuje w otchłani siwej
ugodzony pod serce, nisko,
a światło pszenicznych włosów jak siostra za nim szło...*

PAUL CLAUDEL

M Ł O D O Ś Ć V I O L E N Y

AKT DRUGI

Wnętrze ogrodu.

MARA No i co ci powiedziała?

ELŻBIETA Powiedziałam jej wszystko, jedno po drugim.

Z początku słuchała mych słów ze spuszczonej oczyma;

Gdy zaczęła mówić o tobie,

Zrobiła się poważna i patrzyła mi w twarz, naśladować wargami kształt słów mówionych przeze mnie.

Jeszcze zanim cokolwiek jej powiedziałam,

Pobladła niby ściana, tom widziała, że pojęła wszystko.

MARA Ale co powiedziała?

ELŻBIETA Oh!

Zamknęła oczy — jak człowiek, co otrzymał cios w samo serce!

Mnie zebrało się na płkanie, więc-em mówiła jej jeno: „No, nie! No, już nic!

Violeno, moja córuniu!

Jakeś jednym uchem słyszała, tak drugim wypuść! Ja już nic od ciebie nie żądam!“

Nakoniec — rozwarła z powrotem oczy i patrzyła temi oczami z wyrazem wyrzutu i bólu,

Usta miała otwarte z pasmem śliny między wargami — jak małe dziecko, gdy czegoś uważnie słucha!

A potem się odwróciła i zaniosła się szlochem.

Chciałam jeszcze coś do niej mówić, ale ręką dała mi znak, że ma chęć zostać sama,

A potem... Potem już nic nie odzywała się do mnie.

MARA Csss!

ELŻBIETA Co się stało?

— Żal mi tego, cożem zrobiła.

MARA No, już dobrze! — Widzisz ją w głębi ogrodzonego pola. Idzie poza drzewami. Już jej nie widać (*Cisza*)

ELŻBIETA Jak myślisz: Jacek Hury dziś rano chyba miał być?

MARA Tak. Odejdźmy (*Wychodzą*)

JACEK HURY Nie widzę jej. A przecież wyraźnie mi powiedziała, że chce się ze mną dziś rankiem zobaczyć, Spotkać się tutaj.

MARA (*wchodzi*) Jacek, szukasz tu kogoś?

JACEK HURY Szukam Violeny.

MARA Violeny? Już od wczoraj nie wiem, gdzie się podziewa!

Lata, jak kot z pęcherzem! A czy wiesz? — ona ma wyjść zamaż.

Czyś słyszał, co mówił ojciec już przed samym odjazdem?

JACEK HURY Słyszałem, mówił jej coś o mężu.

MARA Właśnie. A może wiesz, kto ma nim być?

JACEK HURY Wydaje mi się, że wiem.

MARA No więc! Jakie masz o nim zdanie? Wszak ty go znasz!

O wiele starszy od niej! Lecz co prawda, to prawda: człek to bogaty i szkoły także kończył.

JACEK HURY Czy naprawdę tyle od niej starszy?

MARA Ależ, chyba ze dwadzieścia lat. A napodróżował się ile!...

Opowiadał nam któregoś wieczora to o tem, to o owem.

A żebyś ją wtedy widział, tę słodziutką! Czerwona była jak rak!

Gdy się miało nieszczęście mu przerwać — jakim okiem rzucała!

Ale już mniejsza z tem! Nie trwało to wszystko długo! Zabawił u nas przez tydzień.

Koniec końców, niema dwóch zdań, że mówiła o wszystkim z ojcem. Czemużby tak znowu płakała? No, i pocóżby ojciec wyjeżdżał?

— A chcesz wiedzieć, com przypadkowo widziała na własne oczy? Było to jeszcze wczoraj, zanim zrobił się świt! Już po wszystkim, więc śmiało mogę całą rzecz opowiedzieć.

JACEK HURY Mów.

MARA E, nie warto i gadać.

JACEK HURY Mów (*Pauza. Mara patrzy na niego*)

MARA Było jeszcze bardzo wcześnie. Ja oddawna źle śpiam. Wydało mi się, że słyhać szmer jakiś w domu — jakgdyby kroki skradających się pocichu ludzi.

Więc schodzę nadół. Był ledwie brzask. Idę na palcach.

Wechodzę do kuchni i co me oczy widzą? Nie, nie powinnam wcale tobie o tem wspominać.

Violena, ta słodka! Na własne ją oczy widziałam; na własne — mówię ci — oczy.

JACEK HURY No, i co dalej?

MARA Moja Violenska z tym Piotrem de Craon...

JACEK HURY No i?...

MARA ...który ją obcałowywał. Nie opierała się wcale, jeszcze się poddawała. Nie sprawiało jej to przykrości, — świeża była jak róża!

Tu, koło ust! Ach, przyjaźń nie czekała zanadto długo, żeby się między nimi zawiązać!

JACEK HURY To kłamstwo!

MARA Kłamstwo? Mówię ci, com widziała!

Lecz co się z tobą dzieje? Wyglądasz, jakgdyby nagle coś ci się stało.

JACEK HURY Nie, nic!

MARA Niedobre serce! więc szczęście drugich staje ci kością w gardle?

JACEK HURY Ty.... wiesz dobrze... Naigrawasz się ze mnie.

MARA Ja, — naigrawam się, — Jacku! Inni mogą się z ciebie wyśmiewać, ale ja — ja, to nigdy. Bardzo cię kocham.

Dlaczego ciągle myślisz o tej kobiecie? Są przecież inne.

Niema co! Będziem mieli wesele (*Wychodzi. Pauza*)

JACEK HURY Oczywiście, to wierutne kłamstwo. Ale poco mi o tem mówiła? Nic a nic nie słyszałem.

Muszę spytać Violeny, co to wszystko ma znaczyć.

*

Inna aleja — równoległa do tej, w której znajduje się JACEK, i oddzielona od tamtej drzewami i ogrodowym szpalerem. U końca tej alei ukazuje się VIOLENA i przemierza ją wolnym krokiem.

Oto ona, jużem wszystko zapomniał! Ona jest ze szczerego złota. Dobrzem widział, że ona mnie kocha.

To ona! Wstyd mi za siebie, mam ochotę śmiać się i płakać. Musi być tam; co robić?

Ach, tak się czuję radosny, mogąc na nią choć patrzeć, że bodaj dzień lub dwa muszę przepędzić w zupełnej samotności,

By myśleć o swem szczęściu jedynie. Ona, zaniepokojona, przyjdzie chyba mnie szukać,

Będzie ze mną rozmawiać, wymieniając, jedną po drugiej,

Wszystkie przyczyny, dla których mam jej — rzekomo — nie kochać, a przy każdej z nich, pełen szczęścia, będę mówił, że to jeszcze nie ta,

I nie przerwę jej nawet słówkiem.

Znalazłszy się naprzeciw niego, VIOLENA zatrzymuje się i obraca się twarzą w jego stronę. Spoglądają na siebie poprzez gałęzie.

JACEK HURY Widzę swą narzeczoną przez liście i przez kwiaty:
Napół mi ją ukazują i zakrywają. O, godzino szczęśliwa, — już nie
zaznam nigdy szczęśliwszej!

Jakaż jest ta, co stoi oto naprzeciw mnie, słodsza niż powiew wiatru, taka
jak miesiąc poprzez młode listowie?

Jej kibić — to kibić tej, której wzrost już osiągnął swą miarę, szla-
chetna w czystym, pełnym prostoty uroku,

Prosta — nie nakształt drzewa, lecz nakształt giętkich włókien, jak
łodyga świeżego kwiatu, jak ta lilja noworozkwitła!

Ona moja! Jej widok jest jak głęboki oddech,

Z jakim budzimy się ze snu.

Oto ona — niby młoda pszczołka, co rozpościera swe skrzydła, tak
jeszcze świeże; niby łania dorodna; niby kwiat, co sam nawet nie wie, jaki
jest piękny!

Twarz jej nosi niejako znamię

Radości, której dane jej jest kosztować; widzę jej włosy ze złota i ze
srebra!

Złotawe z odcieniem srebra — jak spód miętowego liścia!

O, postaci nienaruszalna, o, młoda ma narzeczono — poprzez kwit-
nące gałęzie witaj!

VIOLENA rusza naprzód i przechodzi w aleję, w której znajduje się JACEK. Za-
trzymuje się w pewnej odległości od niego.

JACEK HURY (*zupełnie głośno*) Teraz już nie tak, jak wtedy, gdym
cię spotykał przedtem.

Nie pozwolę ci się ominąć. Dziś już nie zejdziesz ci z drogi.

(*Śmieje się — myśląc*): Śmieję się, — jakież to głupie! Widzę cię
w barwie róży!

I to właśnie mi się wydaje tak słodkie i niewinne, że nie mogę się po-
wstrzymać od śmiechu.

VIOLENA (*z głową spuszczoną*) Jacku Hury! Życzeniem mego ojca
Było, bym cię poślubiła. Bo kobieta nie może żyć sama. Ojciec odjechał.
Więc skoro ojca już nie ma, musi ona wybrać sobie kogoś,

Komuby mogła zaufać, komuby oddać się mogła.

JACEK HURY Ojciec wyjechał i kto wie, kiedy powróci?

Powinnaś do mnie przywyknąć. Ja nie jestem wcale jak ojciec, który
żył już przed nami; myśmy się urodzili

W odpowiednim odstepie między dwojgiem dusz naszych — moja już żyła przed twoją, —

Byśmy odtąd mogli żyć razem, żyć jedno dla drugiego. Oto przyjaciel oddany,

Oto mąż, którego kochanie — to więcej, niż miłość ojca czy matki.

VIOLENA (*bardzo cicho, z głową ciągle spuszczoną*) Szczęśliwa Kobieta, co odprawiwszy przyjaciela spostrzega, że stoi wciąż na progu, I z łagodnym uśmiechem zamyka wrota,

Bo wie dobrze, że już niedługo, za dwa — trzy dni

Staną na ślubnym kobiercu (*Pauza*)

JACEK HURY Czemu tak mówisz do trawy? Cóż tak wpatrujesz się w ziemię?

Violeno, właśnie jest chwila potemu, byśmy stanęli twarz w twarz; później, żeby się widzieć,

Będziemy musieli głowy odwracać w bok.

Podnieś głowę, mój słodki kwiecie bzu, i popatrz na mnie, żebym mógł widzieć twe oczy!

Obróć ku mnie swą jasną twarz!

VIOLENA Niechby Bogu się spodobało i niechbym już umarła!

JACEK HURY Violeno, co wygadujesz!

VIOLENA Może to jeszcze wczoraj

Sprawiłoby ci ból.

JACEK HURY Wczoraj?

VIOLENA Daruj

Ból, który ci zadaję (*Pauza*)

JACEK HURY Violeno! (*Pauza. — Myśli:*

Szkoda zachodu; lepiej byłoby odejść natychmiast, już się tu nie znajdować,

Nie widzieć jej, na nic nie czekać i nic nie słyszeć.

(*Zupełnie głośno*): Pojmuję: nie chcesz wyjść za mnie.

VIOLENA Tak, właśnie tak, — nigdy za ciebie nie wyjdę (*Pauza*)

JACEK HURY (*powtarzając po niej wolno*) Tak, właśnie tak, nigdy za ciebie nie wyjdę (*Pauza*)

Te słowa nawet we śnie byłyby zanadto smutne!

Oto wreszcie nadeszła kochana. Jest tu wreszcie, — po tylu cierpieniach! I to głos twej kochanej: wszak ona mówi;

Mówi do ciebie, a ty słyszysz ledwie samo brzmienie słów:

„Przyjacielu, swą wielką miłością zdobyłeś moje serce! Jestem twoja.

Patrz: oto się bezustannie staję coraz piękniejsza

I tklisz, a nie marzysz. Zbliź się i bierz swą nagrodę;

Jeszcze zbliż się. — Wiedz, że nie będę twą żoną.

Możesz się łudzić, że cię kochałam? O, nie.

— Powtarzam ci: wcale a wcale.

Nie myśl, że nie kocham nikogo! Kocham słodką miłością nie ciebie, lecz innego“.

Niby małe dziewczątko, co dziecięcego króla wybiera w zabawie z koła,

Tak ty mnie ujęłaś za rękę

I, stanawszy ze mną przed wszystkimi, rzekłaś:

„Rodzice, przyjaciele i wszyscy obecni: patrzcie. To jest ten, którego wybrałam;

To jest ten, którego wybrałam, żeby go nie pokochać i żeby go nie wziąć za męża!“ (*Violena tka głucho*)

To wszystko było udane! Teraz już wiem! To był fałsz, wszystko było udane!

Więc już teraz możesz podnieść oczy! Mów, nie masz czego się wstydzić! Podnieś oczy i powiedz, żeś nigdy mnie nie kochała.

Pocałunek, który Piotr de Craon wziął od ciebie — to pieczęć twych wyznań.

Milczenie. VIOLENA ma głowę spuszczoną i nic nie odpowiada.

To było za wcześnie.

Zbyt szybko ustąpiłaś, za wcześnie mu dałaś odjechać.

Teraz możesz na niego czekać! Bydlę,

Użył sobie z tobą — i gwizdże.

— Prawda: ja tutaj byłem. Ale ty wolałaś innego.

— Jak dziewczka, co się boi sama spać, jak dziewczucha na słomie!

VIOLENA szlocha i nic nie odpowiada.

Więc jak, — ha? Nie odpowiesz mi ani słowa?

Podnieś, do diabła, głowę i spójrz mi w oczy! (*Tupie nogą*) Podnieś głowę, do ciężkiego licha!

Oh, przyprawia mnie to o wściekłość!

Łapie ją za włosy i ściąga jej głowę wtył. — Ona zamyka oczy, żeby na niego nie patrzeć.

VIOLENA To twoja pierwsza pieszczota. Tak, to — zaiste — więcej, niżli miłość ojca i matki.

JACEK puszcza ją. Włosy opadają w nieładzie.

JACEK HURY (*zupełnie głośno*) Płacz! O, Violeno, czemuś to uczyniła?

Widzisz jak cierpię — cierpię tak samo jak ty! Dlaczego tak zrobiłaś? I takie nasze spotkanie, taka to nasza schadzka!

O, strato niepowetowana!

(*Jednocześnie myśli*): A te włosy kobiece — jakie to śmieszne i jakie to miłe w dotknięciu.

Nie chce spojrzeć się na mnie. — Jakże byłem do niej przywiązany!

Co za boleść i co za surowość na tej twarzy zaciętej!

Jest jedna rzecz, której ni w ząb nie rozumiem.

Wszak zaciskała zęby. Jednak widziałem, jak jej wargi rozchyłały się nieco zwolna,

Jak u dziecka, co zaczyna płakać! O, to okropne! (*Pauza*)

Przebac mi. Byłem nazbyt porywczy (*Pauza*)

Marzyłem, że ty się staniesz honorem mojego życia — ty czysta i bez zmaży, — ukrytem źródłem wiary i niewinności,

Taka, jak zapach, który się wzmaga, im bardziej więdnie kwiat; taka jak trawa, która, gdy schnie, coraz jest trwalsza!

I oto teraz, zamiast odzewu miłości —

Zniewaga mnie spotyka: w swej narzeczonej widzę kobietę, co już zaznała mężczyzny.

Jakże on zakpił z ciebie, bawiąc się tobą godzinę i potem cię porzucając!

Jeżeli chcesz, ja ożenię się z tobą.

Miłość moja jest upokorzeniem,

Jednak to przecież miłość i serce moje dość wielkie na to, żebyś w niem ukryć się mogła.

VIOLENA (*półgłosem*) Cierpliwości, — jeszcze tylko chwilę.

Głęboka cisza. W oddali głos dziecka:

GŁOS DZIECKA Kumo wilgo, kumo wilgo,

Co jadasz polne wiśnie i zostawiasz pestki!

VIOLENA (*w myślach — wargi jej się poruszają, nie wydając żadnego szmeru*) W lesie biją trzy źródła.

— W czerwcu kuka kukułka; dziecko wybiera się w drogę, żeby ją znaleźć;

Niema nikogo; przy drodze rośnie grab; dziecko przystaje, a w sercu mu wzbiera ból.

Jakże spokojnie wokół! Jakaż piękna pogoda.

Słyszę ciągle gdzieś tam głos ptaka...

Podnosi palec — jakby dawała znak, by słuchano.

JACEK HURY (*zupełnie głośno*) Jakiego ptaka?

VIOLENA (*zupełnie głośno*) Turkawki.

(*Myśli*): Słysząc ją w czasie żniw, o popołudniowej porze, kiedy wszyscy są przy podwieczorku:

Dziewczęta, co się znajdują zdala od swoich domostw, ronią łzy gorzkie;
Kobieta płuczająca bieliznę, sam na sam na skraju lasu,

Przerywa na moment robotę, kiedy słyszy turkawkę, ręka z pralnikiem
zawisa jej w powietrzu; ogląda się dookoła, by zobaczyć, co to takiego.

Szczęśliwi ci, co są razem i wspólnie z błogim spokojem wodzą oczami
za dwojgiem latających w obłokach gołębi:

Jeden drugiego otula skrzydłem i dotyka go dziobem tuż koło powiek,
podobnych do plew z ziarn zboża (*Milczenie*).

JACEK HURY O czym ty mówisz?

VIOLENA Nie, ja za ciebie nie wyjdę.

JACEK HURY Violeno! (*Violena potrzeba lekko głową*)

JACEK HURY (*głucho, spuszczaając głowę*) Miejsze litość nade mną:
przecież cię kocham.

VIOLENA (*cichym głosem*) Nie, nie wyjdę za ciebie.

JACEK HURY Nie mów już nic. Nie doprowadzaj mnie do ostatecz-
ności. Czy nie mogłabyś ze mną pomówić szczerze? Ale co tam, wszystko
jest jasne.

A więc to prawda? Byłaś tu — owego poranka — w chwili, kiedy ten
człowiek, Piotr de Craon, odjeżdżał w świat.

Nie zaprzeczaj, bo was widzieli.

Właśnie wtedy, kiedy cię całował.

VIOLENA Kto mnie widział?

JACEK HURY Tak, tak; widzieli cię. Mara, twoja siostra, cię widziała.

VIOLENA Tak, to jest prawda (*Pauza*)

JACEK HURY No, to już. Skończmy z tem czempredzej. Chodźmy
do twojej matki (*Wychodzą oboje*).

*

Wnętrze z pierwszego aktu.

ELŻBIETA Pogody ciągle piękne; słysząc bicie dzwonów w Arcy.

I bez przerwy słysząc turkawkę (*Pauza. Elżbieta wzdycha*)

MARA (*wchodząc z pośpiechem*) Idą tutaj. Wydaje mi się, że z całego
małżeństwa figa; słyszysz, co mówię? Tylko nic nie gadaj.

Zmilknij i nie odzywaj się słowem.

ELŻBIETA A cóż to znowu?

O, podła ty, niegodziwa! Dopiełaś swego.

MARA Zostaw mnie wszystko. To tylko chwila. Czy tak, czy owak —
Nicby z tego nie było. To właśnie ja

Powinnam się wydać za niego, a nie ona. To będzie lepiej i dla niej.
I tak się musi stać! — Słyszysz?

Tylko bądź cicho!

Wchodzą JACEK HURY i VIOLENA. Pauza.

ELŻBIETA (*niepewnie*) Co się stało, Jacku? Co to znaczy, Violeno?

JACEK HURY Matko, rozmawialiśmy przed chwilą ze sobą, ja i Violena,

I doszliśmy do przekonania, że lepiej będzie, gdy małżeństwo nie dojdzie do skutku.

ELŻBIETA Jakto: nie dojdzie do skutku? Czy już nie chcesz z nią się ożenić?

JACEK HURY Powiedziała mi, że mnie nie kocha.

ELŻBIETA Co słyszysz? Naprawdę tak powiedziałaś, Violeno?

VIOLENA Opowiedz wszystko, Jacku.

JACEK HURY Powiedziałem już wszystko, co miałem do powiedzenia. Reszta należy do ciebie.

Słyszeliście, pani gospodyni? To i basta, wszystko w porządku. Ja odchodzę.

VIOLENA Matko, i jakże mógłby mnie Jacek poślubić,

Skoro Mara tu nas oboje — mnie i Piotra — widziała wczoraj przy oknie.

Bo ja zesłam, by się z nim pożegnać.

JACEK HURY Mów, Violeno! Masz sposobność potemu, żeby się wydać, — więc łap ją.

Radzę: im prędzej, tem lepiej (*Śmieje się*)

ELŻBIETA Czegoż się śmiejesz, niedobry człowieku!

To nieprawda! Nie, to nieprawda! — Chodź, Violeno,

Po tem wszystkiem lepiej będzie dla ciebie, jeśli go nie zaślubisz. — To nieprawda!

JACEK HURY Zostawcie mnie wreszcie w spokoju, pókim jeszcze pan samego siebie. Tobie się zdaje, Violeno, żeś zamało zrobiła mi złego?

VIOLENA Proszę cię o wybaczenie.

JACEK HURY Nie mogę ci wybaczyć.

ELŻBIETA Więc to ona, to ona sama powiedziała ci, że nie ma chęci wydać się zamaż za ciebie?

JACEK HURY Ona sama (*do Violeny*) Czy nie tak było? — To są jedyne słowa, które z niej zdołałem wydobyć. Wszak widzicie, że niczemu nie przeczy! Taka już jest od rana, z oczami wbitemi w ziemię.

ELŻBIETA Oh!

JACEK HURY Widzicie ją?

ELŻBIETA Teraz, to już rozumiem! Violeno, dziecko moje! Nie pojęłaś, com chciała ci rzec!

JACEK HURY Co tam!

ELŻBIETA Violeno, biedne dziecko! Lecz ja nie dam ci tego zrobić!

MARA zbliża się do niej, jakby miała jej coś powiedzieć, i szczypie ją w ucho. ELŻBIETA wydaje okrzyk.

JACEK HURY Co się stało?

MARA Matko, co z tobą?

ELŻBIETA stoi nieruchomo, mrugając konwulsyjnie oczami, jak obłąkana.

JACEK HURY Coście powiedzieli: „Ja nie dam ci tego zrobić“?

MARA Matko! — Wydaje mi się, że z nią niedobrze. Ona się czuje nieswojo od chwili wyjazdu ojca...

Matko, chodź!

Wychodzi, wyprowadzając ELŻBIETĘ. — VIOLENA i JACEK pozostają sami we dwoje. — Pauza.

MARA (*wracając*) — Jacku, teraz lepiej, byś się oddalił. Przykro mi, że tak się stało...

Przykro mi, że to wszystko wypaplała ci dzisiaj rano.

JACEK HURY Maro, ty mi oddałaś przysługę.

(*Patrzy z boku na Violene*) Twój ojciec chciał,

Żebym zastąpił go przy was. W każdej chwili służę wam pomocą.

MARA No, dobrze już, dobrze, — chodź! Nie masz nawet pojęcia, jak mnie wszystko to razem smuci.

JACEK idzie wolno ku drzwiom; potem w chwili, gdy ma już wyjść — odwraca się jeszcze w stronę VIOLENY. MARA wypycha go łagodnie za próg.

VIOLENA (*krzyczy*) Teraz już wszystko skończone — o, Boże, Boże!

MARA To z gruntu niedorzeczne. I dlaczego dopuściłaś do tego,

By on temu uwierzył? To napewno nieprawda. Co on sobie o nas pomyśli?

VIOLENA O, Boże! Boże mój, Boże!

MARA To nie ja cię wydałam, żeś tak postąpiła.

Ponieważ on już wiedział, że wczoraj rano Piotr de Craon i ty

Całowaliście się tutaj — więc nie mogłam temu zaprzeczyć,

VIOLENA Nie wspominaj, siostrzyczko, Craona. Tego, co jest między nami,

Nie jesteś zdolna pojąć. Już go w życiu nie ujrzę.

MARA Więc wcale nie chcesz wyjść za niego zamaż?

VIOLENA Maro, jakże ci nie wstyd być tak złą dla mnie?

MARA No, już dobrze! Ty wiesz lepiej o wszystkim niż ja! Samaś rzekła, żeś starsza ode mnie!

— Więc kto taki mógłby się z tobą ożenić?

Ktoś inny? Wydaje mi się, że ty nie masz zamiaru wyjść zamaż.

Wszyscy już mówią,
Że powinnaś wydać się za niego.

VIOLENA Nie, Maro, ja nie wyjdę zamaż.

MARA To i już! (*Patrzy na siostrę z namysłem*)

Ot, co! Przygotowałam to na wszelki wypadek; z pewnością nie odmówisz podpisania tego papieru. To byłoby zbyt złe z twojej strony. Jesteś starsza.

(*Wyciąga jakiś papier z zanadrza*) Jakież ty masz wymagania, skoro nie idziesz zamaż?

Daj mi swą część dziedziczną, by ojcowizna została nadal nieprzepolwiona. Sama jedna tu nie potrafisz gospodarować.

W ten sposób folwark zostanie taki jak jest dla naszych dzieci.

Oświadczyłabyś jeno, żeś już udział swój otrzymała. Obmyślałam, jak to urządzić.

Kładzie papier na stole. VIOLENA bierze pióro i podpisuje. MARA podchodzi do ogniska i bierze w garść popiołu, by przysypać nim podpis. Jeszcze raz odczytuje pismo uważnie, potem wybucha śmiechem.

Doprawdy, moja biedna siostro, tyś zanadto naiwna i gnuśna. To aż rzygać się chce i aż wściekłość człowieka porywa!

Zupełnie, jak jaka kaleka. Darowuje mi wszystko, co ma, —
To ci dopiero królowa! Jakgdybym ją poprosiła o głupi grosz.
Naści, kopciuszk, masz za swoje, ty głupi skrzacie!

Rzuca jej popiołem w oczy.

VIOLENA Mara, a toś mi dogodziła: zasypałaś mi popiołem oczy.

MARA (*ze śmiechem*) Oj, oj! A tom cię urządziła! Niechby cię, owszem, zobaczył taką jak teraz. Popiół

Miesza ci się ze łzami.

VIOLENA Widzę, niby przez mgłę!

MARA Ale drzwi jeszcze i teraz domacasz się, kocmołuchu!

VIOLENA Jakże to! wypędzasz mnie z domu?

MARA Miałabyś czoło tutaj pozostać, wyrodna córko? Spiesz się w po-goń za swym przyjacielem!

VIOLENA Nie mam żadnych przyjaciół.

MARA Nie masz? Więc dlaczego pozwoliłaś mu się łudzić?

Na to trzeba nie mieć sumienia! Nie mieć w sercu ani iskry uczucia.
Bo nie widziałam nigdy, by ktoś zmąsły aż tak postradał,

Jak on dla ciebie! — A zresztą — sama o tem wiesz tak, jak nikt.

VIOLENA Maro, moja młodsza siostra - okrutnico!

MARA Wiem, że Jacek cię kocha (*Violena szlocha*)

MARA No, więc? po tem wszystkiem, co zaszło, chyba widzisz, że nie możesz tu zostać!

Chyba nie myślisz zasiadać z nami nadal przy jednym stole.

VIOLENA Lecz zmiłuj się, na Boga: kędyż ja się podzieję? I do kogo, według ciebie, mam się udać?

MARA Ja nie pytałam cię o nic (*Pauza*)

MARA (*gwałtownie*) Ruszaj mi stąd!

Posłuchaj! Nie waż się zostać tu dłużej z nami, bo ja cię nienawidzę!

Dlaczego ja nie urodziłam się zamiast ciebie? Lecz ja i tak potrafię postawić wkońcu na swoim.

Czy ty go kochasz? Ty go nie kochasz!

Ty nie kochasz go tak jak ja! Nie kochasz go tak, jak kobieta powinna kochać męża,

W sposób najgłupszy pod słońcem, ślepo!

I dlatego słusznie mi go odstępujesz; to bardzo chwalebne z twej strony.

Nie żywisz przywiązania dla niczego, co należy do ciebie! I ktokolwiek cię o coś poprosi,

Wypełniasz jego prośbę, nim jeszcze skończy mówić;

Lecz ja — ja wiem, co jest moje, i trzymam to zębami i pazurami; ktoby czegoś mojego tknął, niechaj się ma na baczności!

To nie ja cię wyganiam. To dom, żeś nim wzgardziła! Ojcowizna, żeś się jej wyrzekła!

Precz z tych progów!

VIOLENA Gdzież pójdę?

MARA Niech cię Bóg ma w swojej opiece — obłąkana i zbeszczeszczona!

Na ród cały hańbę rzuciłaś. Ją weź w majątku, zachowaj i zabierz z sobą!

VIOLENA Masz słusność, Maro, muszę stąd odejść, — żegnaj!

Odejdę wygnana okrutnie z domu!

Wychodzi. Widać ją, jak się oddala w głąb ogrodu.

MARA (*wołając*) Violeno!

Violeno, wróć! (*Pauza. Postępuje parę kroków, jakby chciała ją gonić,— potem zatrzymuje się*)

Niema co! Sama gładko potrafi wrócić.

(*Ręką przysłania sobie od góry oczy*) Już jej nie widać.

AKT TRZECI

Okolice Chevoche. Wieczór zimowy. Skrzyżowanie dwóch zatartych dróg wśród rzadkiego lasu jodłowego i brzoźowego. U podnóża wysokiego krzyża stoi MARA VERCORS z synkiem ALBINEM, niewidomym, i jeszcze jakąś KOBIEtĄ.

MAŁY ALBIN Mamo, mamusiu! Chodźmy stąd!

KOBIEtA Ma słuszość. Jest już późno. Chyba lepiej chodźmy.

MARA Jeszcze poczekam. Nie przysłałam tu tak sobie. Cicho, bo się doigrasz,

Że sprawię ci małe lanie.

KOBIEtA Jest późno. Mamy jeszcze szmat drogi. Przechodzą mnie ciarki ze strachu.

Ten krzyż, — te drogi rozstajne, co się tu właśnie krzyżują,

W samym jądrze leśnej gęstwiny, — jest w tem wszystkim coś niezwyčajnego. Niema gadania: to tędy przechodziła przed laty droga.

Gdzieś niedaleko stąd pokazywali mi karczme: nic z niej, jeno piwnica i jedna lub dwie ściany.

A karczmarz się powiesił, jak powiadają (*Zaczyna padać śnieg*)

MARA Tego tylko nam brakowało, żeby teraz zaczął padać śnieg! A to ci mrozisko wzięło!

KOBIEtA Jest późno. Lepiej ruszajmy.

MARA No i patrzcie: potrzebny tyli kawał białego dnia, żeby znaleźć kobietę, co niedowidzi!

Ciało mi od zimna sztywnieje, jakby było drewniane; Albin także może zmarznąć na kość! Ale nie będę wracała. Zostanę tu dopóty, dopóki jej nie znajdę.

KOBIEtA Czy to nie dopust Boży wałęsać się po lasach taką porą i w moim wieku! Ani rusz: na zdrowie mi to nie pójdzie!

MARA Więc niewiadomo, gdzie jej noclegowisko?

KOBIEtA Dzisiaj tu, jutro gdzieindziej. A potem miesiącami oko ludzkie jej nie ogląda.

Trza robić na nią obławę, niczem na zwierza.

— Wasze małe, jak widzę, jest ślepe?

A we mnie znowuż choróbsko jakieściś wlażło.

Milczenie. Wszyscy zamyśleni. Śnieg pada.

To-ci biedne maleństwo! Wcale po nim tego kalectwa nie widać.

Z nim nie tak, jak z ową Maryską, com wam o niej opowiadała.

Ona też ślepa była od urodzenia. Powieki miała jak jedna rana, co przyjemne do patrzenia nie było. Przytem — i mężata i dzieciata.

— A teraz widzi wyraźnie i przenikliwie, jak wy, albo też jak ja.

— I ze starszym Filipem było to samo: przez nią władzę odzyskał w ręce.

— To musiało być śmieszne, że ona ich — ślepa — widziała! Co tu gadać tak po próżnicy: lepsze to, niżli lunatyczka.

MARA Więc ona czyni cuda?

KOBIETA Żadne tam cuda, — chybaście z księżycy spadli! Zwyczajnie: „siła“, jak toto nazywają.

Co ci tam za cuda. To tylko owa „siła“, pojmujecie? Mnie już dobrze to wszystko przetłumaczyli.

Że też, wzięwszy na zdrowy rozum, chce się takim ludziom jak ona lasy całe przebiegać! Musi jest w niej coś złego!

Albo nie lepiejby-ci jej było zagospodarować się na stałe — wygodnie, podług swych chęci, w jakimś mieście,

Zamiast się włóczyć po lasach jak pomyłona? Bo nie ma dwóch zdań, że to obłąkana. Szłoby się do niej bez takich oto trudności.

I pieniędzy wtedyby se zarobiła. I co to za dobroczynstwo byłoby dla okolicy.

MARA Tak — z pewnością — byłoby lepiej.

I mówią, że ona jest ślepa?

KOBIETA Tak.

MARA To jak niby odnajduje drogę?

KOBIETA Ano, jakoś daje sobie radę; trafi wszędzie jakimś psim swędem.

MARA (*odwróciwszy się w drugą stronę*) A to co?

W miejscu niezadrzewionem widać na śniegu ślady bosych stóp.

KOBIETA W imię Ojca i Syna!

MARA To ślady bosych nóg! Pięcioro palców i pięta.

To odcisk stopy kobiecej.

KOBIETA To ją łapcie, jak się wam chce. Ja wolę zbierać gnaty. Jak się ci strach mnie obleciał!

Te ślady gołych nóg na śniegu, — to ci mnie tknęło.

Musi nie jest to zwyczajny człowiek.

Gołe nogi, — na taki siarczysty mróz! Idziecie ze mną, czy nie?

MARA Nie.

KOBIETA A ja w dyrdy — już wolę, niż dopytać się jakiej biedy. A wy ostanicie se z Bogiem (*Wychodzi*)

MARA (*myśli*) Lepiej tu zostać. Poczekać tu sama jedna,

Jedną sprawę będzie miała do słuchania.

Długo spogląda w stronę, gdzie ślady gołych stóp się gubią; potem, gdy obraca się w stronę przeciwną, spostrzega przez powietrze, gęste od płatków śniegu, jakąś czarną

postać; odziana w prosty ubiór i z kapturem nasuniętym na głowę, postać owa kieruje się ku niej. Gdy jest już dostatecznie blisko, MARA poznaje, że to VIOLENA. Obie stoją przez chwilę nieruchome, twarz w twarz; potem VIOLENA rusza w dalszą drogę, a MARA podąża za nią.

*

Idą coraz głębiej poprzez rzadki las jodłowy i brzoźowy, wśród wrzosów i suchych janowców. Niekiedy zając wymyka się im z pod nóg. MARA niesie dziecko na plecach. Śnieg przestał padać, nastała noc. Niebo rozpogodziło się. Błyszczący księżyc w nowiu, w pośrodku olbrzymiego świetlistego koła, oświetla pagórek, cały pokryty wrzosami i białym piaskiem. Na zboczu olbrzymiej wielkości kamienie — piaskowce o fantastycznym kształcie. Kamienie te są podobne do przedpotopowych zwierząt, do jakichś tajemniczych posągów, do pokracznych bożków, o dziwnie wyrosłych członkach i głowach. Niewidoma prowadzi MARĘ do jaskini, którą zamieszkuje; korytarz powstały ze skał, wspartych jedna na drugiej. W głębi jest ściana kamienna, z wyjątkiem otworu, stanowiącego rodzaj komina. Rozpała ogień z wrzosów.

*

Wszyscy troje siedzą w milczeniu koło ogniska.

VIOLENA Ja już nie płaczę. Popiół opadł mi z twarzy.

MARA Violeno, tyś mnie poznała?

VIOLENA Jesteś Mara Vercors, moja siostra.

MARA Czy to prawda, że jesteś ślepa? To znaczy: całkiem ślepa?

VIOLENA Prawda.

MARA Więc w jaki sposób mnie poznałaś?

VIOLENA Węchem i wewnątrz — duszą.

MARA Lecz skoro nic nie widzisz, czemu się na mnie patrzysz? Przecież ślepi nie mają wcale spojrzenia.

A ty, choć nie poruszasz oczami,

To one idą za mną, niby oczy z portretów — oczy, od których niesposób się uwolnić.

A jednak — widać wyraźnie, że nie są one takie, jak to oczy każdego innego człowieka.

Oto ogień jasno się pali: a one wcale nie błyszczą i wcale nie odbijają światła.

Lecz ja nie przeczę, że to są oczy widzące, bo tak, jak oczy zwyczajne, Stworzone zostały dla blasku i chwytają każdziuteńką rzecz

Przez powłokę, w której ona tkwi.

Twoje oczy, — możnaby powiedzieć, — czułe są jeno

Na czarną noc i poznają wszystko przez jądro, przez kształt wewnętrznej nieprzejrzystości.

Odwróć, odwróć ode mnie te oczy czarne i puste!

VIOLENA Szukałaś mnie — i znalazłaś.

MARA Teraz już wiem, że trzymasz się przy życiu. Co się z tobą działo przez ten czas?

Gdym napotkała owo dziwne odbicie bosej stopy na białym puchu,
Gdym zobaczyła znenacka, wśród zawieruchy płatków śnieżnych, tę
czarną postać,

A potem, gdym w pewnej chwili
Rozpoznała na białym tle śniegu...

VIOLENA A jednakże podążyłaś za mną?

MARA (*głosem nieuchwytnym — napót mówiąc, napót myśląc*)
Serce... zlodowaciałe...

Uległością niepokonalną...

Uczucie trwogi i — bezpieczeństwa... (*Pauza*)

VIOLENA To bynajmniej nie droga się kończy, lecz przychodzi godzina, gdy podróżny przystaje

I ktoś go czeka, jak służąca wysłana nam na spotkanie; i, nie znając jej, nocą głęboką,

Poznaje się ją tutaj, w pobliżu przydrożnego krzyża,

Przewodniczkę, idącą obok, jak milcząca obok niewiedzącej (*Pauza*)

MARA Violeno, ja łeb mam twardy.

Wewnątrz siebie dźwigam ja prawo, któremu jestem posłuszna jak żołnierz, — prawo, pisane jakgdyby na papierze.

Jeśli jest dla mnie z korzyścią uczynić to lub owo, i jeśli korzyść jest niezawodna —

Uczynię to, — choćby miało kosztować mnie nie wiem ile.

Lecz gdy wskazanie ustaje, krokiem nie stąpnę naprzód — chyba że ziemia pode mną się zapadnie.

Taka już jestem, Violeno, i niema na to rady.

VIOLENA Lecz to, kim jestem ja i jakie są moje losy — nie wchodzi w grę.

MARA Wiem, że jesteś w możności oddać mi dziś przysługę. Wiem, że jesteś mi dziś potrzebna, ty — niewidoma!

Wiem także, że wyrządziła ci krzywdę, lecz to wcale mnie nie zaprzęta.

Bez obawy zwracam się do ciebie, bo jesteś mi potrzebna.

VIOLENA Ty, widząca wszystko wyraźnie, potrzebujesz pomocy — od ślepej!

Mnie, która nic nie posiadam, tyś przyszła prosić o wsparcie! (*Pauza*)

MARA Może jesteś ciekawa, czy nasz ojciec wrócił z podróży?

Nie, nie powrócił.

VIOLENA Kędyż przebywa?

MARA Nie wiem. Nie dał nam znaku życia.

A co do matki naszej... (*Pauza*)

VIOLENA Niestety!

MARA Stało się to niedługo po twojem odejściu. Nie odzyskała już przytomności. Męczyła się trochę. Umarła.

— A ty, gdzieś się podziewała od tamtej chwili?

VIOLENA Poznaję głos, jaki mają u nas w rodzinie. Ty masz głos, podobny do głosu matki, choć jej był dźwięczny, a twój jest zmatowiały.

Oto przyszedł do rozmównicy! A ja jestem, niby biedna siostra, zamknięta w klasztorze za kratą i zasłoną,

Którą jakiś krewny odwiedza i udziela nowin o rodzinie. „Ten a ten umarł“, — donosi;

Swe własne ciało mam za celę klasztorną, nie ma ona ni okna, ni drzwi zwyczajnych — na jeden zamknięto ją klucz.

Nie wiem wcale, gdzie jest, jestem w tem, co miłuję!

Maro, czy ja się zmieniłam? Jak ja teraz wyglądam?

MARA Czy ty jesteś rzeczywiście niewidoma? Nie widzisz nic a nic?

VIOLENA Tak.

MARA Mówiłaś przed chwilą o popiele. To chyba nie dlatego, że ci nim zasypałam twarz!

VIOLENA Z początku byłam pewna, że mi się nic nie stanie i że będę się mogła wziąć do roboty. Byłam służącą.

Lecz oczy niedomagały: wszystko przed sobą widziałam,

Jak ten, co się nie wyspał, jak robotnica, co nie rozróżnia już nitek lnianych palcami. I tak zacierał się świat.

Mogłam jeszcze naczynia kuchenne zmywać, lecz nie mogłam już szyć.

Napadała mnie wtedy głupota, więc mówiłam do siebie:

„Mój Boże! Oto tracę wzrok i nie będę mogła wcale pracować!

I cóż pocznę teraz ze sobą, by się utrzymać przy życiu?“

I już nic nie widziałam wyraźnie — tak jak wtedy, gdy zamyka się oczy.

MARA Nie widzieć dobrze na oczy — teraz wiem, ile to znaczy.

VIOLENA Nocą robi się ciemno; a zimą nic nie rośnie.

A przypominam sobie, jak to któregoś roku, kiedym szła na pasterkę,

Ujrzałam wielką jabłoń, wśród nocy rozpostartej wokół,

Bielszą niżeli w maju, aż do samych koniusezków gałęzi przybraną tak pięknem, żywem kwieciami!

Radosna zapowiedź rojnego kwiecica była, niby strój ślubny, zapowiedzią jakich owoców?

I tak przez całą noc drzewo czekało spragnione,

Aż liście poopadają i aż słońce skryje się za chmury.

MARA Więc jak to może być? Mówisz, żeś z swej ślepoty zadowolona?

VIOLENA Wszystko się staje z ukrytą wolą Boga. Są owoce, co dojrzewają bez przeszkód

Od wiosny aż do jesieni w łaskawym blasku słońca.

A są też inne, jak winne grono, naprzykład,

Którego liściom szypułki się obrywa, by grona wcześniej zczerniały
I by można je było złożyć w ofierze w święto Matki Boskiej Zielnej.

Maro, przeciełaś wiązadło, co mnie trzymało, i wszystko we mnie zależy tylko od woli samego Boga.

— A któż lepiej zna człowieka, tego, co od czasu do czasu

Odwiedza go przez uczciwość lub w swojej sprawie przychodzi, niby służąca

Co oczekuje chleba od swego pana?

Ona poznaje go sercem.

I to nie tylko wewnątrznie,

Lecz także po ukrytych przyzwyczajeniach domowych.

MARA A jak zarabiasz na życie?

VIOLENA Dobra dusza mnie przygarnęła; potem zostałam sama.

Musiałam się wszystkiego uczyć odnowa i jak dziecko, co uczy się wi-
dzieć, musiałam się nauczyć nie widzieć nawet odległości żadnego przedmiotu.

Maro, wzrokiem i słuchem odbieramy wrażenia odmienne.

Bo oczyma się dowiadujemy tego, czem każda rzecz jest.

A znów to, czem jest każda rzecz, odróżnia ją od wszystkich innych.

Słuchem zaś poznajemy ze wszystkich rzeczy

Tylko to, że są tutaj, własny ich dźwięk, znak, który same dają, ich przywołanie.

I podczas gdy przez oczy wynosimy naszego ducha poza nas samych,
zwracając swą uwagę poza siebie samych,

Ślepy musi skupiać gorliwie całą swą duszę,

By czuć dotykiem wewnętrznym wszelki głos niewyraźny, na który
w całej głowie

Otwierają się misterne uszy, które trawia te głębokie zderzenia
dźwięków.

Mówię ci o tem byś zrozumiała, jak mogłam, pomimo to, żyć.

Albowiem, nie mając żadnego sposobu zarobienia na życie, musiałam
sobie znaleźć jakieś inne wyjście;

Nie mogłam sobie sama piec chleba, więc trzeba było, by mi podano
gotowy.

A jakże mogłabym go otrzymać, gdybyśmy

Nie znaleźli oboje sposobu wzajemnego trafienia do siebie?

I odtąd chleb dla mnie był prawie tak trudny do zobaczenia, jak świat,
co stał się dla mnie zupełnie niewidzialny.

MARA Dosyć już tego. Bóg przebywa w kościele i z jego domu nie uczynimy swojego. Trzeba żyć z podobnymi do siebie.

VIOLENA Jakże mogłabym tak postąpić, skoro bliźni wcale mnie nie chcieli?

Ten, którego kochałam, obarczył mnie zarzutem, że go zdradziła — i może miał swoją słuszość, choć nie wiedział co mówi.

Kto narodziny myśli potrafi wytłumaczyć i to, jak słowo poczęte odrywa się nam od serca?

— I o cóż mnie obwiniasz? Może o to, że się rozeszło o miłość,

Co żadnych następstw, jak wiesz, nie wywołała, prócz smutnych poezjalnych wyznań,

Czy o tę zmianę stanu, jaka się dokonała według litery prawa, gdy się zrzekła swych praw osobistych,

Zanim — niby dziewica, w której budzi się poczucie skromności —

Serce nasze, wśród tego świata bezpieczeństwa pełne i spokoju, niczem jakaś kobieta, robiąca na drutach —

Stało się nagle czułe na ten tajemny nacisk: c z y l i ż m i e s z c z ę s i ę w t e m?

Kto w nas bowiem, jeśli nie my sami, powiedział J a? powiedział to J a dziwne i tak dojrzałe?

A zatem: czy w nas przebywa

Ktoś — i odkąd on się w nas znajduje?

W jaki sposób mamy zamknąć oczy, żeby go ujrzeć?

Nie mogę mówić, że mnie przyzywał mążnek nieznany,

Ale czułam się jakby brzemienna, upojona jego obecnością.

Przybył on do mnie wówczas, kiedy oślepla, nie z własnej winy.

Z początku byłam oszołomiona, jak ktoś, kto nie wie, gdzie jest,

Cała splakana, splątana we własne włosy kobieta — biedna owca, która swą sierścią wełnistą zaczęła się o krzak ciernisty.

(I już mnie nigdzie nie było, natomiast ktoś był we mnie).

Więc wołałam do Boga, jakby był kędyś bardzo daleko.

— Cóż mi pozostawało? Kogóż miałam błagać o pomoc?

Jeśli, jak mówią w bajkach, dziecko wygnane

Lwa prosi o zmiłowanie —

Czy ono z własnej swej woli do nieznanej się udaje istoty, do potwornej i straszliwej bestji?

I ja, biedna dziewczyna, już także nie miałam ojca; ale ponieważ żyć znaczy to samo co rodzić się —

Zawsze, ilekroć rodzimy się bez ojca — każdy z nas ma ojca ze sobą.

Więc się zwróciłam do niego — tak jak się zwraca do dziadka, kiedy ojciec umarł.

Starzec, którego my nie oglądamy wcale i który przebywa tutaj, ponieważ istnieje.

Rzekłam do niego: „Widzisz, że ci, na których barki włożyłeś obowiązek opiekowania się mną,

Wygнали mnie, biedną dziewczynę; otom bez ojca i matki, bez domu, bez oczu, bez rąk!

Lecz o tobie nigdy nie wątpię. Nie odczuwam trwogi przed tobą i nie pragnę, byś mi zamiast siebie innych zesłał rodziców.

Uczyń mi miejsce przy sobie i już ci więcej nie będę sprawiała tyle kłopotu.

Czekałam odpowiedzi, lecz w duszy swej i w swem ciele

Otrzymałam nie jedną odpowiedź, dobywając ją z całej swej istoty,

Jak tajemnicę zamkniętą w sercach gwiazdozbiorów, jak związek istotny

Swego jestestwa z innem większem jestestwem.

I tak jak gwiazdy po drogach nocy — gwiazdy, błyszczące światłem, o którym nic nie wiedzą —

On mnie prowadzi wśród ludzi — niewidomą, zamkniętą.

MARA (*na stronie*) Nie słyszę dokładnie, co ona mówi: ślepcy mówią zawsze do siebie.

Ale — to najważniejsze, że ona daje sobie w życiu radę.

Ja nigdy nie umiałam dobrze odmawiać swych modlitw.

Ale ona? — to jej rzemiosło,

Bo ona z modlitwy żyje. Co uzyska dla siebie, to może mieć dla innych
(*Pauza*).

VIOLENA Maro, kto tu jest z tobą?

MARA A skąd ty wiesz, że jest tu ktoś jeszcze prócz nas?

VIOLENA Słyszę bicie jeszcze jednego serca.

MARA To Albin, nasz mały synek (*Pauza*)

VIOLENA Ile on ma lat?

MARA Pięć skończył.

VIOLENA (*półgłosem*) Niedługo zwlekał ze ślubem (*Pauza*)

MARA Dziecko jest ślepe (*Długa pauza*)

VIOLENA Czemuś je do mnie przyprowadziła?

MARA (*z porywem*) Violeno, żebyś je uleczyła!

VIOLENA Ślepego sprowadzasz do ślepej?

MARA (*z porywem*) Uzdrów je! Violeno, gdyś cię ujrzała dziś wieczór, Zwróconą ku mnie, spoglądającą na mnie tak, jakbyś miała wzrok,

Złękłam się, a jednocześnie ucieszyłam się, widząc, że to ty
I żeś jest niewidoma; w jednej chwili pojęłam wszystko.

Teraz uzdrów mi syna! Tyś jest przyczyną, że jest ułomny! i ty go
możesz uzdrowić.

Oto ślepa istota, którą wydałam na świat!

Pomyśl, że jestem matką! A nie widziałam ni jeden raz jego ocząt
tkliwych,

Nie uczułam ni jeden raz jego spojrzenia na sobie, — nie widzi mnie,
nie zna mnie.

Znasz dobrze, Violeno, co to za ból, kiedy się nic nie widzi, ale nie
wiesz, co to znaczy, kiedy się nie jest widzianą.

Ach! bardziej, niżeli pod wzrokiem swego męża, kobieta się miesza
i rumieni ze szczęścia wtedy, gdy czuje na sobie

Spokojne, mądre spojrzenie małego dziecka.

A on — on mnie wcale nie zna. On, — ta mała istota niewidoma, którą
nosiłam w sobie, którą poczęłam w uścisku ramion swego małżonka.

Śmierć mieszka pod jego powiekami; bezmyślnie zwraca twarz to tu,
to tam,

Jak jakieś żywe lichy, co się porusza i mówi. A źrenice ma podobne
do twoich.

Poznałam poprzez śnieżycę te oczy czarne i puste!

VIOLENA Czegoż ode mnie żądasz?

MARA Uzdrów go! Patrz, ilem drogi zrobiła, by ciebie znaleźć.

Zrozum: mąż został w domu sam, niema komu pilnować gospodarstwa,
kiedy mnie niema! A przecież teraz wszędzie jest mnóstwo roboty.

Wiem, żeś innych z tego uleczyła.

Dlaczego tak stronisz od ludzi i trzymasz się zdaleka,

Zamiast się spokojnie urządzić

Gdzieś, gdzieby każdy cię znalazł, ktoby cię potrzebował? Wtedy byłabyś
dobrodziejką dla wszystkich,

I nawet mogłabyś zarabiać pieniądze.

Lecz pobożnisie nie myślą wcale o swych bliźnich.

VIOLENA Mój Boże, zupełnie mi z tem dobrze, że mnie ludzie wcale
nie widują!

Dobrze jest mieszkać w ukryciu.

MARA Jakto, więc świadczyć dobro — to taki trud dla ciebie? A czyż
cała religia nie jest dla dobra ludzi?

VIOLENA Nawet gdyby religji nie było, to Bóg istnieje.

Jeśli ludzie istnieją, to dlatego właśnie, że Bóg jest, i wszelkie dobro
ludzkie pochodzi z jego dobroci.

Maro, skarby niebiańskich bogactw
 Nie są podobne do dobrze zaopatrzonego sklepu, gdzie każdy kupujący, roztropnie wszystkiego próbując,
 Przychodzi wybierać sobie to, co mu odpowiada.
 To wcale nie my wybieramy, lecz jesteście wybierani sami.
 Poza rozumem, poza świadomością, poza umysłem,
 Poza instynktem, co jest przyrodzonym naszym światłem,
 W ucisku nieodpartego ciężenia ku temu, co jest niby otchłan milczenia,
 Zagubieni w jakiejś burzy, podobnej do burzy tworzenia,
 Czujemy, że nie jesteście zdolni oprzeć się w nas samych temu,
 Co jest, jak kiełkujące jądro, jak tajemne nasienie, niby posiew nasz własny.

Drzewo, zajęte rośnięciem, nie zastanawia się nad tem, co dla niego jest złe, lub też dobre; ono rośnie i myśli,

Swe owoce sercem odkrywa w rozroście swych gałęzi!

Szczesny, kto całem swem ciałem odczuwa błogie brzemie, rozkoszny ciężar własnych owoców!

Nie można się nawet poruszyć, gdy się dźwiga ciężar zbyt wielki,

Co dojrzewa sam w sobie dla ognia niewygasłego.

Maro, często w pamięci widuję tę aleję, w ów dzień, piękniejszy niż dzień zaręczyn,

W której rozstaliśmy się na zawsze z Jackiem. Tylko że dziś nie kwiecień, lecz październik!

Zamiast kwiatów, są tylko owoce i ziemia jest niemi usłana.

MARA Rozumiem, co znaczą te słowa: że nie wszystko możesz uczynić swobodnie, według swej woli,

I że nie jesteś przekupką, sprzedającą owoce, lecz samem drzewem niejako, co te owoce rodzi.

Ale przecież owoce zawsze są na to, by zostały spożyte, i drzewo winno plon swój zdać temu, kto je zasadził — niezależnie od tego, na jakiej ziemi rośnie.

VIOLENA Kto owoc spożywa, musi go kochać, i zanim go skosztuje — musi go zerwać.

Lecz niech go nikt nie dotyka swoją dłonią ciekawą, gdyż tylko wargi czułe i ufne, tylko duchowe usta

Mogą go zdjąć, mięsz

Ślepy a smaczny, w osłonie nocy,

Tylko w ustach może się pogрузić, by serce zasmakowało dobroczynnej skrobi.

I w ten sposób wymyka się owoc tym, co go chcą ująć rękami,

Nie zaś własnem swem sercem, co chcą jeno zaznać smaku, nie zaś pożywić się nim.

MARA Co ma robić, Violeno? Wiem tylko, że jesteś w stanie wyświadczyć mi przysługę.

Miej litość nad moją głupotą! Mniej litość nad tem małym dzieckiem, co nic złego nie uczyniło! — Nachyl ku nam jedną z gałęzi, pokrytych owocami!

Ach, jeśli jest naprawdę jakieś ocalenie poza nami samymi, jakoweś drzewo,

Przez które ta leżąca odłogiem, pustynna gleba, co rozciąga się z tamtej strony naszej modlitwy, mogłaby stać się urodzajna,

Niech ono dla nas nie będzie takie, jakgdyby nie istniało!

VIOLENA Czy ty wiesz, co jest dobre, a co jest złe?

Jakże możesz mi ufać — mnie, com jest niby łąka pełna ziół rozmaitych, z których jedne są użyteczne, a inne nie przydają się na nic?

Ale skrucha przynosi spokój, a cierpliwość jest piękniejsza niż zieleń. Dlatego to: być ślepym — jest złe, albo i dobrze.

MARA Violeno, ja nic a nic nie rozumiem!

Powiedz-że mi po ludzku: czy to możliwe, by było dobrze, że dziecię moje jest ślepe?

Violeno, ja wierzę w ciebie! Wierzę, że możesz wyświadczyć mi tę łaskę! Wierzę w to, wierzę.

Czyliż to dobrze dla mnie, że dziecię moje jest ślepe? Czy mam stąd odejść, nic nie wskórawszy?

I cóż mi po wszystkim! cóż mnie obchodzi nawet to, że ty sama jesteś niewidoma!

Wiem tylko, że możesz być moją dobrodziejką.

VIOLENA Oby tylko ta wiara istniała w tobie naprawdę,

W nagrodę za tę twą uporczywość!

— Gdzież twoje dziecko?

MARA Ono śpi.

VIOLENA Podaj mi je.

MARA waha się chwilę, potem podaje siostrze dziecko. VIOLENA bierze je na ręce.

MARA O siostro niewidoma, jakież to dziwne, gdy widzę swoje dziecko na twoich rękach (*Szum nazewnątrz. Wiatr, deszcz zacina*)

VIOLENA Śpij, przyjacielu, i aby się nie obudź, śpij, niewidoma dziecino, w moich ramionach!

Jak on śpi! Oddycha tak słabo, że możnaby powiedzieć, że nie oddycha wcale.

Wiatr okropny pogrąża go w sen jeszcze głębszy.

Pauza kilkogodzinna. Obie siedzą bez ruchu; VIOLENA trzyma wciąż dziecko na rękach. DZIECKO ściska jeden ze swych palców wargami. Ogień zwolna przygasa i czyni się ciemność zupełna; widać tylko czerwony żar zwęglonych gałęzi. Miarowy szum wiatru i deszczu.

VIOLENA wzdycha i kładzie dziecko na ziemi; dziecko zbudziło się i wstaje. VIOLENA dokłada drewna na ogień.

VIOLENA Niewiadomo skąd ten wiatr wieje; dmie nocami i dniami. I dym ogniska leci to w jedną stronę, to w drugą. Chyba już świt.

Siedzi zamyślona, z twarzą zwróconą do ognia.

MARA Violeno, czy on widzi?

VIOLENA Spytaj go o to.

MARA Albin, dziecino moja, spójrz: czy mnie widzisz?

ALBIN Tak, mam. Jak zabawnie! Jak ładnie!

MARA bierze płonącą gałązkę i przybliża do jego oczu. Oczy nawet nie drgnęły.

MARA To nieprawda! Jego oczy nie poruszają się wcale, gdy przysuwa się do nich ogień.

VIOLENA Gdyż widzą one jeszcze

Tylko to jedno: inne oczy.

Odsuń zasłonę.

Bierze dziecko z powrotem na kolana.

MARA odsuwa zasłonę. Fala deszczu wdzierza się do wnętrza groty. Chmurny poranek zimowy. Widać w ciemności gałęzie, szarpane wiatrem.

Mały ALBIN przymruża odruchowo oczy, odchyła się w tył i odwraca głowę to tu, to tam. Ruszając niezdarnie rękami, zawadza o twarz VIOLENY, spogląda na nią z wyrazem zdumienia i przerażenia.

MAŁY ALBIN Oh, co to tu jest? Jakie to brzydkie! Puść mnie!

VIOLENA odwraca się w inną stronę, ku otworowi groty.

MAŁY ALBIN Ah! *(Porusza rękami, zgina i składa palce, jakby chciał dotykać i chwycić)* O, to, to!

MARA Albin, Albin! Powiedz, czy widzisz dobrze? *(Długie milczenie)*

MAŁY ALBIN Beee... buuu... beee...

MARA Albin, czego ty płaczesz?

ALBIN Beee... buuu... A co to jest? *(Wskazuje na światłość dnia)*
Beee... buuu...

MARA To świt; już dzień się zaczyna.

ALBIN *(płacze)* Beee... buuu... beee... buuu... beee... *(Pauza)*

VIOLENA *(półgłosem)* Deszcz pada na wrzosey i janowce. To tak, jakby się wracało z pogrzebu podczas deszczu, lejącego jak z cebra, Kiedy kawki latają dokoła dzwonnicy, krzycząc.

Przełożył
ROMAN KOŁONIECKI

ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

UPRZEMYSŁOWIENIE Z. S. R. R. A SPRAWY NARODOWOŚCIOWE

Związek Sowiecki zamieszkuje około 200 narodowości, stanowiących razem około 1/3 ogółu ludności państwa. Taki stan rzeczy, według reguł europejskich, powinienby wytwarzać duże trudności polityczne w postaci mniej lub więcej otwartych nastrojów irredentystycznych. Trudno zaprzeczyć, że nastroje takie istnieją i wśród niektórych narodowości Z.S.R.R.; nie są one jednak w chwili obecnej tak widoczne i skonsolidowane, żeby mogły zagrażać spójności wewnętrznej Sowietów. Rządy sowieckie nie prowadzą, jak wiadomo, eksterminacyjnej polityki narodowościowej; odwrotnie: popierają narodowościowe szkolnictwo, literaturę i sztukę. Można by było mniemać, iż konsekwencją takiej polityki będzie wzmożenie się separatyzmów, — ale tak nie jest. Polityka narodowościowa Sowietów odnosi zatem sukcesy. Jednak tajemnicę tych sukcesów można odgadnąć tylko na tle polityki gospodarczej i rozwoju gospodarczego Z.S.R.R.

Plan pięcioletni przewidywał uprzemysłowienie znajdujących się na kresach państwa rejonów i krajów w tempie znacznie szybszym niż centrum państwa, to znaczy okręgów moskiewskiego i leningradzkiego, będących historycznym ośrodkiem gospodarczym, politycznym i kulturalnym rosyjskiego imperjum. Oficjalną motywacją takiej konstrukcji planu była chęć wytworzenia w rolniczych rejonach klasy robotniczej, jako podpory bolszewickiej władzy. Wykonanie tej części planu zostało mocno wypaczone przez dwa czynniki. Pierwszym okazało się niedocenione znaczenie czynnika ludzkiego w produkcji: mimo mniejszych wkładów kapitałowych przemysł okręgów centralnych szybciej wykonywał plany rozbudowy i pracował wydajniej. W rezultacie od 1925 do 1930 r. udział okręgu leningradzkiego w ogół-

nej wartości czynnego kapitału zakładowego przemysłu spadł z 13,5% do 12,8%, a moskiewskiego z 23,8 na 20,5%, jednak udział w wartości produkcji wzrósł w tymże czasie odpowiednio z 11,8 do 12,9 i z 24,8 do 24,9%. Wypowiedział się w tych cyfrach wpływ większego doświadczenia, kultury i zdolności politycznego hegemonu — plemienia wielko-rosyjskiego.

Drugim czynnikiem były wydarzenia na forum międzynarodowym, które skłoniły rząd sowiecki do świadomego przerzucenia *gros* prac inwestycyjnych na Ural i poza Ural, co nie leżało w początkowych planach. Terytorjalne rozmieszczenie inwestycji przemysłowych w porównaniu z wyjściowym stanem uprzemysłowienia poszczególnych części ilustruje następująca tabelka:

OKRĘGI	Wartość kapitału zakładowego w %/o (w 1928 r.)	Wartość inwestycji przemysłowych dokonanych w ciągu l-ej pięcioletki	Wydatki na elektryfikację w %/o
Ogółem Z. S. R. R.	100 %	100 %	100
Okręgi: Leningradzki	10,0	8,2	16,9
„ Centralny (Mosk.)	30,8	13,7	15,6
„ Ukraina	24,5	22,4	16,2
„ Zakaukaski	10,7	1,4	5,9
„ Uralski	4,3	24,9	8,0
„ Gorkijowski (N. Nowogród)	1,6	5,7	17,2
„ Kazakstan	0,9	3,6	0,1
„ Śr. Azja	1,4	1,9	5,0
„ Syberja Zach. i Wsch.	1,3	7,2	2,6
„ pozostałe	14,6	10,5	12,6

Zestawienie to wykazuje, że najszybsze tempo uprzemysłowienia (największy przyrost nowych inwestycji w stosunku do dawniej istniejących zakładów) przypada na Ural, okręg Gorkijowski i Syberję, a zatem na tereny wchodzące w skład R.F.S.S.R., zamieszkałe przez Wielkorusów, lub też będące ich naturalnym terenem ekspansji, na którym mniejszości narodowe stanowią tylko enklawy. Udział Ukrainy w dokonanych inwestycjach jest mniejszy, niż jej rola w ogólnej wartości kapitału zakładowego w 1928 r., szczególnie zaś jest rażąca dysproporcja w tym względzie w republikach zakaukaskich. Oczywiście, że na kresach narodowościowych budowano również nowe zakłady przemysłowe, ale rola kresów w zakresie wytwórczości przemysłowej bynajmniej nie wzrosła. Względny przyrost nowych zakładów przemysłowych w okręgu leningradzkim i moskiewskim jest wprawdzie mniejszy niż przeciętny, ale w liczbach bezwzględnych jest duży, a kolosalne wkłady w uprzemysłowienie okręgu gorkijowskiego, uralskiego i zach. Syberji, będących geograficznie dalszym ciągiem okręgu moskiewskiego, są niczem innym, jak kolosalnem rozszerzeniem wielkorusyjskiego masywu przemysłowego, stanowiącemu gospodarczy i polityczny ośrodek Z.S.R.R.

Proces uprzemysłowienia pociąga za sobą ogromną migrację ludności. Budowa zakładów przemysłowych w pustynnych dotychczas miejscowościach powoduje ogromny rozrost miast kosztem napływu elementu robotniczego, a podstawowy kontyngent robotników przemysłowych dają, oczywiście, Wielkorusi. Nie mamy, niestety, danych cyfrowych skoordynowanych w czasie, ale poniższa tabelka, mimo swej niedoskonałości, wystarcza dla stwierdzenia, że uprzemysłowienie rejonów narodowościowych jest połączone z kolonizacją tych rejonów przez element wielkorusyjski:

REPUBLIKI	Liczba robotników w tys. w 1929 — 1933		1933		1931
			Liczba robotników nie należących do miejsco- wej narodowości		
			w tys.	w %	w %
Białoruska	46	112	42,5	37,8	49,1
Tatarska	24	60	38,2	63,6	73,1
Baszkirska	17	36	27,3	75,7	84,4
Kirgizka	5	12	10,1	72,8	91,3

Odsetek robotników, nie należących do miejscowej narodowości, widocznie maleje. Nie mamy cyfrowych danych o odsetku tych robotników w roku 1929 i dlatego nie możemy zrobić ścisłych wyliczeń, jednak jasne jest z tej tabeli, że dzięki równoczesnemu szybkiemu wzrostowi ogólnej liczby robotników, absolutna ilość elementu niemiejskowego, to znaczy wielkorusyjskiego, wzrasta. Wzrost ten odbywa się, oczywiście, drogą migracji, ponieważ tworzenie przemysłu w rolniczych lub hodowlanych rejonach wymaga napływu robotników przemysłowych z innych okręgów, nawet w wypadku rejonów tak gęsto zaludnionych, jak Białoruś, gdzie niema ogólnego braku rąk roboczych, lecz brakuje kwalifikowanych.

Polityka agrarna również działa w tym kierunku, gdyż kolektywizacja i rozrost sowchozów wymagają obsadzenia administracyjnych i politycznych stanowisk przez pewny politycznie element. W tym celu dokonywano mobilizacji godnych zaufania ludzi w ośrodkach przemysłowych, a więc głównie w Wielkorusji, i wysyłano ich na wieś. Kolektywizacja zaś w rejonach narodowościowych została dalej posunięta aż do Rosji Centralnej, co w praktyce oznacza większą polityczną kontrolę nad ludnością wiejską. Liczba i obszar sowchozów w okręgach narodowościowych wzrosła w okresie pięciolatki bardzo silnie: na Ukrainie z 777 tys. ha do 3029 tys. ha, na Białorusi z 47 tys. ha do 195, na Zakaukaziu z 9,5 do 138, w Uzbekistanie z 24 tys. do 205 tys. ha, i t. d. Administracja sowchozów na terenach narodowości mniej zaawansowanych kulturalnie będzie, oczywiście, w większości rosyjska.

Z cyfr tych wynika, że polityka gospodarcza Sowietów nie rozbudowuje na Kresach przemysłu w takim stopniu, by przysparzać narodowościowym rejonom brakujących gospodarczych elementów niepodległości. Gospodarcza rola nierosyjskich republik związkowych w rezultacie wykonania pierwszej pięciolatki nie wzrosła, lecz zmalała i zmalał również zakres ich gospodarczych i politycznych uprawnień w stosunku do władzy centralnej.

Plan drugiej pięciolatki idzie dalej w tym kierunku. Rola Ukrainy w produkcji węgla ma spaść z 62% w 1932 r. do 48% w 1937, w produkcji żelaza z 64 do 56%. Jest to zresztą nieunikniona konsekwencja rozwoju uralo-kuznieckiego okręgu, gdyż Ukraina niema naturalnych możliwości nadszyc za rozrostem produkcji w nowym, nieporównanie bogatszym pod względem bogactw kopalnianych, okręgu. Ale fakt, że udział Ukrainy w wytwórczości żelaza w 1937 roku ma wynosić 56%, a przemysłu metalowo-mechanicznego tylko 17% — nie można wytłumaczyć inaczej, jak świadomym dążeniem do gospodarczego uzależnienia Ukrainy od właściwej Rosji, do pozostawienia wymiany ukraińskiego surowca na wielorosyjski fabrykat, jako więzi gospodarczej. Rozwój gospodarczy Ukrainy pod rządami sowieckimi — to, w ogólnych zarysach, eksploatacja bogactw i możliwości naturalnych, których nie można gdzieindziej przenieść. Nawet w uprawie buraka cukrowego udział Ukrainy jest większy niż w produkcji gotowego cukru. Na Kaukazie obraz ten sam: rozwija się dalej przemysł surowcowy — wydobywanie ropy, manganu i innych kopalin. Z przemysłu przetwórczego powstają głównie przedsiębiorstwa pomocnicze w stosunku do głównych — surowcowych. Silnie rozwija się również elektryfikacja i rozbudowują się linie transportowe, umacniające więzi z resztą Związku.

Najdalej w rozbudowie przemysłu idą zamierzenia dotyczące republik środkowo-azjatyckich. Oprócz wydobywania surowców projektuje się budowę fabryki związków azotowych wraz z elektrownią na rzece Czirczik, montażownię samochodów, fabrykę włókienniczą, naftociąg Nieftiedag — Krasnowodsk oraz szereg połączeń kolejowych, jak Czikmient — Tankient — Mielnikowo — Szurab, Stalin — Abad — Kurgan — Tiube oraz licznych dróg gruntowych przystosowanych do transportu samochodowego. Jeżeli ten program zostanie zrealizowany, to następstwem będzie masowy napływ robotników z innych dzielnic Rosji do tego kraju, który zachował największą chyba samobytność narodową ze wszystkich części rosyjskiego imperjum, a do przewrotu bolszewickiego zachował był nawet pewne formy odrębności politycznej (Chiwa i Buchar). Nowe linie kolejowe wzmocnią więzi z resztą kraju. Azja Środkowa dzięki kolonizacji przez element rosyjski, oraz dzięki rozwojowi środków transportu i dróg w kierunku oraz wzdłuż granic Afganistanu i Chińskiego Turkiestanu wybitnie podniesie swą wartość, jako *place d'armes*

dla gospodarczego, politycznego, a w potrzebie i militarnego oddziaływania na sąsiadujące bezpośrednio i pośrednio kraje azjatyckie.

Polityka gospodarcza Z.S.R.R. jest tak skonstruowana, że, rozwijając naturalne możliwości produkcyjne narodowościowych republik związkowych, w niczem nie osłabia więzi gospodarczych z całością Związku Sowieckiego, a w szczególności z centrum. Charakterystyczne jest, na przykład, że o ile za czasów carskich rozwój komunikacji ze Środkową Azją szedł *via* morze Kaspijskie i Kaukaz, to obecnie z olbrzymim nakładem kosztów buduje się linie kolejowe naprzestrzał przez pustynny i bezwodny Kazakstan (Turkies-tan) w kierunku do Syberji oraz przez południowy Ural do Moskwy.

Uprzemysłowienie narodowościowych rejonów powoduje, jak stwierdzi-liśmy na podstawie cyfr, kolonizację tych rejonów przez element wielkoro-syjski. Element miejscowy jest również wciągany do przemysłu. Nie zawsze czyni to całkiem dobrowolnie, a w każdym bądź razie nie czyni tego sponta-nicznie. Konieczny jest werbunek, który dzięki kolektywizacji rolnictwa jest obecnie bardzo ułatwiony. Przedstawiciele różnych, mniejszych i więk-szych narodowości opuszczają więc swoje środowisko i przychodzą do miasta, do fabryki, gdzie panuje całkowicie język rosyjski. Stykają się z wyższą, nie-raz nieporównanie wyższą kulturą, której nie ulegli dotychczas często tylko dlatego, że ani ta kultura do nich ani oni do niej nie mieli dostępu. Najłat-wiej przecież zawsze opiera się wynarodowieniu chłop, nie wychylający się poza swą wieś, żyjący od wieków w tem samym środowisku i tym samym kręgu zagadnień. W mieście i fabryce otacza go raptem nowe i różnorodne życie. Ma wprowadzić szkołę we własnym języku, drukuje się dla niego książ-ki i gazety. Nacisku i przymusu w kierunku wynarodowienia niema żadne-go. Niema żadnych przeszkód do poruszania się na całym terenie Z.S.R.R., można osiągnąć wszelkie stanowiska i godności, o ile się jest odpowiednio zdolnym — no, i oczywiście zasymilowanym duchowo i językowo z najlicz-niejszym, najkulturalniejszym środowiskiem narodowościowym—wielkorosyj-skiem. Bez tego można zbierać tylko kurtuazyjne oklaski za przemówienie, którego nikt nie rozumie, ale które tak egzotycznie brzmi. W tych warunkach szkoła we własnym języku staje się, co za paradoks, pomocniczym narzędziem rusyfikacji. Szkoła ta czyni „inorodca“ zdolnym do przyjęcia rosyjskiej kul-tury, a miejskie warunki życia, nieustanny kontakt z ludźmi, mieszane mał-żeństwa, perspektywa nieograniczonego w teorji, a w praktyce dość ułatwio-nego awansu socjalnego, stwarzają dostatecznie silne bodźce do przyjęcia tej kultury. A rozwój własnej? Jest oczywiście dozwolony. Ale kultura musi „być narodowa co do formy i proletarjacka co do treści“. Lecz przecież większość małych narodów Z.S.R.R. nie miało wcale proletariatu; byli to rolnicy lub nawet koczownicy. Proletariat i proletarjacka kultura w Z.S.R.R.

to przecież płód ducha rosyjskiego, a konsekwencją tego stanu rzeczy musi być nasiąkanie rosyjską treścią „innonarodowościowych“ dzieł kultury, a szczególnie piśmiennictwa. Trudno zresztą, żeby scentralizowanie działalności wydawniczej dla wszystkich narodów Z.S.R.R. w Moskwie nie wywierało całkiem określonego wpływu na treść wydawnictw. A dodajmy, że walczyć otwarcie ze spontaniczną, choć nie przymusową rusyfikacją, jest bardzo niebezpiecznie, bo może to być łatwo uznane za nacjonalistyczne „odchylenie“. W rezultacie rusyfikacja czyni olbrzymie, niebываłe za caratu, postępy, aczkolwiek nie była ona, jak można ze wszystkiego sądzić, bezpośrednim zamiarem władców Z.S.R.R.

To, co się dzieje w zakresie spraw narodowościowych w Z.S.R.R., ma w historii tylko jeden precedens, mianowicie Stany Zjednoczone A. P., i dzieje się to w gruncie rzeczy na tem samym podłożu, na podłożu szybkiego rozwoju gospodarczego, uprzemysłowienia i urbanizacji. Tak jak w Stanach Zjednoczonych, panuje w Z.S.R.R. teoretyczna wolność pielęgnowania własnego języka i kultury i tak jak w Stanach Zjednoczonych system polityczny, społeczny, a nadewszystko szybki rozwój gospodarczy, wytwarza potężne atrakcje i bodźce, by z tej wolności nie korzystać i przyjmować język i kulturę politycznego i kulturalnego narodu hegemonu.

Rozwój kwestji narodowościowej w Z.S.R.R. nakazuje przypuszczać, że wszystkie małe narody, stanowiące wyspy w wielkorusyjskiem morzu, zostaną szybko stopione w jedną z Wielkorusami masę w wielkim tyglu industrializacji. Inaczej nieco wygląda sytuacja narodów zamieszkujących Kresy Z.S.R.R. i posiadających własną, niekiedy wysoką i starą kulturę. Rusyfikacja poczyniła duże postępy i wśród nich, zwłaszcza wśród nowokreowanych robotników przemysłowych. Reżim polityczny i administracyjny uniemożliwia jakiegokolwiek manifestacje narodowych aspiracyj. Ale siła biernego oporu narodów, zamieszkających w zwartej masie, przeciw wynarodowieniu jest bardzo wielka, a możliwość legalnego pielęgnowania własnego języka i posiadanie szkolnictwa wszystkich szczebli w zupełności wystarcza jako środek konserwowania odrębności narodowej.

EMIL BOBROWSKI

S P R A W A STANISŁAWA BRZOWOWSKIEGO

AKTA SĄDU OBYWATELSKIEGO

VI

Miesięczna przerwa w obradach Sądu była potrzebna do wykonania uchwał Sądu, zebrania dalszych dowodów pisemnych i wezwania podanych przez obronę świadków. Z powodu braku ewidencji czynności sądowych w tym okresie podaję jedynie listy obrazujące dalszy tok czynności.

W dniu 22 lutego pisze do mnie ze Lwowa przewodniczący Sądu, Dr. H. Diamand:

Kochany Towarzyszu! Zachodzi potrzeba sprawdzenia protokołów rozprawy, przed nast. rozprawą, gdyż inaczej nie da się nic stwierdzić. Wobec tego proponuję posiedzenie sądu na najbliższy czwartek o 9-tej rano w mojem mieszkaniu „pension nouvelle“ ul. Zacisze w Krakowie.

Jeżeli się zgadzacie, to: 1. zatelegrafujcie Moraczewskiemu do Stryja; 2. Buberowi do Lwowa; 3. dajcie znać na pensji, by mi zarezerwowano na środę wieczór pokój. Zarządźcie, by wszystkie protokoły były ukończone. 4. Powiadomcie resztę sędziów i protokulantów, ostatnich z wezwaniem, by bruljony przynieśli ze sobą lub wręczyli Wam.

O zamiarze zwołania sądu na czwartek powiadomiłem Bubera ustnie, a Moraczewskiego pisemnie. **J e ż e l i n i e d o s t a n ę** od Was odwołania, to uważam sąd za zwołany i przyjeżdżam we środę. Serdecznie Was pozdrawiam. (—) Herman Diamand.

Zaproszony na zebranie Sądu mąż zaufania St. Brzozowski, Dr. R. Buber, pisze do przewodniczącego Sądu:

Kochany Hermanie! Przykro mi bardzo, że wskutek naglej i nieprzewidzianej przeszkody nie mogę jechać do Krakowa. Sokal dostał zapalenia oczu, chodzi obandażowany i ani w kancelarji nic robić ani do Sądu chodzić nie może, a że jutro i pojutrze mamy rozprawy większe, których nikomu odstąpić nie możemy — przeto proszę Cię

usprawiedliwić moją nieobecność przy weryfikacji protokołów. Może będziesz łaskaw protokół przywieźć ze sobą, a ja po przeczytaniu przedstawię Ci ewentualne uwagi, lub też uczynię to, skoro będę w Krakowie. Po zachorowaniu Sokala telegrafowałem Moraczewskiemu i prosiłem go aby pojechał, ale odpowiedział mi, że nie może.

Jeszcze raz Cię przepraszam za ten mimowolny zawód i serdecznie pozdrawiam. (—) Rafał.

Posyłałem z tym listem do Ciebie do domu i tam dowiedziałem się, żeś już o 2-giej wyjechał. Sługa (—) Rafał.

W dniu 27.2 pisze do mnie Dr. Diamand:

Szanowny Towarzyszu! Protokoły w sprawie Brzozowskiego wręczyłem Kwiatkowi — z tem, że jeszcze wczoraj miał je Wam wręczyć. Protokoły nie są jednak zakończone, protokółu z mową Brzozowskiego brak spory kawał, odnośny tow. (Brześcik?) ¹⁾ przyrzekł, że wręczy Wam brakującą część, ale i protokół drugiego czy trzeciego dnia, zdaje się, nie jest zupełny. Potrzebny jest dokładny rejestr wszystkich papierów odnoszących się do sprawy.

Następnie trzeba by sporządzić tłumaczenia względnie odpisy odczytanych na rozprawie pism. Nie gniewajcie się o to, że tak Wami dysponuję, ale nie mam innej drogi. Gdyby notatki Bakajowskie nadeszły jutro lub pojutrze, zwołalibyśmy wkrótce sąd i sprawę zakończyli. Coraz bardziej ustala się we mnie przekonanie, że bardziej sprawy nie wyjaśnimy, niż dotychczas. Czy dacie sporządzić maszynowe odpisy protokołów dla Bubera? W takim razie kilka egzemplarzy, i to po jednej tylko stronie papieru pisanego, w takim odpisie dobrze by pomieścić pisma na rozprawie odczytane (z pominięciem pism dowodowych, przedłożonych przez Bubera: „finanse“, „chronologja“ i, zdaje się, jeszcze trzecie).

Przypominam Wam, że macie napisać z zapytaniem do 1) Gustawa Daniłowskiego (Zakopane), jak zachowywał się Bakaj w r. 1906 w Ochranie; 2) Bernarda Szarlita (Wiedeń II, Struwerstr. 15), co mu wiadomem jest o tem, że Brzozowskiego nazywano Goldbergiem.

Pozdrawiam Was serdecznie (—) Herman Diamand.

W dniu 2.3 otrzymałem list (bez daty) od Dra Diamanda:

Szanowny Towarzyszu! Tow. Kon donosi mi, że Burcew przysłał już dokumenty w sprawie Brzozowskiego, na ręce Daszyńskiego. Celem zbadania tych dokumentów, proszę Was o zwołanie posiedzenia sądu na środę 3 b. m. o godz. 4-tej popoł. do lokalu kasy chorych. Dr. Buber, którego powiadomiłem, przyjedzie dopiero o 10-tej w nocy.

Trzeba będzie okazać mu dokumenta osobno, wraz z protokołem naszych oględzin. O ile byście, za zgodą reszty sędziów, zwołali sąd na 10 w nocy — to ja w zupełności się zgadzam. Dobrze by było, gdybyśmy mogli sprawdzić i resztę protokołów. Posiedzenie sądu zwołuję tak szybko, ze względu, że 1) we czwartek mam być w Wiedniu; 2) że Perl wyjeżdża na dwa tygodnie; 3) że Burcewowi należy jaknajprędzej dok. zwrócić.

Moraczewskiego zawiadomię, Buber powiadomiony. Serdecznie Was pozdrawiam (—) Diamand.

Adresy sędziów: Dr. Feliks Perl — Lubomirskiego 5, Feliks Kon — Tarłowska 11, Stanisław Żmigrodzki — Karmelicka 38, sekretarz Józef Kwiatek — Łobzowska 31.

¹⁾ Zapewne Baścik.

W dniu 4.3 pisze Dr. Diamand:

Drogi Towarzyszu! Odbylem z Buberem konferencję. Żąda następujących rzeczy: 1) By, o ile przed rozprawą odeszłecie książeczki Bakaja, w całości je odpisano; 2) By go zawiadomiono, kiedy odbędą się wywiady w Zakopanem, gdyż chce być obecnym; 3) By rozprawa odbyła się najwcześniej 20 b. m., a nie 13, gdyż do tego czasu nie może się przygotować, nie mając odpisów protokołów. Powołuje się na to, żeśmy przyrzekli po przysłaniu odpisów protokołów dać mu 14 dni czasu.

Proszę Was, porozumcie się z obecnymi w Krakowie sędziami i zadecydujcie stanowczo co do terminu rozprawy. O wyniku napiszcie mi do Wiednia. Serdecznie Was pozdrawiam. (—) Diamand.

W dniu 7.3 pisze członek Sądu St. Żmigrodzki:

Kochani! Nie mogąc nigdzie Was spotkać, donoszę Wam, co było treścią rozmowy mojej z Perlem przed jego wyjazdem do Lwowa, wobec oświadczenia Bubera, że potrzebuje 2 tyg. czasu po otrzymaniu protokołów rozprawy. Oto: aby uniknąć dalszej ewentualnej odwołki, zdaniem mojem i Perla, do czego zapewne przychylicie się i Wy, oraz reszta sędziów — jest, iż przy wręczaniu protokołów mężom zaufania Brzozowskiego należy zwrócić piśmienną uwagę, że dalszych odraczań sprawy nie będzie, powinni oni zatem na 20 b. m. **zgrupować wszystkie potrzebne im dowody oraz sprosić tych świadków, których jeszcze powoływać zechcą**, a to z wyraźnem zastrzeżeniem, iż późniejszych wniosków zmierzających do odwołki sąd nie uwzględni.

Może zechcecie przeto zatelefonować mi, czy zamierzacie przychylić się do tego, zawiadamiając o tem Bubera. Uścisk dłoni (—) St. Żmigrodzki.

W dniu 11.3 pisze z Wiednia Dr. Diamand:

Szan. Tow. Na odpisanie książeczek **dla użytku sądu** zgadzam się, o ile nie można do rozprawy oryginałów zatrzymać na cały czas. Wręczania odpisu obronie potrzeby niema i bez zgody właściciela uskutecznione być nie może.

Szałit został w Krakowie; sekretarzem naszym od początku roku nie jest. Dziwi mnie bardzo, żeście mu dawali skrypta. Liczę, że skoro sąd zwołany na 20 b. m., to będzie tego dnia rozprawa, w Kasie lub gdzieindziej. Świadkom kosztów zwracać obowiązku nie mamy — mają taki sam obowiązek obywatelski, jak i my. Połoniecki nie przyjąłby. Pragnąłbym dostać do Wiednia odpisy protokołów; jeżeli gotowe, przyslijcie łaskawie do parlamentu. Uścisk dłoni (—) Herman Diamand.

PROTOKUŁ POUFNEGO POSIEDZENIA SĄDU

z dnia 20 marca 1909 r.

Wiceprzewodniczący Sądu odczytuje telegram tow. Diamanda, że na posiedzenie dzisiejsze stawić się nie może ²⁾. Wobec tego jeden z sędziów proponuje, aby posiedzenie publiczne odbyć mimo to dzisiaj, odczytać na niem otrzymane listy i dokumenty, oraz przesłuchać kilku świadków — z tem zastrzeżeniem, że jeżeli tow. Diamand zechce powrócić do rozpatrzenia której-

²⁾ Telegram z Wiednia: „Komme morgen Frühzug heute unmöglich, entschuldigen. Diamand.“

kolwiek kwestji lub całości obrad, to procedura odbędzie się nanowo — częściowo, ewentualnie w całości.

Zanim jeszcze wiceprzewodniczący poddał ten wniosek pod dyskusję sędziów, mąż zaufania p. Brzozowskiego oświadczył, że widzi w tym wniosku pogwałcenie najelementarniejszych zasad sprawiedliwości, albowiem sędziowie w dzisiejszym składzie — to 4 osoby prywatne, i gdyby wniosek był przyjęty, to wraz z p. Brzozowskim opuściłby salę. Wobec tego oświadczenia sąd uznał, że rozprawa publiczna w nieobecności p. Brzozowskiego jest niemożliwa. Ocenę postępków męża zaufania p. Brzozowskiego i rozpatrzenie środków zapobiegających na przyszłość stawianiu sądu w przymusowym położeniu sąd odkłada do czasu przyjazdu przewodniczącego. Na tem odroczone rozprawę do dnia następnego (niedziela, 21 marca, godz. 3 pp.).

Znajdujący się w aktach protokół z tego posiedzenia, pisany przez J. Kwiatka, nie ma podpisów członków Sądu.

PROTOKUŁ POUFNEGO POSIEDZENIA SĄDU

z dnia 21 marca 1909 r.

Przesłuchanie świadków.

Świadek Felicja Goldbergowa: W 1904 r. w kwietniu 6 tygodni po mojem aresztowaniu był uwięziony także mój mąż. Siedzieliśmy mniej więcej jednakowo długo, bo mnie wypuszczono o jakie 6 tygodni wcześniej od niego. Aresztowanie męża mego traktowano najzwyczajniej jako następstwo mego. Na krótko przed aresztowaniem (około 10 dni), ponieważ nie wolno mu było wtedy jeszcze legalnie mieszkać w Warszawie, wynajął sobie drugie mieszkanie, gdzie mieszkał pod przybranem nazwiskiem. Rewizja zresztą była w obu mieszkaniach. Pomimo że on po wzięciu wspominał tylko o jednym mieszkaniu (o rewizji w drugim początkowo nie wiedział), opowiadano mu w ochranie szczegóły jego życia od 1903 r., co świadczyło, że go przez cały czas śledzono. W samej jednak rzeczy nic o jego konspiracyjnych pracach w ochranie nie wiedzieli. Sprawę umorzono naskutek manifestu konstytucyjnego i amnestji. Czy znał Brzozowskiego wtedy, nie pamiętam; możliwe, że się poznali w redakcji *Głosu*. Jeden artykuł Brzozowskiego, który Goldberg dostał od redakcji do przejrzenia, bo miał z nim polemizować — wpadł przy rewizji w ręce żandarmów. **B r z o z o w s k i** tu wyjaśnia, że był to artykuł o monizmie filozoficznym. Goldberga nie znał.

Ś w. G o l d b e r g o w a: O tym artykule, który później Dawidowa chciała od żandarmów wydostać, dowiedziałam się po wypuszczeniu męża. Z Brzozowskim poznałam się później, letnią porą 1904 r.; prosiłam Brzozowskiego o jego mieszkanie dla celów konspiracyjnych. Wtedy zauważyłam, że mieszkanie jego było prawie puste. W Sylwestra spędziłam z nim

cały wieczór u Dawidów. Później nawet starałam się o pieniądze dla Brzozowskiego, bo był w ciężkich warunkach materialnych, ale tych pieniędzy już nie zdążyłam doręczyć, bo już był wyjechał.

N a p y t a n i a odpowiada świadek: W r. 1905 byłam znowu aresztowana. To, co kolportowano (skutkiem informacji Bakaja) o stosunku Brzozowskiego do Goldberga, było dla mnie niespodzianką. O mężu, prócz dawnej afery, nie podejrzanego nigdy nie słyszałam. J e d e n z s ę d z i ó w pyta o „wizytę“ u żandarma, o której świadek miała opowiadać u Brzozowskich. Ś w. G o l d b e r g o w a: To nie była „wizyta“. Wezwano nas dla oznajmienia, że sprawa oddana prokuratorowi. O artykuł Brzozowskiego męża na badaniu nie pytano. Głównie szło o mnie.

W Sylwestra nie zwróciłam specjalnej uwagi na stan zdrowia Brzozowskiego. W styczniu nie bywałam u Brzozowskiego, ale w grudniu — owszem — byłam ze dwa razy. Czy mąż bywał częściej? może. Brzozowski, chociaż był chory, ale pracował. O uniwersytet ludowy nie przypominam sobie, czy pytano na śledztwie męża. O zamiarze legalizacji uniwersytetu nigdy nie słyszałam. Tak byliśmy pochłonięci życiem partyjnym, że nawet dziwiłam się, iż mąż brał udział w instytucji czysto kulturalnej.

Mieszkanie Brzozowskiego, kiedy byłam tam na ul. Natolińskiej, było zupełnie puste. Na ulicy nigdy nie pokazywałam się z Brzozowskim, tylko w Sylwestra wracałam z nim pieszo. Dlaczego mieszano nazwisko Brzozowskiego i Goldberga — zupełnie nie rozumiem. Sałamatow (żandarm) badał mnie i męża. Czy Bakaj go badał, nie wiem.

W tem miejscu S ą d o d c z y t u j e wyjątek z listu Bakaja ³⁾ o tem, że znał Goldberga, którego wydał Brzozowski, że badał Goldberga i że o tem wie Felicja Lwowna Goldberg. Ś w. G o l d b e r g o w a: Nie rozumiem, dlaczego Bakaj twierdzi, że ja go znałam. W naszym mieszkaniu zebrań nie bywało. Brzozowski u nas nie bywał. Z osobami konspiracyjnymi Brzozowskiego nie zaznajamiano, ale w Falenicy na odczytach Brzozowski poznał kilku bliżej partji stojących. W Zakopanem żadnych znajomych nie mam, podobnego do Brzozowskiego nie znam; pokazywano mi wprawdzie kogoś, ale to inna twarz. Goldberg umarł w 1905 r.

B r z o z o w s k i pyta, czy świadek nie wie, czy mąż jej znał Brzozowskiego w r. 1903. Ś w. G o l d b e r g o w a: Nie wiem.

B r z o z o w s k i: Czy nie przypomina pani sobie rozmowy na ul. Włodzimierskiej o uniwersytecie ludowym? G o l d b e r g o w a: Nie przypominam sobie wcale.

B r z o z o w s k i: Czy przypomina pani sobie, żem zaszedł do państwa w sprawie polemiki *Ogniwa z Głosem*? G o l d b e r g o w a: Nie.

³⁾ List Bakaja w całości będzie podany w następnym protokole.

W styczniu po nietaktownym postępku Niemojewskiego były jakieś stosunki, ale mało sobie je przypominam, choć pamiętam, że córeczka bywała u Brzozowskich. Mąż pisywał w *Głosie* jako Aleksandrowicz. Brzozowski wyjaśnia, że opowiadając, iż Goldbergowie byli u Sałamatowa — nie miał na myśli „wizyty“.

Na pytania obrony — Goldbergowa: Mąż przebywał w Warszawie nielegalnie, ale wynajawszy mieszkanie, wkrótce został aresztowany. Właściwie ryzykował, bo mu nie wolno było być w Warszawie. Początku znajomości męża z Brzozowskim ustalić nie mogę. Brzozowski o konspiracyjnym spotkaniu mojem z towarzyszem z Bundu w jego mieszkaniu wiedział w przeddzień. Żadnej przykrości z tego powodu nie było. Tak samo żadnych przykrości policyjnych nie mieli i ci, których Brzozowski poznał później w Falenicy. Jakiegoś Fuszasa, którego Brzozowski brał wtedy za Bundowca, nie przypominam sobie. Mąż był przygodnym korespondentem *Poslednich Izwiestij*. Mąż obawiał się, że go będą pytali o list, znaleziony przy rewizji, a który już wtedy był wydrukowany w *Poslednich Izwiestjach*. Przypuszczam, że mąż nie mógł opowiadać, że jest korespondentem *Poslednich Izwiestij*. Dużo osób wiedziało, że mąż należał do Bundu. Że był korespondentem, o tem mało kto wiedział.

Świadek Szweber: Przez 1½ roku w Krakowie (jeden miesiąc), później w Zakopanem znałem pewnego jegomościa, który się podawał za członka różnych partyj, a który wkońcu obudził moją podejrzliwość. Poznałem go w grudniu 1907 r. Ja byłem współpracownikiem *Socjaldemokraty* (żargonowego). W Spójni przedstawił się mnie i dwom literatom żargonowym. Prosił, żeby zejść do niego. Byliśmy u niego ze dwa razy, zastając za każdym razem wielu emigrantów z różnych partyj. Rozmawiano tam o życiu partyjnym, o sprawach konspiracyjnych. Urządzał często dość sute kolacyjki (na 10 — 15 osób). Wkręcił się na Podgórzu do socjalistycznego koła „Szkoły ludowej“, zdefraudował pieniądze. Później wyjechał do Zakopanego, mówił, że żona jego niespodzianie dostała pieniądze. Nazywa się Jan Rabinowicz i jako taki mieszkał w Krakowie.

W Zakopanem, dokąd i ja pojechałem, zaciągnął do siebie, lokował gwałtem przez kilka dni. Dopiero później rozłączyłem się z nim. Niespodzianie przyjechał jego ojciec — starszy już człowiek. Pytał, skąd syn ma tyle pieniędzy (dostawał bowiem pocztą 100 rs. miesięcznie). Innym syn podawał się za korespondenta polskich i rosyjskich pism. Ojcu mówił, że pracuje w *Naprzodzie*. Dostawał co miesiąc około 18-ego całe 100 rubli od razu. Tłumaczył to w ten sposób, że wraz z Biberem założył w Warszawie biuro wyciników dla gazet. Tymczasem jego wycinki, które istotnie robi, są właściwie z polskich gazet i dotyczą życia rewolucjonistów. Nigdy nie

chciał pozwolić, by ktoś zamiast niego listy z wycinkami wyekspedjował. Pieniądze odbierał poste - restante za okazaniem legitymacji. Z końcem lutego 1908 r. zerwałem z nim. W maju byłem w Krakowie i dostałem „Czarną listę“. Wtedy Rabinowicz przyszedł do nas w Zakopanem i zapytał o czarną listę — „podobno tam jest Brzozowski“. — Tak. Złapał się za głowę: „Jeżeli tam jest Brzozowski, to i ja tam muszę być“.

P r z e w o d n i c z ą c y zapytuje, jak świadek sobie tłumaczy ten postępek? **Ś w i a d e k S z w e b e r:** „Odruchem“. Mówi dalej: Towarzyszka moja zapytała go: dlaczego myślicie, że musicie tam być. Tu Rabinowicz zaczął opowiadać o rozmaitych osobliwych momentach ze swojej „działalności“ partyjnej, jak raz wyspało się zebranie, na które się spóźnił, drugi raz wyspało się zebranie, z którego był właśnie wyszedł na chwilę i t. d. Mogłyby więc powstać podejrzenia. Rabinowicz wogóle opowiadał dużo o swojej „działalności“. Mówił o uniwersytecie ludowym (między innymi o Lewandowskim), o swoich odczytach i t. d. Rysopis: średniego wzrostu, podobny do Żyda, włosy czarne, broda ryżowo-czarna, nosi binokle, robi wrażenie inteligenta. Przyjechał do Krakowa w czerwcu 1907, rzekomo z Warszawy. Był między emigrantami Sierzputowski (wysoki blondyn), o którym Rabinowicz opowiadał, że to jego bliski przyjaciel. Sierzputowski później wyjechał i na granicy wpadł. Z twierdzy Brzesko-litewskiej pisał do Rabinowicza. Dla zbadania go puściłem pogłoskę, że w Galicji będzie zjazd „Bundu“. Wtedy Rabinowicz przyszedł do mojej towarzyszkii pytać, jak to będzie z tym zjazdem; prosił, żeby go dopuścić. Jako dziennikarz mógłby na tem zarobić. Natomiast obiecuje przeprowadzić dużo ludzi przez granicę, bo ma stosunki. Nalegał i nawet pojechał po bliższe informacje do Krakowa, do redakcji *Socjal-demokraty*, ale tu dowiedział się, że żadnego zjazdu nie będzie, że go biorą na kawał.

J e d e n z s ę d z i ó w zapytuje o słowa Rabinowicza: „I ja tam (na czarnej liście) muszę być“. **Ś w i a d e k S z w e b e r:** Listę zaczęli odczytywać; gdy się doszło do nazwiska Brzozowskiego, powiedział właśnie owe słowa. A później: „A czy няма takich a takich (tu wymienił kilka nazwisk, których nie pamiętam), bo w takim razie i ja tam muszę być“. Tamtych nazwisk na liście nie znaleziono. Później był skonsternowany. W lecie próbowałem się dowiedzieć, czy go nie znają z Warszawy. Dopiero teraz jeden esdek zakomunikował wiadomość, pochodzącą z lewicy P. P. S. Ten esdek pytał, czy w Zakopanem nie podejrzewa się kogoś. Tu odczytuje kopję kartki, otrzymanej przez lewicę. Nazwisko w ochranie: Goldberg. Rysopis podobny. Podawał jako urządzających zjazd S. D. Żuławskiego, Bobrowskiego, Waligóre, Posnera, Garfeina, Rothaupta i Rubinsteina. Wiadomość ta przysłała 6 miesięcy temu.

Treść dosłowna kartki: „Donosi o nich (S. D.) ochronie z Krakowa i Zak.; nazwisko: Goldberg; wzrost: mniej w. średni; wasy: małe. Bródka niewielka, u dołu czarna, wyżej rudawa, binokle, melonik, peleryna, lat około 30, charakter draśtyczny, chód niemiecki, mocno stawia nogi, uczący się i piszący do gazet, dobrze zna niemieckie, Żyd, podawał jako urządzających zjazd: Rubinstein (ksiądz), Rothaub, Garfein, Posner, Waligóra, Bobrowski, Żuławski”.

— Dlaczego to się wiąże ze sprawą Brzozowskiego?

— Bo i jego podają, jako figurującego w ochronie pod nazwą Goldberga. Między Rabinowiczem a Brzozowskim istnieje zresztą niejaki nawet fizyczne podobieństwo.

Świadek P P S - o w i e c K.: Notatka o podejrzanym (szpiclu) otrzymana była z Warszawy od jednego towarzysza bez wskazania źródła. Ponieważ nazwiska (rzekomo urządzających zjazd S. D.) były tak dziwacznie pomieszane, nie przywiązywałem do tej informacji wielkiej wagi. List ów otrzymałem kilka miesięcy temu. Pismo było zaszyfrowane, ale nie mając pod ręką klucza, nie mogłem zaraz go odcyfrować. Po skutecznieniu tego jednak, doręczyłem tekst przedstawicielowi S. D., który przyjął to z lekceważeniem. Doręczyłem S. D-kom, bo ów towarzysz (K....) pisał: ostrzeżenie esdeków. Obecnie twierdzę, że sprawa w S. D. jest w toku i że mają podejrzenie na R. Wiadomość była przysłana z wolności. Możliwe, że źródłem jej jest ochrona — ale to nie jest pewne.

Świadek S a r a: Rabinowicza poznałam w Krakowie, widywałam go 4 — 5 razy tygodniowo, wydawał mi się podejrzanym i dlatego właśnie starałam się z nim poznać. Nie zarabiał podobno pieniędzy, a jednak częstował emigrantów stale. Tłumaczył, że otrzymuje 100 rs. z Warszawy z biura prasowego. Mówił, że był w P. P. S., ale także że był w „Bundzie”. Gdym przyjechała do Zakopanego, nieproszony oczekiwał mnie z powozem i zawiózł mnie do siebie. Mieszkałam u niego ze 3 tygodnie. Wtedy bywało u niego mało ludzi. Otrzymywał rozmaite listy zwykłe, którymi się bynajmniej nie krępował, ale za to starannie ukrywał się z listami poste-restante. Dostawał regularnie 100 rs. na miesiąc, a praca jego nie przekraczała 4 godzin na tydzień. Gdy przywieziono z Krakowa „Czarną listę”, przyszedł do mnie Rabinowicz i zapytał, kto jest na liście, czy Brzozowski jest tam. Odpowiedziano mu: tak. „To i ja, — powiedział Rabinowicz, — mogę tam być”. Kiedy go zapytałam, dlaczego tak sądzi — opowiedział następujące wydarzenie. Raz, gdy poszedł na jakieś zebranie, to jeszcze przed jego przybyciem obecnych na zebraniu aresztowano; drugi raz opuścił był na chwilę jakieś zebranie partyjne i wtedy właśnie nastąpiło aresztowanie. Rabinowicz wogóle był bardzo zdenerwowany po ogłoszeniu „Czarnej listy”.

N a p y t a n i a odpowiada świadek: O Brzozowskim rozmawia-

łam z Rabinowiczem przed listą. Rabinowicz mówił, że to jego dobry znajomy. 100 rs. odbierał zawsze regularnie na poczcie — 18, 19 lub 20 każdego miesiąca (inne pieniądze otrzymuje się w domu, ale te pieniądze Rabinowicz zawsze odbierał na poczcie). Sierzputowski siedział w Brześciu Litewskim. Sierzputowski jechał z Krakowa do Warszawy — powiedziała o tem Róża Blecheisen.

Ś w i a d e k a d w o k a t Ś m i a r o w s k i: W r. 1906 w listopadzie w sądzie wojennym w Warszawie odbywała się sprawa Ferenchowicza i towarzyszy. Były to niedobitki wielkiej organizacji bojowej, której główni działacze byli uprowadzeni z Pawiaka. Cały materiał dowodowy był oparty na zeznaniach, złożonych przez podsądnych pod najokropniejszemi torturami, kierowanemi przez Grüna. Skutkiem tych katowań (które świadek opisuje) pierwszy przyznał się Dobrowolski, później inni, do całego szeregu czynów terrorystycznych (eksproprijacje, rzucanie bomb, terror ekonomiczny). Materiału dowodowego — prócz wymuszonego przyznania się — nie było żadnego. Głównym świadkiem był Grün. Po torturach przewieziono ich do Ochrany. Ponieważ władze obawiały się, że śledztwo Grüna nie będzie mogło być poważnym materiałem, więc przebadano ich w Ochranie (gdzie badania prowadził Bakaj - Michajłowski). Na sądzie stanęli obaj świadkowie: Grün i Bakaj. Z początku sąd miał zamiar nie dopuścić do wykrycia faktu torturowania; ale to się nie udało. Niewątpliwie, opowieści oskarżonych były prawdziwe. Pomimo to sąd zwrócił się do Grüna z przyjacielskim stwierdzeniem, iż naturalnie nikt nie był bity. Bakaj zaczął od pytania, czy ma mówić tylko o tej sprawie, czy też wolno mu dać zarys ruchu rewolucyjnego w Polsce. Mówił od 20 minut do 3 kwadransów o historii polskiego socjalizmu (o dawnym „Proletariacie“, o P. P. S., o czasach zastoju i rozkwitu ruchu). Później: podsądni złożyli mi swoje zeznania zupełnie dobrowolnie. Czy ich w wydziale śledczym bito, nie wiem. W ochranie ich nie bito (co pewno jest prawdą). Zeznania złożyli mi w „rozmowie przyjacielskiej“, gdy im wyłożył, że w ten sposób ulżą sobie los. Kiedy obrona go zapytała, jak on sobie tłumaczy, że podsądni tak ufali czynownikowi ochrany — odpowiedział: „przypisuję to memu moralnemu na nich oddziaływaniu“ (po rosyjsku użyty wyraz „moralny“, który jest silniejszy od urawstwiennyj). Potem sam, niepytany o to przez sąd (advokat Landy sądzi, iż było inaczej), powiedział dosłownie: „podsądni robią na mnie wrażenie skończonych łotrów, którzy gotowi są pić krew rodzonych ojców“. Na to wszyscy obrońcy gwałtownie zerwali się z miejsc i gorąco zaprotestowali przeciwko ocenie ze strony świadka charakteru podsądnych. Prezes sądu wojennego Miłkow nie zgodził się, naturalnie, ze stanowiskiem obrony. Czy Bakaj mógł inaczej zeznawać? Mógł, nie podważając bynaj-

mniej swego stanowiska w ochranie, świadczyć we wielu rozmaitych formach — ale inaczej.

N a p y t a n i a odpowiada świadek: Podsądni nie mogli przed Bakajem zmienić swoich zeznań, bo im grożono ponownie torturami; były już precedensa, że z pod kompetencji sędziego śledczego zwracano znowu więźniów do ochrony, względnie do wydziału śledczego. Z Bakajem zetknął się świadek jedyny raz. Zasadniczo, w istocie swej zeznania Bakaja były od początku do końca kłamliwe, gdyż twierdził, że zeznania podsądnych były dobrowolnie złożone. Świadek nie przypomina sobie, czy Dobrowolski dał zeznania kompromitujące własnego jego brata. Był to suchotnik, szczupły, wycieńczony i gdyby nawet tak było, to w każdym razie nie zmieniło to stosunku do niego towarzyszy i obrońców. Charakterystyka „skończone łotry“ odnosiła się do *wszystkich podsądnych*.

I m i e n i e m P. świadek składa następujące oświadczenie:

Kiedy świadek w sprawie Brzozowskiego rozmawiał z P. i wskazał, że w sprawie tej wszystko opiera się na wierze w Bakaja — to P. powiedział: A przecież ja wiem o Bakaju *taką rzecz*. — Jaką rzecz? — To, że Bakaj referował sprawę anarchistów - komunistów i on właśnie się przyczynił do wyniku sprawy. P. wie o tem od M., który wtedy chciał nadać sprawie normalny przebieg. Kiedy ta rozmowa P. z M. się odbywała, świadek nie może powiedzieć; w każdym razie już po metamorfozie Bakaja. Czy po procesie Borowskiej — nie wie; P. to mówił po procesie. P. jeszcze mówił, że obrona zwróciła się do niego po materiał dotyczący Bakaja. Dawniej to byłoby możliwe, obecnie — już za późno. O tem, jakoby Bakaj torturował, P. nie mówił.

Na tem poufne posiedzenie zamknięto.

N a p o s i e d z e n i u t a j n e m s a m y c h c z ł o n k ó w S ą d u powziął Sąd — w związku z udaremnieniem przez męża zaufania p. Brzozowskiego posiedzenia Sądu w dniu 20.3 — następującą uchwałę: „W związku z odroczeniem wczorajszego posiedzenia sędziowie w poczuciu swych dążeń do rzeczowego i bezstronnego załatwienia sprawy odpierają uwagi kwestjonujące dobrą wolę sędziów, czynione wczoraj przez Dra Buberę; jedynie z uwagi na doniosłość sprawy, sędziowie nie wyciągają z wczorajszego zajścia konsekwencji. Sąd jest zdania, iż szybkie załatwienie sprawy należy do obowiązków Sądu — tak w interesie publicznym jak i p. Brzozowskiego, dlatego uważa, że załatwienie czynności przygotowawczych i śledczych za zgodą stron jest w danych warunkach w składzie niekompletnym wskazane“.

Protokół pisany przez J. Kwiatka nie ma podpisów członków Sądu, jakkolwiek w tekście widoczne są poprawki, dokonane przez przewodniczącego Sądu i przezemnie.

PROTOKUŁ JAWNEGO POSIEDZENIA SĄDU

z d n i a 21.III.1909 r.

Przewodniczący otwiera posiedzenie i odczytuje uchwałę, powziętą na tajnem posiedzeniu. Gdy mąż zaufania p. Brzozowski, Dr. Buber, zabiera głos w tej sprawie — przewodniczący przerywa mu, oświadczając, że nie dopuści polemiki z Sądem. Pomimo to drugi mąż zaufania, poseł Moraczewski, prosi o zaprotokółowanie, że „uchwała Sądu z dnia 20.III była regowaniem na prawo obrony do protestu przeciwko obradowaniu Sądu w niecałym komplecie“⁴⁾.

Przewodniczący jeszcze raz prosi publiczność o nierozpowszechnianie wiadomości o przebiegu rozprawy sądowej. Dowodem, że rozsiewa się wieści często kłamliwe, jest otrzymany przez Sąd list C. K. Bundu, oparty na fałszywych pogłoskach, a prostujący fakty ubliżające pamięci Goldberga, które rzekomo omawiane były na sądzie. Nikt podczas rozprawy podobnych faktów nie podnosił. Następnie Sąd przystępuje do odczytywania listów i dokumentów.

Odczytane były:

1) L i s t B a k a j a d o B u r c e w a, przesłany tow. Daszyńskiemu i Kwiatkowi przez Burcewa w liście z dnia 23.II.1909.

Wielce Szanowny Włodzimierzu Lwowiczu! Dowiedziawszy się od Pana osobiście, że po moim wyjeździe p. Brzozowski w obronie swojej wygłosił mowę, w której powiedział, że ja się mylę i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa biorę go za Stanisława Goldberga, to jest wyraził on podejrzenia co do osoby zmarłego Goldberga. Postępiem p. Brzozowskiego jestem głęboko oburzony i spieszę listownie jeszcze raz oświadczyć, że tajnym współpracownikiem w Warszawskiej Ochronie był właśnie t e n B r z o z o w s k i, n a d k t ó r y m o d b y w a s i ę s ą d. Nie mogłem go z nikim pomieszać i odrzucam zupełnie tę myśl.

Stanisława Goldberga przed jego aresztowaniem znałem z fotografii; śledzono go na podstawie wskazówek Stanisława Brzozowskiego i miał on przydomek u „filorów“ T i o m n y j z powodu czarnej barwy włosów. Po aresztowaniu badałem Goldberga dwa razy, znam go dobrze z twarzy i stanowczo oświadczam, że on nigdy agentem ochrony nie był. Ze badałem Goldberga i żeśmy się wzajemnie znali, to może potwierdzić jego żona, dentystka Felicja Lwowna Goldberg, z domu Barbanel, która również mnie osobiście знаła.

Z głębokiem poważaniem (—) Michał Bakaj. 22—II—909, Paryż.

⁴⁾ Deklaracja Moraczewskiego, złożona ustnie i spisana na kartce, brzmiała: „Zważywszy, że obronie przysługuje niewątpliwie prawo zaprotestowania przeciw obradom sądu, nie będącego w komplecie — protestuję przeciw udzieleniu Dr. Buberowi nagany, choćby nawet w bardzo oględnej formie, za zrobienie użytku z tego prawa obrony“.

2) List Burcewa do Daszyńskiego i Kwiatka.

Paryż, 23 luty. Wielce Szanowni Towarzysze!

Od kogoś z Was otrzymałem w tej chwili depeszę, że Haecker zasądzony. Czy możliwe? Co za absurd! Czyżby ludzkie namiętności tak się rozpełtały, że oskarżyciele nie chcieli uznać oczywistości?... To straszne... Oczekuję szczegółów — być może z gazet i listów Waszych zrozumieć, jak mógł się dokonać taki absurd...

Drugą, czy raczej pierwszą depeszę Waszą o notatnikach Bakaja niezupełnie zrozumiałem i dlatego postanowiłem przesłać Wam te notatki, byście je sami przejrzeni. Daję je Wam obu — Daszyńskiemu i Kwiatkowi — dla przejrzenia, a Wy możecie pokazać je tym, komu uznacie za potrzebne. Nie przywiozłem ich ze sobą poczęści dlatego, żem zapomniał, poczęści dlatego, że nie przypuszczałem, iż mają jakieś znaczenie, skoro do Krakowa mógł przyjechać Bakaj osobiście. Zobaczycie, czy się Wam przydadzą. Wszystkich notatników Bakaja jest 5, los ich jest taki: Bakaja aresztowano 1-go kwietnia 1907 r.; jego notatniki zostały w jego rzeczach. W grudniu 1907 r. Bakaj po ucieczce z Syberji przyjechał do Finlandji, do mnie, i ja — wedle jego wskazówek — posłałem po rzeczy jego do Petersburga i w ciągu dwóch dni otrzymałem je. Wśród tych rzeczy znajdowało się i 5 notatników, które dziś Wam przesyłam. Od tego czasu rozporządzam notatnikami Bakaja. Jeszcze przy pierwszym przeglądzie ich, w grudniu 1907 r., spostrzegłem w nich nazwisko Borowskiej i Brzozowskiego.

Adres Borowskiej zanotowany tak: Janina Borowska⁵⁾ (Nina Jankiewicz⁵⁾, Szpital św. Sacarza⁶⁾. Nazwisko Brzozowskiego zanotowane tak: Brzozowski, literat⁵⁾. Słowa te pomieszczone są w notatniku adresowym pod literą B obok adresu Baranowa (Iw. Wł.), który służył w Ochranie. Jeden z notatników poświęcony jest specjalnie adresom i nazwiskom bundowców. Drugi wyłącznie (lub prawie wyłącznie) nazwiskom osób, które były w związku z Ochraną. Tu znajduje się nazwisko Brzozowskiego, ale w notatniku tym zapisane były — widocznie — nie wszystkie nazwiska służących w Ochranie, lecz te, które z tego czy innego powodu zwróciły na siebie uwagę Bakaja.

Rozchody, pomieszczone w notatnikach, dotyczą odpłacania prowokatorów, ale są to wydatki, które Bakaj robił z pieniędzy, jakie miał w rękach na drobne, bieżące wydatki. Przesłane Wam notatniki przechowałem w tej samej postaci, w jakiej otrzymałem je od Bakaja w grudniu 1907 r. i żadnych uzupełnień ani dopisków on nie mógł w nich zrobić. Nazwisko Goldberga dotyczy pewnego drobnego szpicla. Szyfr, zanotowany przez Bakaja, jest własnością Bundu i wzięty jest przez niego (Bakaja) z papierów Dep. Policji.

Wczoraj spotkałem się z przedstawicielem Bundu i powiedziałem mu, że Brzozowski po wyjeździe Bakaja wyraził przypuszczenie, iż Bakaj pomieszał go z Goldbergiem, który mógł zjawić się w Ochranie pod nazwiskiem Brzozowskiego (ja, zdaje się, dokładnie powtórzyłem słowa Brzozowskiego — tak jak mi je zakomunikowano). Na to przedstawiciel C. K. Bundu prosił o zakomunikowanie najgorętszego protestu przeciw jakimkolwiek podejrzeniom w stosunku do zmarłego Goldberga. Jeśli trzeba, to C. K. Bund nadeśle oficjalne oświadczenie w sprawie Goldberga.

Załączam list Bakaja o Goldbergu. Oczekuję od Was n-rów **Naprzodu** i innych polskich gazet, aby dowiedzieć się, dlaczego dokonał się tak (n i e c z y t e l n e) wyrok w sprawie Borowskiej. Przyślijcie wszystkie n-ry Waszych pism o Haeckerze i innych za cały czas procesu Brzozowskiego i Borowskiej — lepiej w dwóch egzemplarzach. Jeden

⁵⁾ Pisane po rosyjsku. ⁶⁾ Litery łacińskie, oznacza św. Łazarza.

będzie (n i e c z y t e l n e) i pójdzie do naszego muzeum, a drugi dam Bakajowi. Mówiłem Wam już o tem osobiście. Mocno ściskam Wasze dłonie. Wasz (—) Wł. Burcew.

Nie zapomnijcie, Tow. Kwiatek (n i e c z y t e l n e). Jak idzie sprawa Brzozowskiego? Weźcie pod uwagę, że niczego nie otrzymałem z Krakowa i mogę otrzymać tylko od Was. Gdy rozstrzygnie się sprawa Brzozowskiego, lub zajdzie co ciekawego, to depeszujcie mi. Ja (n i e c z y t e l n e).

Zawiadomcie depeszą, czyście otrzymali notatniki B., wysłane dziś na nazwisko Daszyńskiego w dużej kopercie. Ma się rozumieć, będzie kasacja? Gdzie się odbędzie nowy sąd? kiedy? Wypowiedzcie swoje zdanie o niedorzeczności wyroku.

*

Tu B r z o z o w s k i domaga się, aby Sąd telegraficznie zapytał Burcewa, kto go informował, jakoby Brzozowski zrzucał winę z siebie na Goldberga.

*

3) List Wiery Figner do Sądu.

W odpowiedzi na list Wasz mogę zakomunikować, że — bez względu na naturalne, silne uczucie wstrętu do zdrajcy, prowokatora i szpiega — trzeba powiedzieć, że brudne usta Bakaja głosiły prawdę. Jego zeznania odznaczały się dokładnością i szczegółowością, zadziwiającami w stosunku do faktów, które miały miejsce przed kilku laty i do osób, z którymi się bezpośrednio nie komunikował. Trzeba być mistrzem pracy śledczej, przez naturę uzdolnionym do tego rzemiosła, aby tak utrwałać w pamięci cudze słowa i okolicznościowe szczegóły.

We wszystkim, co się tyczy przyznania się do własnych występnych czynów, jest on nieszczerzy, stara się złagodzić, pomniejszyć, przeczyć. To odpycha, zmusza do ostrożności, budzi w słuchaczu podejrzliwość. Z drugiej strony — wnosi on w dowód cudzej winy namietność renegata, która w cudzej hańbie topi jego własną hańbę. Ta żarliwość, która czyni z niego oskarżyciela, nie zaś świadka, przytem takiego oskarżyciela, który wobec swej przeszłości i całego swego życia właśnie nie nadaje się do roli oskarżyciela, — ta żarliwość trwoży przecież znów sumienie słuchacza i rzuca jakąś ciemną zasłonę wątpliwości co do wiarygodności bezwstydnego informatora. ...A jednak tą brudną gąbką przyszło ścierać brud ze sprawy wolności, którą każdy z nas chciałby widzieć tak czystą i piękną. (—) W. Figner. 28.II

4) Urywek z listu Łopatina do Burcewa (list podaje w całości).

Włodzimierzu Lwowiczu! Na zapytanie Wasze: jak odnosi się Sąd i ja osobiście do Waszego sposobu działania, do zeznań Bakaja i do komunikatu (i z w i e s z c z e n i e) Centralnego Komitetu partji S. R. — odpowiadam co następuje:

Wobec pokojowego załatwienia (m i r o w o j s d i e ł k i) z 30-go stycznia b. r. (s ł o w o n i e c z y t e l n e) sąd stał się niepotrzebny, jego działalność zatrzymać, samo istnienie zakończyć, tak iż nie potrzebuje on wydawać żadnych postanowień, ani wypowiadać opinji. Lecz, oczywiście, gdyby sprawa była poprowadzona inaczej, gdyby doszło do końcowego postanowienia sądu, to musiałby on przyznać, iż nie tylko nie widzi w działalności Waszej w sprawie Azefa lekkomyślnego rozszerzania na niczem nie opartych i szkodliwych dla partji S. R. pogłosek, lecz przeciwnie: sądzi, że wszy-

scy sympatycy ruchu wolnościowego w Rosji winni Wam wdzięczność za to, że Wasza wytrwałość tak wybitnie przyczyniła się do wykrycia i unicestwienia strasznej prowokacji, gnieżdżącej się w samym centrum S. R. partji.

Co się tyczy Bakaja — tego punktu wyjścia wszystkich Waszych badań w tej sprawie — to, mówiąc wyłącznie w swoim imieniu (do czego tylko mam prawo) muszę oświadczyć, iż zeznania jego robiły na mnie przez cały czas wrażenie zupełnej p r a w d z i w o ś c i i nie tylko subiektywnej, ale i obiektywnej, t. j. przez cały czas zda- wało mi się, że Bakaj nie tylko sam jest p r z e ś w i a d c z o n y, że rzecz tak właś- nie się odbywała, jak on opowiada, lecz że r z e c z y w i ś c i e odbywała się tak. Do- dam do tego, że zeznania pewnej ważnej, kompetentnej i wiarygodnej osoby potwierdziły p ó ź n i e j prawie wszystkie zeznania Bakaja, czasem nawet w najdrobniejszych i nie- zauważonych z początku szczegółach. Te zaś różnice, jakie się ujawniły między nimi, są — po pierwsze — nieważne, po drugie łatwo i naturalnie tłumaczyć się zapomnieniem, niewiadomością i różniami naturalnymi i mimowolnymi omyłkami nie tylko Bakaja, lecz i tej drugiej osoby.

Co się tyczy opinji o Bakaju w komunikacie Centralnego Komitetu partji S. R. (str. 2. szpalta 2. „absatz“ 4 i 5), to nie należy zapominać, iż opinja ta ma charakter h i s t o r y c z n y, t. j. mówi o tem, jak się odnosił do Bakaja Komitet Centralny p r z e d skontrolowaniem jego zeznań u Łopuchina. O b e c n i e on sam uznaje ich prawdziwość, pewnych zaś w nich niedokładności nie kładzie bynajmniej na karb złej woli, ani rozmyślnego skażenia prawdy — lecz przypisuje je tym naturalnym omyłkom, jakie są nieuchronne we wszystkich ludzkich wspomnieniach i zeznaniach, dotyczących faktów minionych. Tak przynajmniej wypowiedział się w tej sprawie w imieniu C. K. towarzysz Gardenin na zebraniu publicznem, na którem — między innymi — byłem i ja obecny.

Oto jest moje zdanie. Myślę, że i towarzysze moi ze Sądu nie odmówią potwier- dzenia tego we wszystkich punktach prócz ostatniego, gdyż na wspomnianem zebraniu nie byli obecni. Salut et fraternité. (—) Herman Łopatin. Paryż, 5 luty 1909.

5) List Władysławy Ćwierdzińskiej⁷⁾ do Sądu (o aresztowaniu wiecu w Warszawie w r. 1904).

6) List Kazimierza Błeszyńskiego o stosunkach majątkowych Brzozowskiego.

Szanowny Panie! Wezwany przez p. Szalitową do złożenia zeznań w sprawie p. Stanisława Brzozowskiego, oznajmiam:

Pana Brzozowskiego znam oddawna. Jego położenie materjalne było zawsze złe; jest to rzecz powszechnie znana ludziom, co się z nim stykali. Jako najjaskrawszy dowód, przytoczyć mogę fakt, że gdy w jesieni roku 1904 państwo Brzozowscy powrócili do Warszawy z Otwocka, gdzie dla złego stanu zdrowia p. Brzozowskiego około 1½ roku, o ile mnie pamięć nie myli, a w każdym razie więcej, niż rok, przebywali — wynajęte przez Nich mieszkanie przy ul. Natolińskiej (numery nie pamiętam) przez czas pewien świeciło pustkami, gdyż rzeczy i meble zostały w Otwocku, zatrzymane na rachunek długu mieszkaniowego przez niejakich państwa Kowalskich. Proszony przez państwa Brzozowskich jeździłem tam w tej sprawie do Otwocka, skąd nie bez trudności udało mi się wydestać rzeczy najniezbędniejsze. Położenie państwa Brzozowskich w nieumeblowa-

⁷⁾ Listu w aktach nie znalazłem.

nem mieszkaniu z małym dzieckiem było wówczas nader przykre, a nie słyszałem, aby kiedykolwiek wogóle było ono pod względem materialnym dobre, ani przed ani też po Ich wyjeździe z Królestwa, gdy na rzecz p. Brzozowskiego urządzono nawet w Warszawie koncert, w czym brałem czynny udział.

Stan zdrowia p. Brzozowskiego z powodu choroby piersiowej był, odkąd pamiętam, zawsze zły, niekiedy krytyczny. Odwiedziny często przyjmował p. Brzozowski w łóżku. W końcu roku 1904 i na początku 1905 przed wyjazdem ciężko chorował — leżał. Na mieście w tym czasie z Nim się nie widywałem. Czy wogóle z domu nie wychodził, nie wiem. Pracował, pisał, czytał i dysputował zawsze, nawet w najcięższych warunkach fizycznych i materialnych, w lepszych — tembardziej. Na stałe wyjechał z Warszawy w pierwszych dniach lutego roku 1905. Aby kiedykolwiek potem do Królestwa przyjeżdżał, nigdy nie słyszałem.

Z prawdziwem poważaniem (—) Kazimierz Bleszyński. Berlin, dn. 18 marca 1909 r.

7) List Bernarda Szarlitta⁸⁾ o rzekomem nazwisku Brzozowskiego (Goldberg).

8) List M. Feldmanowej o pobycie Brzozowskiego w Krakowie w r. 1905.

Szanowni Panowie! Stan mego zdrowia nie pozwala mi przybyć na dzisiejsze posiedzenie. Natomiast gotowa jestem złożyć zeznania u siebie w domu, o ile nie wystarczą pisemne, które oto przedkładam:

Pan St. Brzozowski przybył do lokalu redakcji K r y t y k i dn. 3-go lutego 1905 r. Przez kilka dni następnych stykałam się z nim prawie codziennie, a gdy z rodziną swą wyjeżdżał około 10/II 1905 do Zakopanego, żegnałam ich przy pociągu. Przez luty i marzec bardzo często wymienialiśmy listy, a w pierwszych dniach kwietnia p. Brzozowski mieszkał u nas przez kilka dni, prawie nie wydalając się z mieszkania — poza wykładami, które wygłaszał w Uniwersytecie lud. Wyjeżdżającego do Zakopanego mąż odprowadził do pociągu, a w dwa lub trzy dni później otrzymaliśmy od p. B. wiadomość, że za powrotem do domu zastał żonę ciężko chorą. Przez cały kwiecień p. Brz. bawił w Zakopanem, o czym świadczą bardzo częste listy do nas pisywane. Przytem stan zdrowia p. Brzozowskiej był tego rodzaju, że niepodobna przypuszczać, by mąż mógł ją w tym czasie pozostawić samą w Zakopanem. Gdy przedostatniego kwietnia odwiedziłam ich w Zak. (nie zapowiadając swego przyjazdu), p. Brzozowska była jeszcze rekonwalescentką, wymagającą opieki.

W maju pisywaliśmy do siebie bardzo często, a ok. 20-go maja państwo Brzozowscy znów bawili u nas przez parę dni w Krakowie, poczem ja odprowadziłam ich do pociągu zakopańskiego. Od czerwca do końca sierpnia mieszkaliśmy w Zakopanem w pobliżu mieszkania pp. Brz. i stykaliśmy się codziennie, nieraz po kilka razy dziennie.

Z początkiem września pp. Brzozowscy przybyli do Krakowa i aż do końca października codziennie p. Brz. bywał naszym gościem aż do wyjazdu na stałe do Lwowa z końcem października 1905 r.

Oto wszystko co mogłabym powiedzieć w sprawie ustalenia dat bytności p. Brz. w Krakowie i Zakop. Z szacunkiem (—) Marja Feldmanowa. 21/III.1909.

*

⁸⁾ Listu tego w aktach nie znalazłem.

Tu p. Feldman jako świadek stwierdza, że w kwietniu i maju 1905 r. prawie co drugi dzień mieli od Brzozowskiego listy z Zakopanego, gdyż szło o wynajęcie mieszkania.

*

9) List Bernarda Połonieckiego w sprawie dokumentów, posiadanych przez N. D.

Dnia 19 marca 1909.

Ważne zajęcia nie pozwalają mi stanąć osobiście na posiedzeniu zwołanego w sprawie P. Stanisława Brzozowskiego sądu, celem złożenia świadectwa co do szczegółów, na potwierdzenie których zostałem powołany. Ponieważ jednak uprzedzono mnie, w jakiej kwestji świadectwo moje okazało się potrzebne, a nie chcę, aby z powodu mego niejawienia się materiały faktyczny sprawy doznał jakiegokolwiek uszczuplenia — pozwalam sobie niniejszem w drodze pisemnej podać te szczegóły, o które, o ile wiem, tutaj co do mojej osoby chodzi.

Otóż stwierdzam, że w kwietniu ubiegłego roku po ogłoszeniu czarnej listy przez pisma galicyjskie osoba stojąca bardzo blisko miarodajnych sfer prasy narodowo-demokratycznej, chcąc mnie przekonać o rzekomo niewątpliwej wiarygodności oskarżenia przeciwko P. Brzozowskiemu podniesionego, zapewniła mnie z całą stanowczością, że stronnictwo narodowo-demokratyczne posiada niezbite dowody winy P. Brzozowskiego, gdyż utrzymywało przez dwa lata człowieka, który zebrał i dostarczył mu dokumenty, winę tę stwierdzające, a dokumenty te są w ręku redakcji jednego z organów powyższej partji.

Tyle tylko mam tu do opowiedzenia. Dla ścisłości nadmieniam jeszcze, że co do dobrej woli i wiary osoby, na której rozmowę ze mną się powołuję, mam jak najlepsze mniemanie. Z głębokim szacunkiem (—) B. Połoniecki.

10) List PPS - owca „Asyryjczyka“ o trybie życia Brzozowskiego przed wyjazdem z Warszawy i ewolucji jego przekonań. W liście tym jest wzmianka, że autora zdziwiło kiedyś użycie przez Brzozowskiego wyrazu rosyjskiego „likwidować“ na określenie aresztowania. Brzozowski tłumaczy pochodzenie tego wyrazu (który istotnie ma być terminem policyjnym) w jego słownictwie następującem wydarzeniem: „Kudłaty“ (proletarjaczek) opowiadał mu o jakimś młodym człowieku, Ablańowiczu. Do tego miał kiedyś podejść na ulicy jakiś pan, który, zaprowadziwszy go do kawiarni, powiedział: „Pan pisujesz listy do Oberpolicmajstra, więc jeżeli pan nie chce być „likwidowany“, to niech pan wstąpi do ochrany“. Prócz tego pewien student - Rosjanin zostawił mu kiedyś kartkę, że „Proletarjat“ — likwidowany.

List „Asyryjczyka“ brzmi:

Wobec zapytania Sądu Obywatelskiego w sprawie p. S. Brzozowskiego w Krakowie na listowne zapytanie przez członka tegoż sądu, p. Feliksa Kona — niżej podpisany następujące składa zeznanie:

1. Tryb życia Brzozowskiego w 1904 roku. Do października czy też września tegoż roku Brzozowski przebywał stale w Otwocku. Niżej podpisany do 1 czerwca tegoż roku mieszkał z Brzozowskim w tej samej co i on willi. Od 1-go stycznia 1904 do 1 czerwca tegoż roku Brzozowski pracował masę, mając jednocześnie po 5 — 6 rzeczy literackich, filozoficznych i publicystycznych na warsztacie, pisząc jednocześnie powieść, dramat, 2 książeczki popularne, większą pracę literacką i filozoficzną i kilka artykułów. Jako wydawców jego znałem Arcta i Dawida. Żył skromnie, lecz nie w nędzy. Wspominał mi kilkakrotnie o nieprzyjemnościach, jakie miał z poręczycielami swymi, z powodu pożyczek poręczonych przez nich a nie zapłaconych przez niego. Od czerwca do października 1904 r. widziałem Brzozowskiego raz tylko. Spotkałem się z nim dopiero w październiku 1904 na Natolińskiej; mówił mi wtedy, że był w biedzie, rzeczy i książki i meble zatrzymali mu właściciele willi w Otwocku z powodu niezapłacenia komornego w kwocie rb. 150. Mieszkanie na Natolińskiej zastałem początkowo zupełnie puste i dopiero w kilka tygodni potem zostało ono umeblowane, lecz w rzeczy najniezbędniejsze tylko. Nie pytałem B. skąd wziął pieniądze na to, ponieważ chorował wtedy i był to nie pierwszy wypadek zabrania przez wierzycieli B. wszystkich ruchomości. W końcu grudnia 1904 roku Brzozowski zachorował, chorował też przez cały styczeń 1905 r. i w końcu stycznia 1905 roku wyjechał do Zakopanego. Kiedy przed wyjazdem pytałem go, skąd wziął pieniądze na drogę — odpowiedział mi, że częściowo dostarczył je Gałczyński, częściowo zaś Kasa Literacka. Wogóle stwierdzam, że materialne położenie Brzozowskiego od października 1904 do stycznia 1905 roku robiło na mnie gnębiące wrażenie.

Stosunki, które mię łączyły z B., były przyjazne, lecz nie bliskie. Poznałem go w grudniu lub listopadzie 1902 u literata Stanisława Przybyszewskiego. Pociągnięty jego głębią filozoficzną, pierwszorzędnym talentem publicystycznym, literackim i krytycznym, bywałem dość często u niego, pożyczając książki. Rozmowy nasze toczyły się wyłącznie na tle modernistyczno-filozoficznym. B. wtedy, jak większość naszych modernistów, był aspołecznym, nie interesowało go to zupełnie. Poza wybitniejszymi też przedstawicielami modernizmu, z obozu społeczników nie widywałem u niego nikogo. Zainteresowanie się B. kwestjami społecznymi, lecz w znaczeniu tylko filozoficznym, poczęło się przejawiać jesienią 1903 r. — zdaje się, pod wpływem Münsterberga, Ricketa, Jellinka, i t. d.

Jednak zainteresowanie się to nie wykraczało, do czerwca przynajmniej 1904, poza ramy dociekań filozoficznych. O partjach politycznych nie mówił B. nigdy i zdawał się nie interesować niemi zupełnie. Dopiero w październiku 1904 roku, po dłuższym niewiedzeniu się z nim, dowiedziałem się od B., że mówił przez lato 1904 i mówi wciąż jeszcze wiele odczytów na rzecz Bundu, S. D., Proletariatu. O wzmagającym się ruchu rewolucyjnym nie mówiliśmy wiele, poprzestając nałogowo na tematach filozoficznych i plotkarsko-literackich.

Wspominał mi coś o uniwersytecie ludowym, lecz co — dokładnie nie pamiętam. Stanisława Goldberga widziałem raz u B., członka Proletariatu „Kudłatego” również raz; wspominał mi też B., że bywa u niego Kulczycki. W okresie tym, bywając u Brzozowskiego, ośmielony jego stosunkami z partjami rewolucyjnymi, mówiłem często z nim na temat programów partyjnych. Ciekawości poznania stosunków lub osobistości partyjnych ze strony B. nie zauważyłem nigdy. Jeden fakt uderzył mię tylko w tym okresie czasu, a mianowicie w listopadzie lub grudniu 1904 r. Brzozowski pewnego wieczoru zakomunikował mi, że Proletariat się wyspał; odpowiedziałem mu na to, że to zapewne błaga, bo w Warszawie wciąż niejako raz na tydzień „Proletariat” musi się wyspać; Brzozowski jednak odpowiedział mi na to, że był u niego pewien Rosjanin, który mu zostawił kartkę, że taki to i taki „likwidowany”. Wyrażenia tego

przedtem nie znałem i B. wytłumaczył mi, że w gwarze rewolucjonistów rosyjskich znaczy to wsypać się. Słowo to nie podobało mi się i dlatego je zapewne zapamiętałem razem z całym faktem. Kto był owym rewolucjonistą Rosjaninem, ze względów konspiracyjnych nie pytałem. Kwestji działalności P. P. S. i osób działających w niej B. nie poruszał nigdy, nigdy też nie wspominał mi nazwiska Nelkena. Ja osobiście nic mu nie mówiłem o Nelkenie i chyba że raz tylko w kwietniu 1904 r. wspomniałem nazwisko Nelkena, z okazji aresztowania tegoż, łącznie z Daumem i Poznerami. Brzozowski odpowiedział mi na to, zdaje się, że słyszał o tem od Dawidów, i sprawa na tem się skończyła. Stosunku B. do wieców i Niemojewskiego nie znam. Brzozowski wyjechał z Warszawy napewno po dniach styczniowych strejku powszechnego w 1905 r., t. j. w ostatnich dniach stycznia lub początku lutego. O powrocie jego do Warszawy po wyjeździe 1905 r. nic nie słyszałem, od 1905 roku też nie widziałem ani razu B., nie pisałem też ani jednego listu do niego.

W 1903 r. Brzozowski r a z j e d e n na moją prośbę wygłosił odczyt na rzecz Kasy Więźniów; na zaleconą mi przez Kasę ostrożność, z usług B. korzystać przestałem. (—) F. Doleżał.

11) I n f o r m a c j e B u r c e w a o B r z o z o w s k i m, pochodzące od Bakaja, a zakomunikowane wspólnemu mężowi zaufania P. P. S. (Fracjji rewol. i lewicy).

I n f o r m a c j e u s t n e, z a k o m u n i k o w a n e p r z e z B u r c e w a m ęż o w i z a u f a n i a P. P. S. i P. P. S. Fr. R., przez tegoż zakomunikowane naszemu mężowi zaufania. Informacje otrzymaliśmy od ostatniego w liście bez daty (19 lutego 1908 r. otrzymany): „Brzozowski, ceniony i oszczędzany, widywał się z Petersonem w tem samem mieszkaniu co Grodzieński⁹⁾. Na wiosnę 1905 roku X widział się z Brzozowskim osobiście w temże mieszkaniu, w zastępstwie Petersona, który był na wyjeździe. Wręczył mu 250 — 300 rb. na leczenie się w Zakopanem. Brzozowski mieszkał wówczas na Koszykowej, Natolińskiej lub Pięknej“.

12) P ó ź n i e j s z e i n f o r m a c j e B a k a j a, przepisane z piśmiennego zeznania Bakaja: „Pieniądze wręczyłem Brzozowskiemu; pamiętać dokładnie zachowania się, ubioru i innych szczegółów z tego spotkania z Brzozowskim nie mogę. Widzenie się miało miejsce, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, w konspiracyjnym mieszkaniu — Miodowa 18. Zamieszkiwał je szpieg (filer) Olecznikow, pod nazwiskiem Janowskiego“.

13) L i s t S i e r z p u t o w s k i e g o o przypuszczalnym pobycie Brzozowskiego w Warszawie już po wyjeździe stamtąd.

Warszawa, 20 lutego 1909. Szanowny Panie!

Z pism dzisiejszych dowiedziałem się, że Sąd, zwołany w smutnej sprawie p. Stanisława Brzozowskiego, przywiązuje wielką wagę do ustalenia terminu pobytu tegoż p. Brzozowskiego w Warszawie.

⁹⁾ Odnosny ustęp o Grodzieńskim brzmi: „randki z nim odbywały się w konspiracyjnym mieszkaniu agenta ochrony Olecznikowa, który pod fałszywym nazwiskiem Jankowskiego mieszkał w domu teatru Nowości“.

W P r z e g l ą d z i e P o r a n n y m z dnia dzisiejszego znalazłem wniosek, iż świadczenie o bytności p. B. w Warszawie w tym czasie, w którym według zeznań pp. Żeromskiego, Moszczeńskiej, Nałkowskiego i innych znajdować się miał w Zakopanem, stanowi zarzut nieścisłości w informacjach tych ludzi, cieszących się powszechnym uznaniem. Jestem zdania przeciwnego. Od Zakopanego do Warszawy odległość jest zbyt bliska, aby z faktu, że ktoś często był widziany w Zakopanem, można było wnioskować, że w tym samym mniej więcej czasie nie był w Warszawie. Otóż sam świadczyłem w pewnej sprawie w Krakowie przeciwko osobnikowi, powołującemu się na świadectwo 50 osób wiarygodnych, że był w Krakowie, gdy tymczasem sam go na własne oczy widziałem w Warszawie, dwóch zaś moich znajomych z nim rozmawiało.

Co zaś do p. Brzozowskiego, to prócz zwierzenia Sz. Panu swoich przypuszczeń, które zresztą nasunąć się muszą na myśl każdemu człowiekowi logicznemu, mam jeszcze dla Sz. Pana pewną wiadomość, która może Mu będzie użyteczna. Dowiedziałem się mianowicie, że jest tu niepokryte dotychczas zobowiązanie pieniężne p. Brzozowskiego, wydane osobiście przez niego w tym właśnie czasie, w którym miał być w Warszawie według zeznań p. Bakaja. Można więc z Warszawy pozyskać d o k u m e n t p i s e m n y, wystawiony przez p. Brz., oraz noszący właściwą datę, tudzież świadków w osobach kilku ludzi, z którymi p. Brz. przeprowadzał transakcje pieniężne. O ile więc przykra ta sprawa nie wyświetli się wcześniej, bez mego w niej udziału, to przypuszczam, że w czasie kilkudniowym będę w możności służyć Sz. Panu szczegółami bliższymi.

Jakbądź zastrzegam się, że dokumentu tego nie widziałem, a więc za ścisłość w dacie zgóry odpowiedzialności nie przyjmuję, to jednak ze względu na źródło, z którego czerpię informację, przypuszczam, że prawdą są zarówno istnienie tegoż, jak i szczególności. Sz. Pan zaszczyli mnie odpowiedzią, czy wskazówki moje w tej sprawie są potrzebne, czy też jest ona i bez nich jasną dostatecznie. Z wysokim poważaniem
(—) Stefan Sierzputowski.

14) L i s t t e g o ż S i e r z p u t o w s k i e g o z cofnięciem poprzedniego przypuszczenia.

Warszawa 8.III.09. Szanowny Panie.

Alarmujący list w sprawie p. Brzoz. wysłałem do Dra Heskiego pod wpływem pogłosek, obiegających Warszawę, lecz zarazem uprzedziłem Sz. Dra Heskiego, iż pogłoski tych nie sprawdzałem i odpowiedzialności za wiarygodność ich na siebie nie biorę. Bezpośrednio po wysłaniu listu zacząłem czynić starania w celu sprawdzenia dokumentów, które jakoby nosiły datę z sierpnia r. 1905 i były podpisane w Warszawie przez p. Brzozowskiego. Tymczasem okazało się to nieprawdą.

Pogłoski powyższe rozpuszczał niejaki Mass, Żyd, krawiec, zamieszkały w Warszawie przy ul. Aleje Jerozolimskie Nr. 37. Ten Mass dostarczał Brz. ubranie, za które Brz. został mu winien 25 rubli. Mass posiada jedynie kwit Brzozowskiego, a zarazem upoważnienie do odbioru od któregoś z wydawców książki p. Brz. owej kwoty 25 rb. Kwit ten został wydany w Otwocku d. 15 sierpnia r. 1904.

Wobec dokładnego sprawdzenia cyfry roku osobiście oraz za pośrednictwem p. Jana Belcikowskiego, uczułem pewne skrupuły, że dałem wiarę pogłoskom i niepokoiłem niemi Dra Heskiego. Przypuszczam jednak, iż usprawiedliwia mi obawa opóźnienia ważnej wiadomości, o ileby okazała się prawdziwą, oraz forma warunkowa, w jakiej ją zakomunikowałem. O powyższem przed kilku dniami zawiadomiłem również Sz. Dra Diamanda. Przy sposobności łączę dla Sz. Doktora wyrazy wysokiego szacunku.
(—) St. Sierzputowski.

15) List Gustawa Daniłowskiego o badaniu go przez Bakaja ¹⁰⁾.

16) List Władysława Illukiewicza ¹⁰⁾ o warunkach materialnych Brzozowskiego.

17) List Karoliny Illukiewicz o tem samem i o stanie zdrowia Brzozowskiego.

Warszawa, 15 marca 1909. Szanowni Sędziowie. Nie mogąc osobiście stawić się w charakterze świadka, czuję się w obowiązku złożyć zeznania pisemne, które może przyczynią się do rozświetlenia sprawy.

We wrześniu 1904 r. Brzozowskim, którym rzeczy zostały zatrzymane przez pp. Kowalskich w Otwocku na pokrycie długu mieszkaniowego, ofiarowałam swoje mieszkanie. Brzozowscy mieszkali u mnie 5 do 6-ciu tygodni. Później przeprowadzili się na ulicę Natolińską. Przypominam sobie, że do Kowalskich sama jeździłam, by wydali bieżącą Brzozowskich. Na Natolińskiej mieszkali Brzozowscy aż do wyjazdu zagranicę, t. j. do końca stycznia lub pierwszych dni lutego 1905 r. W końcu grudnia Brzozowski zachorował bardzo poważnie na krwotok płucny. W tym czasie bywałam u Brzozowskich mniej więcej dwa razy na tydzień i twierdzić najdokładniej mogę, że Brzozowski przez cały ten czas leżał w łóżku, a stan jego był tak ciężki, że obawiano się zupełnie poważnie o jego życie. Do ostatniej chwili, przynajmniej do jakiegoś 25 stycznia, Brzozowski nie myślał nawet o wyjeździe do Zakopanego, gdyż stosunki materialne o tem nawet marzyć nie pozwalały, dopiero pomoc pieniężna z przedstawienia u „miłośników“ i zdaje się z jakiejś kasy pozwoliły mu wyjechać. Pieniądze na wyjazd musieli Brzozowscy otrzymać w przeddzień wyjazdu, gdyż na dwa dni przedtem Brzozowski jeszcze bardzo sceptycznie na ten cały wyjazd się zapatrywał.

Z szacunkiem (—) Karolina Illukiewicz, nauczycielka szkoły miejskiej, Warszawa, Nowy Świat 8.

18) List członka paryskiej sekcji S. D. K. P. i L. o stosunkach Brzozowskiego z litewskim socjalistą, któremu Brzozowski proponował napisanie artykułu o stosunkach litewskich i od którego żądał adresów działaczy litewskich:

O d p i s. Paryż 19, 16/III. 1909. Szan. Tow.!

Przypadkowo doszedł do mojej wiadomości następujący, charakterystyczny dla p. Brzozowskiego fakt. Spotkałem się tu z jednym znajomym mi działaczem litewskim (Józef Gabrys — Paris, r. Sommerard 11), który opowiedział mi co następuje:

„W czerwcu lub też lipcu 1906 r. poznałem się z P. Brzozowskim w Lozannie podczas jego odczytów. P. Brzozowski, dowiedziawszy się, iż przyjmuję udział w ruchu litewskim — zaproponował mi napisanie artykułu o ruchu litewskim, obiecując go umieścić w *Przeglądzie Społecznym*. Nie zdziwił mnie sam fakt propozycji, lecz pewna forma takowej. P. Brzozowski kładł nacisk, aby artykuł ów opierał się na zupełnie pewnych, konkretnych faktach o d n o ś n i e d o o s ó b i d a t, i zaznaczył, aby nie krępować się zbytnio cenzurą (!), bo przejdzie. Powtórę zapytał się mnie, czy honorarjum ma mi wypłacić z a r a z, czy też

¹⁰⁾ Listu tego w aktach nie znalazłem.

potem. Zdumiony byłem jednym i drugim. Pierwsze wydało mi się brakiem konspiracji, na której P. Brzozowski, jako człowiek nieprzyzwyczajony do roboty „podziemnej“, mógł się nie znać, drugie zaś było dla mnie niezrozumiałe wprost, jak redaktor czy też współpracownik pisma może zgóry wypłacać honorarium jeszcze przed wydrukowaniem. Nie mając najmniejszych powodów podejrzewać P. Brzozowskiego, z faktów tych nie wysnułem wówczas żadnych wniosków; dziś one nasuwają mi pewne wątplenia — tembardziej iż P. Brzozowski obiecał artykuł mój zwrócić, o ile nie zostanie wydrukowany; jednak tego nie uczynił, oświadczając mi potem, iż artykuł ten gdzieś zaginął. Uczynił mi również wówczas inną propozycję, której nieogłędnie zadosyć uczynilem. Poprosił mnie, aby mu dać adresy wszystkich działaczy litewskich, których znam, aby móc im przesyłać *P r z e g l ą d S p o ł e c z n y* — oczywiście, w celach agitacyjnych. Dałem mu kilkanaście adresów takich“. Tyle P. Józef Gabrys.

Podaję to do wiadomości sądu partyjnego, który rozpatruje sprawę P. Brzozowskiego; przypuszczalnie, że fakta te rzucą również światło na samą sprawę, albowiem, o ile słyszałem, P. Brzozowski nadsyłał „ochranie“ różne sprawozdania, możliwością więc jest, że i to o „litewskim ruchu“ potrzebne mu było w tym celu, do tego jeszcze sam fakt pośpiechu z wypłacaniem honorarium rzuca też „pewne“ światło. Może więc redakcja *N a p r z o d u* zechce zrobić z tego materiału należyty użytek.

Pozostaję z tow. pozdr. (—) E. Krymski (czł. Sekcji Paryskiej S. D. K. P. i L.).

P. S. O ileby chodziło sądowi o jakieś bliższe „wyjaśnienia“, proszę się zwracać bezpośrednio do P. Józefa Gabrysa — rue Sommerard 11, Paris.

B r z o z o w s k i potwierdza informacje tego listu. Istotnie proponował napisanie artykułu, ofiarując się zapłacić zgóry, i istotnie żądał nazwisk i dat. Artykuł miał dotyczyć zróżniczkowania społeczno-gospodarczego wśród drobnych posiadaczy litewskich i zmiany skutkiem tego poglądów i kierunków. Co do obiecanego honorarium — Brzozowski rozporządzał wtedy pewną sumą i chciał przyjść z pomocą owemu Litwinowi. Treść artykułu była taka, że żadnego znaczenia politycznego mieć nie mógł. Adresy Brzozowski wziął w liczbie 11 — 12 i przesłał je redakcji *Głosu* do Warszawy w celu wysłania im NN okazowych.

D r. B u b e r żąda przesłuchania świadka Gackiego na okoliczność pobytu Brzozowskiego w Lozannie i że Brzozowski nie szukał znajomości z emigrantami. Dalej — listownego przesłuchania Dawidów i owego Litwina.

19) **L i s t l e w i c o w c a P. P. S.** o dowodach, że Brzozowski był w Warszawie wtedy, kiedy już mieszkał zagranicą — z okazji odczytu w Warszawie — i że pewien przyjaciel Brzozowskiego pod słowem honoru twierdził, że Brzozowski w 1905 r. zwierzał się, jakoby ochrana wzywała go do Warszawy.

O d p i s. Kochany Bolesławie! Zupełnie nie śledziłem przebiegu sprawy Brzozowskiego, nie wiem więc, czy to, o czym Wam piszę, ma jakie znaczenie dla sądu, czy też nie. Tem niemniej uważam za swój społeczny obowiązek zakomunikować Wam, jako członkowi sądu, szczegóły, o których dowiedziałem się wypadkiem, a które może rzucić jakie światło na całą tę ciemną historję. Otóż podobno na sądzie, kiedy szło o stwierdze-

nie faktu, czy Brzozowski w danym okresie czasu był w Warszawie — Brz. dowodził, że akurat wówczas znajdował się poza Warszawą. Tymczasem tutaj są ludzie, którzy twierdzą, że mają dowody świadczące niezbicie, jako że Brzoz. wówczas był w Warszawie. Mianowicie w mieszkaniu Łaguny (przy Leopoldynie) miał odbyć się odczyt Przybyszewskiego; Przybyszewski napisał list, że przybyć nie może, naton iast proponuje, że odczyt wygłosi Brzozowski. Po Brzoz. pojechał Cholewicki, który go przywiózł. Podobno Cholewicki posiada list Przybyszewskiego, więc można ściśle ustalić datę. Obecnie Ch. pojechał na pogrzeb ojca do Warszawy, ale w przejeździe ma się zatrzymać w Krakowie. Drugi świadek, który pamięta ten odczyt — Łaguna, mieszka w Paryżu. Rzeczą sądu ocenić, czy wymienieni świadkowie mają znaczenie dla sprawy.

II. H. Kon zakomunikował mi, że jeden z b. przyjaciół Brzozowskiego, mieszkający obecnie w Paryżu, pod słowem honoru twierdzi, że w 1905 roku Brzozowski użalał się przed nim na to, że wciąż go do siebie wzywa ochrana. Świadek ten nie chce figurować w procesie jako oskarżyciel razem z Bakajem, ale przypuszczam, że gdyby kto w imieniu sądu przyjechał tutaj, nie odmówiłby swego zeznania.

Rozeszła się tu pogłoska, że macie tu przyjechać. Czy to prawda? Łączę pozdrowienia. (—) J. Strom. Paryż, 16/III. 1909. 46, r. de Rivoli.

D r. B u b e r prosi o przesłuchanie wskazanych w tym liście osób, a zwłaszcza owego „przyjaciela“, co dał „słowo honoru“.

B r z o z o w s k i oznajmia, że wzmiankowany w liście odczyt istotnie był, ale w listopadzie 1904 r. Co do informacji o ochronie owego „przyjaciela“, co dał słowo honoru, to odnosi się to pewno do opowieści Brzozowskiego o wezwaniu go przez ochronę po ataku na Sienkiewicza, którą opowiadał bardzo wielu osobom.

Przed odczytaniem dalszych dokumentów p r z e w o d n i c z ą c y zwraca uwagę, że obrona w sposób niewłaściwy przeprowadzała dochodzenia śledcze wtedy, kiedy śledztwo (dotyczące miejsca zamieszkania) już było prowadzone przez Sąd.

D r. B u b e r wyraża opinię, że to nie było wchodzeniem w kompetencję Sądu.

Odczytuje się dalej:

20) S p r a w o z d a n i e „S e r c a n e k“ o wyjeździe Brzozowskiego na kilka dni do Warszawy po pieniądze.

S p r a w o z d a n i e z p r z e s ł u c h a n i a S. S. S e r c a n e k d n i a 3/III. 1909.

Siostra Gerarda oświadcza, że dokładnych ksiąg meldunkowych Zakład w r. 1905 nie prowadził, jednakże przypomina sobie pobyt pp. Brzozowskich w Zakładzie. Zwraca uwagę na szczegól, że w czasie ostatniego pobytu u nich p. Brzozowski na kilka dni wyjeżdżał. Wówczas służąca posługująca słyszała z ust p. Brzozowskiej, iż mąż wyjechał do Warszawy po pieniądze. Na moje żądanie przesłuchania tej służącej w charakterze świadka oświadczyła mi S. Gerarda, że tejsze w Zakładzie obecnie niema, natomiast może ona (S. Gerarda) skomunikować się z siostrą, bawiącą obecnie w Brodach, która wówczas zajmowała się gospodarstwem i może listownie złożyć oświadczenie.

Przy następnym przesłuchaniu, które odbyłem po nadejściu listu z Brodów, S. Gerarda oświadczyła przedewszystkiem, iż dokładniejsze dane zebrała z namowy X. Kapelana Zakładowego, który w międzyczasie ją dokładniej o sprawie p. Brzozowskiego i odbywającym się sądzie w Krakowie poinformował. Nastąpiło zatem protokularnie z siostrą Gerardą spisane świadectwo, które załączam. (—) St. Żmigrodzki.

21) **Protokół spisany w klasztorze „Serca n e k”, a podpisany przez siostrę Gerardę, służebnicę „Serca Jezusowego”** (jest tam też wiadomość o wyjeździe Brzozowskiego na kilka dni).

W dniu 8 lutego 1905 roku przyjechał p. Stanisław Brzozowski z żoną i z dzieckiem i zatrzymał się w naszym Zakładzie do 15/II. 1905, w którym dniu opuścił Zakład, wyjeżdżając do Zakopanego. Przez cały ten czas nie wiadomo mi, aby p. B. wydalął się z Krakowa.

Następnym razem sprowadził się p. Brzozowski z żoną, dzieckiem i służącą do nas 11 września 1905 roku, przysyłając naprzód (może dzień przedtem) żonę z zapytaniem o miejsce. P. Brzozowska wspominała, że dotychczasowe pomieszczenie wypadło im za drogo, ponieważ mają zamiar dłuższy czas zabawić w Krakowie. Zajmowali u nas 2 pokoje, za które prócz dziecka i sługi płacili 10 koron dziennie z życiem i mieszkali do mniej więcej końca października 1905 r., w którym to czasie najpierw p. Brzozowski zakład nasz opuścił, udając się — ja twierdził — po pieniądze do Lwowa, zaś w parę dni po nim wyprowadziła się p. Brzozowska wraz z dzieckiem i służącą do pensjonatu Lithuania.

Ponieważ p. Brzozowski początkowo wypłacający się regularnie zaczął zalegać z czynszem, przeto Zakład odmówił mu utrzymania, gdy te zaległości wyniosły poważniejszą kwotę, i przy końcu swego pobytu pp. Brzozowscy byli u nas tylko na mieszkaniu bez życia. Ostateczna zaległość wynosiła 90 fl., po które daremnie udawaliśmy się do pensjonatu Lithuania co 3 do 4 dni po wyprowadzeniu się pp. Brzozowskich, gdyż ich już tam nie zastałam. W pensjonacie oświadczone, że wyjechali do Lwowa.

W czasie ostatniego swego pobytu u nas, mniej więcej w pierwszej połowie października, wyjeżdżał p. Brzozowski raz jeden na 4 lub 5 dni bez towarzystwa żony, nie oświadczając dokąd. Jedna z nieobecnych już dziś siostr w Krakowie podaje, że pewnego razu zgłosił się do niej pewien pan z oświadczeniem, że dla p. Brzozowskiego ma pieniądze „za książki”; ile tych pieniędzy było i czy je zostawił oraz kiedy, tego mi siostra nie wspominała. (—) Siostra Gerarda, Służebnica Serca Jezus. Kraków, 12 marca 1909 roku.

B r z o z o w s k i zaprzecza wiadomościom, podanym w ostatnich dwóch dokumentach.

22) **S p r a w o z d a n i e z pobytu w pensjonacie „Lithuania“**

Sprawozdanie z przesłuchania właścicielki pensjonatu „Lithuania“ 6/III. 1909.

Właścicielka oświadcza na wstępie, że właśnie poprzedniego dnia zgłaszał się do niej pewien pan w imieniu sądu, któremu złożyła już informacje. Na moją prośbę przedkłada mi p. właścicielka księgę meldunkową, w której znalazłem następujące dane: 9/IX. 1905 p. Stanisław Brzozowski, literat, zamieszkał w pokoju Nr. 2.

15/IX. 1905 tenże wyjechał do Zakopanego.

1/XI. 1905 p. Stanisław Brzozowski z żoną Anną, dzieckiem i służącą Anną Kurkówną przybył z Zakopanego i zamieszkał w pokoju Nr. 11.

7/XI. 1905 tenże wyjechał do Zakopanego.

Żadnych innych szczegółów o pobycie p. Brzozowskiego p. właścicielka nie wie.
(—) Stanisław Żmigrodzki.

23) W y p i s z „N a p r z o d u“ o datach wykładów Brzozowskiego we Lwowie ¹¹⁾.

O b r o n a składa jeszcze następujące dokumenty:

1) P o ś w i a d c z e n i e p a n i R o g o s z o w e j o mieszkaniu Brzozowskiego w jej pensjonacie:

Ze strony Zarządu pensjonatu „Jolanta“, Józefy Rogoszowej, poświadcza się, że p. Stanisław Brzozowski, literat, mieszkał w moim pensjonacie od 6-stego do 9-wiątego września 1905.

P. Stanisław Brzozowski przyjechał podówczas z Zakopanego i wyprowadził się do pensjonatu Lituanina ode mnie. (—) Józefa Rogoszowa. Kraków, 17/III. 1909.

2) K a r t ę m e l d u n k o w ą z Hotelu Francuskiego (dzień przybycia 4 lutego 1905).

O d p i s z K s i ę g i m e l d u n k o w e j z dnia 4/2. 1905. Wł. Lelek.

Karta meldunkowa dla podróżnych.

Meldezettel für Reisende.

Nr. pokoju L. 19.

W domu zajezdnym, Im Gasthause — Zarząd Hotelu Krakowskiego w Krakowie.

Dzień przybycia, Tag der Ankunft — 4/2. 1905.

Imię i nazwisko, Vor - und Zuname — Stanisław Brzozowski.

Charakter lub zatrudn., Charakter oder Beschäftigung — literat.

Miejsce urodzenia, Geburtsort — Wojsławice.

Miejsce stałego mieszk., Gewöhnlicher Wohnort — Warszawa.

Dokumenty podróży, Reise - Dokumente — pas. ros.

Osoby towarzyszące, Begleitung — żona Antonina, córeczka Anna Irena.

Dzień i kierunek podr., Tag u. Richtung d. Abr. — 8/2. 1905 do Zakopanego.

Kraków, dnia, Krakau, den — 9/2. 1909.

Poświadczenie zameldowania, Bestätigung der Meldung.

Imię i nazwisko, Vor - und Zuname — Stanisław Brzozowski.

Zameldowanie nastąpiło. Diese Meldung erfolgte — 9/2. 1909.

(—) Z. Wł. Wł. Lelek, portjer.

3) P r o t o k o ł w s p r a w i e d a t p o b y t u Brzozowskiego w Zakopanem.

P r o t o k o ł

z dochodzeń, poczynionych w Zakopanem w dniu 16 marca 1909 r. w sprawie dat i adresów podanych przez p. Stanisława Brzozowskiego.

¹¹⁾ Aktu tego nie znalazłem.

Sprawdzeniem adresów zająłem się osobiście, wspólnie z mężem zaufania p. St. Brzozowskiego, tow. drem R. Buberem.

W Klimatyce stwierdziłem w księdze meldunkowej, iż p. St. Brzozowski, zapisany pod l. 506, został zameldowany 15 lutego 1905 roku jako lokator Hotelu Morskie Oko, a wymeldowany 16.2.1905; jako następne miejsca zamieszkania zanotowane są w księdze: Kubinówka i Leopold Czubernat — jednak bez podania daty przeprowadzenia.

Dokładny odpis — zapisków księgi meld.:

Stronica po stronie lewej

	ile osób
506 18.3 Stanisław Brzozowski — z żoną — i córką — Warszawa — literat Antoniną Anną l. 2	3

Stronica prawa

Jan Jarząbek, Żywczkańskie, (mężcz.) 1, (kob.) 2.

Takę klimatyczną płać p. St. Brzozowski:

394	17.2	4 kor.;	421	22.2	4 kor.;	444	1.3	4 kor.;
485	8.3	4 kor.;	555	16.3	4 kor.;	582	22.3	4 kor.

Daty wymeldowania nie uwidoczniiono w księdze meldunkowej Stacji Klimatycznej. Meldunków nie mogłem zbadać, gdyż zostały już zniszczone. Siostra p. Brzozowskiej, p. Walentyna Kolberg, nie jest w księdze meldunkowej uwidoczniiona.

II

H o t e l M o r s k i e O k o .

W księdze meldunkowej wśród spisu osób za rok 1905 jest zameldowany: 15/2, St. Brzozowski, literat, Warszawa (10) z żoną Antoniną i córką. 16/2 wymeldowany do Kubinówki.

III

K u b i n ó w k a .

P. Parczewska (była właścicielka pensjonatu „Kubinówka“, obecnie właśc. willi „Zacisze“) oświadcza, iż p. St. Brzozowski wprowadził się do Kubinówki 16 lub 17 lutego, a wyprowadził się dnia 1 kwietnia 1905 do Czubernata, gdzie p. Parczewska mieszkanie wyszukała. W owym czasie miała jako pensjonariuszy wyłącznie pp. Brzozowskich. Obiady jadał p. Brzozowski w swoim mieszkaniu. Czy p. Brzozowski, lub jego żona wyjeżdżali w tym czasie — nie pamięta, gdyż jej (t. j. p. Parczewskiej) rzeczą było obiady dawać, a nie kontrolować gości. Więcej nic powiedzieć nie może.

IV

U C z u b e r n a t a .

Z powodu słabości p. Czubernata, informacyj udziela żona jego, p. Ludwika Czubernatowa, która prowadzi gospodarstwo. Do domu Czubernata (ulica Kościelna 5) sprowadził się p. Brzozowski od p. Parczewskiej, która pp. Brzozowskich przyprowadziła; daty nie pamięta. Mieszkał kilka miesięcy, a wyprowadził się przed sezonem, t. j. przed 15 czerwca. P. Brzozowski wychodził często na odczyty; czy, dokąd i na jak długo wyjeżdżał — nie pamięta.

U J a ś k a G i e w o n t a.

Informacyj udziela Jasiek Giewont i jego żona. Brzozowscy mieszkali czerwiec, lipiec, sierpień i wrzesień. Sprowadzili się od Czubernata w czerwcu; rzeczy pp. Brzozowskich przewoził od Czubernata Jasiek Giewont; mieszkanie wynajmowała na 4 miesiące za cenę 180 zł. p. Brzozowska z siostrą; gdy rzeczy przewożono, był p. Brzozowski obecnym. W czasie pobytu w tem mieszkaniu nie wyjeżdżał p. Brzozowski nigdzie na dłużej, ale robił jednodniowe wycieczki. Często odwiedzał mieszkających w pobliżu pp. Feldmanów, którzy również u pp. Brzozowskich bywali. P. Brzozowski z żoną, siostrą żony i dzieckiem wyjechał z początkiem września, zostając dłużnym 50 zł.; służąca i rzeczy zostały jakiś czas. Dług został wyrównany przez p. Becka. Po wyjeździe p. Brzozowskiego wymeldował go Jasiek Giewont w Klimatycy.

Przy zbieraniu tych danych dowiedziałem się (w Klimatycy), iż już poprzednio ktoś robił dochodzenia w tej sprawie. Kraków, 20.III. 1909. (—) Dr. Emil Bobrowski.

4) P o ś w i a d c z e n i e z K l i m a t y k i w Z a k o p a n e m.

L. 83/909. P o ś w i a d c z e n i e.

Na żądanie p. Edmunda Szalita poświadczam niniejszem, że wedle ksiąg meldunkowych z r. 1905 L. m. 506 P. Stanisław Brzozowski, literat z Warszawy, przybył do Zakopanego dn. 15 lutego 1905 z żoną Antoniną i córką Anną, lat dwa liczącą, i zamieszkał w hotelu „Morskie Oko”. Stąd dnia 16 lutego 1905 przeprowadził się do domu p. Parczewskiej przy ul. Krupówki 63, willa „Kubinówka”, skąd znów przeprowadził się do domu Leopolda Czubernata ul. Kościeliska l. 5. Wkońcu zamieszkał u Jana Jarzabka Giewonta na „Żywcańskim”, skąd ¹²⁾ we wrześniu 1905 wyjechał w niewiadomym kierunku. Od 15 lutego 1905 do września tego roku mieszkał Brzozowski nieprzerwanie w Zakopanem.

Zakopane, dnia 7 marca 1909. (L. S.) C. K. Inspektor Stacji klimatycznej (—) Janowicz.

Sędzia bada w c z y stwierdza, że w Klimatycy wymeldunku Brzozowskiego niema i nie rozumie, jak Komisarz może pamiętać, że Brzozowski wyjechał stamtąd 15 września. Poza tem o b r o n a przedkłada jeszcze nowe dokumenty, między innemi dotyczące rzekomego żydostwa Brzozowskiego, który wedle plotek ma być Goldbergiem. Dr. B u b e r przy tej sposobności opowiada, że na jednym odczycie Brzozowskiego we Lwowie syn prof. Nussbauma-Hilarowicza mówił, że Brzozowski jako Żyd nie może mówić o polskiej duszy.

Dalej d o k u m e n t, mający charakteryzować Bakaja, o p r o c e s i e anarchistów-komunistów, wreszcie spis zameldowanych w Warszawie (podług Biura adresowego) S t a n i s ł a w ó w B r z o z o w s k i c h z ich adresami. Następnie odczytuje się protokuł

¹²⁾ W oryginale napisano: „dnia 11 grudnia 1905”; słowa te przekreślono i wpisano nad niemi „we wrześniu 1905”, zaś na marginesie „corr. Janowicz”.

ogłędzin notatników Bakaja¹³⁾. (Nazwisko Brzozowskiego, napisane atramentem, spotyka się tylko w jednym notatniku z 5-ciu).

D r. B u b e r prosi o skonstatowanie, ile z 72 nazwisk, wymienionych w notatniku V, znajduje się na „czarnej liście“, i o sprawdzenie u Bakaja, kiedy Blaik Chaim, wymieniony w tymże notatniku, uciekł. Przy innych nazwiskach jest albo imię, albo adres... (P r z e w o d n i c z ą c y: Albo ani jednego, ani drugiego).

W notatkach, gdzie podane są spotkania z prowokatorami, niema nazwiska Brzozowskiego. W notatkach o wydatkach niema 75 rs., danych rzekomo Brzozowskiemu (P r z e w o d n i c z ą c y: To są wydatki osobiste Bakaja).

U w a g a: Oryginał protokołu nie jest podpisany przez członków sądu, niemniej sąd czytał protokół i poczynił poprawki.

(Dalszy ciąg nastąpi)

¹³⁾ W aktach niema.

S Z T U K A

WYSTAWA ZBIOROWA TYTUSA CZYŻEWSKIEGO, LEOPOLDA GOTTLIEBA I JACKA MIERZEJEWSKIEGO W INSTYTUCIE PROPAGANDY SZTUKI

Dobrze mamy w pamięci owe nie tak znowu dawne czasy, kiedy malarstwo Tytusa Czyżewskiego było drażniącą płachtą czerwoną nawet dla wielu naszych wszechwiedzących i wszędobylskich krytyków i „znawców” sztuki. Lekceważony przez jednych, ledwie tolerowany przez drugich, wspinał się jednak osamotniony artysta na coraz wyższe piętra swej głębokiej i odkrywczej sztuki — w twardej, nieustępliwej walce o byt, o zwierzęcą niemal egzystencję w ciągu długich trzydziestu bezmała lat. Ta nadludzka wprost walka „nieuznawanego” artysty z mikrokosmem dnia powszedniego wyczerpywała jego organizm, podkopywała jego zdrowie, ale w niczem bynajmniej nie paraliżowała mocy jego ducha. Zmizantropiał wprawdzie nieco, nawet cośkolwiek zdziwaczał, zamknął się w sobie — ale się nie ugiął i dalej po swojemu tworzył. Jediną pociechą w tej mizernej doli polskiego awangardzisty był szacunek i respekt dla jego sztuki wśród najbliższych komilitonów-formistów. Pogardą dla karjerowiczów i snobów podpierał się jak kijem, z lekkim uśmieszkim ironji zbywając ich nieszczerze pochwały i ich indycko rozgulgotane napaści.

Ale nadeszła wkońcu chwila jego triumfu. Była nią wystawa zbiorowa Czyżewskiego w I. P. S. w 1933 r. — wystawa, zaiste, przedziwna, rewelacyjna — która w całej pełni odsłoniła przedewszystkiem kolorystyczne wartości jego „nieuznawanej” dotychczas sztuki. Raziła tam jeszcze niektórych jego forma — forma zbyt może naiwna i za surowa, jak na przeczulone aspekty rozestetyzowanych gapiów i ćwoków przeróżnego gatunku i pochodzenia, dla których malarstwo zaczyna się na Wybrzeżu Kościuszkowskim, a kończy w Zachęcie lub na wystawach zagranicznych, organizowanych przez „Tosspo”.

W tem właśnie cała pomyłka. W sztuce Czyżewskiego nie ma bowiem tych walorów, które entuzjazmują zwolenników T. Styki et Co, ani tych, które unoszą do stratosfery westchnienia bezkrytycznych wielbicieli Wałacha - cudotwórcy i przefasonowanego folkloru. W sztuce Czyżewskiego nie ma przedewszystkiem blagi, nie ma owego dandyzmu artystycznego w złym gatunku, usiłującego narzucić obłej przeciętności swoje aż nadto nieciekawe „ja”, a natomiast ukryć przed światem dobrze zakonspirowane tajemnice swego artystycznego powodzenia na „dziś”, bez żadnej, rozumie się, nadziei na przyszłe lata.

To, co nas w malarstwie Czyżewskiego głównie uderza — to wiecznie czarujący element młodości, to zamknięty w sobie świat własnej formy i stylu, to wreszcie zniewalająca siła koloru — w związku z tem, co chce być usilnie „malarstwem dla malarstwa“, bez żadnych pretensyj do zramolizowanej literatury. Linja sztuki Czyżewskiego nawiązuje bezpośrednio do linji Michałowskich, Kotsisów, Gierymskich, Rodakowskich, jednoczącej w sobie wszystkie godne uwagi wysiłki tradycji z nowoczesnością, wyborowe majsterstwo, żółkniejące na ścianach galeryj i muzeów, z błyskotliwością postimpresjonistycznej kolorystyki. Bo w Czyżewskim zawsze wyczuwa się dawnego impresjonistę. Nie był on nim we właściwym słowa tego znaczeniu, ale zawsze o nagromadzonym przez impresjonizm kapitale pamiętał i z niego w miarę potrzeby czerpał. Mimo swych obrazów wielopłaszczyznowych, mimo ekspresjonizmu i kubizmu na własny użytek — zawsze było i jest w jego malarstwie coś z entuzjazmu pierwszych impresjonistów, odkrywających z zachwytem nowy koloryt świata. Gra w jego obrazach świetnie scharmonizowaną gamą kolorów jasnych, ciepłych, gorących: czerwień i żółć — złoto wschodzącego dnia i purpura zachodu. Patrząc na salę Czyżewskiego na obecnej wystawie w I. P. S., nie możemy nie być mu wdzięczni za ów tak ludzki i tak naturalny optymizm, za jego wiarę w dobro Boskiego porządku na ziemi i za jego potakiwanie ludzkiemu szczęściu. Koloryt Czyżewskiego — to żywa propaganda rozświeconej pogody i urody życia.

Sztuka **Leopolda Gottlieba** znana jest u nas głównie z jego cyklu rysunków, przedstawiających wódzów i żołnierzy legjonowych z lat 1914 — 1918. Przebywając stale w Paryżu, Gottlieb mało się w kraju udzielał; czasami tylko można było spostrzec jego nieliczne zresztą malowidła na większych wystawach w Warszawie i Krakowie. W kołach artystycznych stolicy wspominano go czasami jako dobrego malarza, było jednak wiadomo, że znaczniejszej roli jako artysta w Paryżu nie odgrywał. Sądząc jednak z tego, co nam pokazano w I. P. S., Gottlieb był na dobrej drodze do urzeczywistnienia swego w sztuce ideału i gdyby nie przedwczesna śmierć, która go powaliła w sile wieku — ów malarz-legjonista zdołałby niewątpliwie wypowiedzieć się znacznie mocniej i bardziej interesująco, aniżeli w połowie swych dni. Ale i to, co zdołano w I. P. S. zgromadzić, przedstawia dorobek jak na nasze warunki niezwykle poważny i autentyczny. Zawdzięczał to artysta głównie ustawicznemu ocieraniu się o sztukę francuską, ustawicznemu korygowaniu swych malarskich środków i swej wizji twórczej w obliczu najwspanialszego malarstwa na ziemi, gdzie każdy kulturalny i inteligentny plastyk nie mało nauczyć się może. Gottlieb był przede wszystkim świetnym rysownikiem; gdyby pozostał w kraju, byłby zapewne tylko dobrym grafikiem, gdyż nasza ówczesna rzeczywistość plastyczna nie bardzo sprzyjała rozwojowi rzetelnego malarstwa. Wysiłki artysty, oparte na magji środków sztuki nowoczesnej, doprowadziły go jednakowoż do pogłębienia świadomości plastycznej w tym sensie, że w przekładzie elementów życiowych na język fikcji malarskiej zdołał po pewnym czasie uniknąć pokus powierzchownej dekoracyjności i łatwej stylizacji, które niewątpliwie obniżały poziom jego wcześniejszych prac. Jego „Portret córki“, obraz średnich rozmiarów (wyk. w r. 1932), jest najlepszym tego przykładem. Gdyby Gottlieb pozostawił w swej spuściźnie tylko ten jeden, jedyny obraz — to i tak przeszedłby zapewne do historii polskiej sztuki jako malarz rasowy i celu swego świadomy. Jest tu niemała doza poezji w owych tonach ceglanych i szarych, złotych i brunatnych na ciemnym tle, z którego postać portretowanej dziewczyny wypływa jakoś rytmicznie i miękko. Dzięki niezwyklej szlachetności materiału malarskiego w tym obrazie dzieło to może stanąć śmiało obok najlepszych, jakie dała nam sztuka nowoczesna w Polsce w ostatnim okresie.

Podobne problemy malarskie próbował rozwiązać artysta także w kilku innych obrazach z tych czasów — niezawsze jednak z tak dobrym skutkiem. Prym dierżą tutaj portrety, rzadziej kompozycje. Natomiast w żaden sposób nie można się pogodzić z serją jego obrazów o rozbielonej gamie tonów jasnych, przeważnie żółtych i seledynowych, gdzie rzucony tu i ówdzie silniejszy akcent kolorystyczny ma raczej znaczenie dekoracyjne, aniżeli kontrastowe — jako *pointe'a*, rozwiązująca barwny układ malowidła. Niektórzy z krytyków zachwycają się tym paryskim „smaczkiem”; dla mnie jest on tylko przykładem zgubnego oddziaływania niektórych chwytów ze znanego repertuaru „Ecole de Paris”.

Sztuka Jacka Mierzejewskiego, tego klasyka formizmu, wywierać zaczyna coraz to większy wpływ na młodsze pokolenie naszych malarzy. Już sam fakt, że wystawę w I. P. S. zorganizowano z inicjatywy... „Bloku Zawod. Art. Plastyków” (tego „Bloku”, który z taką nieufnością odnosić się zwykł do sztuki francuskiej), jest wielce znamieny. Wystawa Mierzejewskiego z inicjatywy „Bloku”! Mierzejewskiego, którego malarstwo jest najczystsza emanacją ducha i kultury malarskiej Francji — Mierzejewskiego, który w genialnem dziele Cézanne’a znalazł istotę i sens nowoczesnego stylu malarstwa stalugowego! Świat naopak? Nie — to tylko zwykły tryb i porządek rzeczy w procesie narastania świadomości plastycznej wśród malarzy, którzy mają już dosyć tego ustawicznego zakłamywania się na terenie współczesnej sztuki. Przeciw temu naturalnemu procesowi rozwojowemu nie pomoże żadna, najgorliwsza nawet agitacja naszych utytułowanych pseudo-autorytetów, tych szkodliwych a pyszałkowatych snobów, którzy ścierpieć nie mogą, że w centrali paryskiej, w tamtejszym świecie artystycznym, żadnej się na nich nie zwraca uwagi.

Malarstwo Jacka Mierzejewskiego powinno w całości dostać się do muzeum. Jest w tej jego sztuce nietylko stygmat czasu, dokument chwili, ale także wysoki cenzus wartości artystycznej pozaczasowej, niezależnie od wszelakiej mody i aktualności. Budowa obrazu przez kolor i łączenie tegoż koloru z formą w sposób niezwykle prosty i autentyczny, rzadko u nas widywana materia malarska o przedziwnej mocy sugestywnej, oraz fascynujące wprost wtapianie wyobrażonych przedmiotów w tło: — oto zalety tego malarstwa, wywołujące nieklamany zachwyt wśród specjalistów i kulturalniejszych widzów. Jakąż przedziwną wymowę posiada ów kolorystyczny układ szarawych, załamanych, jakgdyby lekką mgłą przesłoniętych, gdzie tu i ówdzie skrzą się mocniejsze akcenty czystych kolorów czerwonych, żółtych, brązowych. A te martwe natury i kwiaty o tonach ciepłych, subtelnie skonstrastowanych — jakąż wytworną zalecają się harmonją i jakimż smakiem w rozmieszczeniu walorów o przejściach łagodnych i spokojnych, jak w najlepszych płótnach holenderskich z XVII w. Bo jednym z głównych warunków dobrego obrazu jest spokój — spokój płynący z niczem niezamąconą równowagą wszystkich elementów, składających się na dzieło sztuki.

K. Winkler.

K S I A Ź K I

J. E. Skiwski: *N a p r z e ł a j*. Nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa, 1935, str. 256 + 2 nl.

Doskonała książka Skiwskiego, jedna z najciekawszych publikacji ostatnich miesięcy, pojawiła się i znikła z wystaw księgarskich prawie niepostrzeżenie. Stało się to zapewne z wielu powodów; nie będziemy tu wyliczać wszystkich „możliwych” przyczyn, wystarczą nam dwie, jeśli nie najważniejsze, to w każdym razie najbardziej charakterystyczne. Otóż przedewszystkiem zaszkodziło autorowi to, że jest pisarzem *b e z p o z y c j i*. Już nie należy do naszych młodych i obiecujących, a jeszcze nie stał się naszym znakomitym. Stracił szanse na uzyskanie akademickiej nagrody Młodych, a nie ma szans na Wielką Państwową. Nie miały kłopot z takim pisarzem bez rangi.

A — druga rzecz — jakże niepopularny gatunek literatury reprezentuje ta książka. Ani to powieść, ani zbiór wierszy, ani tom studiów literackich o naszych wielkich. Nie dowcipne feljetony i nie — żarliwe apostołstwo. Książka pełna myśli, na to zgoda, ale i wymagająca myśli, prowokująca do namysłu, a to już trudniej o zgodę.

Są jednak w książce tej ustępy, które powinnyby zainteresować jeśli nie ogół to przynajmniej jednostki, „fachowców”. Każdy np. kto rozmyślał nad skomplikowaniem zagadnieniem krytyki literackiej, nad jej istotą, możliwościami i powołaniem, z prawdziwym pożytkiem i satysfakcją przeczyta odnośne wyrzuty Skiwskiego. Przytoczymy je na próbę.

„Chodzi zawsze o to, żeby znaleźć właściwe słowo. Pisać o pisarzu. Można dużo pi-

sać o pisarzu. I rozsądnie, i do rzeczy, i owo wykryć, oświecić, wytłumaczyć, porównać, wykazać, opisać, streścić. I to jest robota konieczna i pożyteczna. Owszem.

A jednak krytyka zawsze będzie pociągała formuła, Schlagwort. *Ż e t e n* — to jest właśnie t o. Niech się potem kłóć, niech mówią, że to nieprawda, że to nie jest robota „serjo”, niech inni wynajdują formułę lepszą, soczystszą, głębszą. To nie mój kłopot. To znalazłem — i z tem do was przychodzę”.

Oto charakterystyczna próbka stylu Skiwskiego. Jak to od jednego zdania poznać świetnego pisarza! Co za żywość i bezpośredniość wypowiedzi, jaka prostota w ujmowaniu spraw zawiłych i subtelnych, jakie bogactwo wystowienia i celność formuły. W krótkich słowach autor doskonale charakteryzuje siebie, swój ideał i program krytyczny. Reprezentuje on i głosi *k r y t y k ę n a z y w a j ą c ą*. Krytyk taki nazywa kierunki, pisarzy i dzieła, i poprzez nazywanie porządkuje chaos zjawisk literackich. „Produkując celne i trafne formuły, „nazwy”, opanowuje on intelektualnie rzeczywistość literacką, wprowadza jasność, ład i hierarchję do „twórczego” zamętu, i w tem zawiera się kulturalny sens jego pracy.

Takich odkrywczych „nazw” jest w książce Skiwskiego sporo. Zacytujmy jedną z najbardziej esencjonalnych. „Żeromski zaraził nas miłością, z k t ó r ą n i e m o ż n a ż y ć; Prus dał nam miłość, b e z k t ó r e j ż y ć n i e m o ż n a” (str. 100). Niestety, nie znajdujemy w książce wielu artykułów i recenzji, które pamiętamy z czasopism, głównie z „Wiadomości Literackich”. Przypomnijmy choćby świetną ocenę „Podróży do Indyj” Goetla („sublimowany skau-

ting"), króciutką a mistrzowską charakterystykę Pawlikowskiej (w „Teatrze”), wielokrotnie, a zawsze odkrywcze podkopy pod Boya i w. in. Zamiast tego dostaliśmy szereg artykułów zasadniczych, traktujących o poważnych sprawach społecznych i kulturalnych. Może tak być musiało, ale szkoda tamtego pominiętego materiału.

Przytoczony ustęp teoretyczny jest wstępem do charakterystyki Nowaczyńskiego. Ta charakterystyka zajmuje w dorobku Skiwskiego miejsce dość odosobnione. Uderza w niej „planowość” roboty, pisanie pod kontrolą do najdrobniejszych szczegółów wypracowanego pomysłu. Może dlatego wydaje się ona mimo świetnych spostrzeżeń jako całość trochę wysiłona i sztuczna. Ale to wyjątek, bo wogóle metoda tego krytyka jest inna. Skiwski zazwyczaj nietyle wypełnia konstrukcję ile snuje swobodnie nasuwające się skojarzenia i dygresje. Formuły, „nazwy” produkuje on żywiołowo, en masse. To jest jego siła i jego pasja. Ale zarazem słabość. Bo wszystko co pisze jest fragmentaryczne, szkicowe. (Ten brak przemyślanej konstrukcji i szkicowość ze szczególną jaskrawością uwiadcniają się w znanym „antybronzowniczem” studjum o Żeromskim). Takie artykuły jak „Prus a dzień dzisiejszy” lub „Nieco o humorze” „Wiecznego zmartwienia” nie mają właściwie początku ani końca. Inaczej krytyka Boya („Życie ułatwione”), ale pamiętajmy, że Skiwski pisał o Boyu dobre kilka razy, za każdym razem pomysłowo i odkrywczo i — za każdym razem inaczej. Nie zachodziły tam sprzeczności, ale nie sumowała się też z fragmentów całość. Padło wiele określeń, nazwań, f o r m u ł, ale nie zarysowała się szeroka perspektywiczna k o n s t r u k c j a. A może zalew niepowiązanych formułek, „nazw”, choćby najtrafniejszych i najsztudnijszych raczej wzmacnia zamęt w pojęciach, niż go likwiduje? Niewątpliwie zaś każda wielka krytyka dąży do sprowadzenia wielobarwnych zjawisk (właśnie urzekających swą wielobarwnością „nazwyczaj”) do wspólnego mianownika, do konstrukcji. Metoda Skiwskiego jest odmieniana. I jego nieliczne szersze uogólnienia są upiorne w swej fantastycznej dziwności (por. w zbiorze szkic „Gawęda w nowym przebraniu”). I w tem widzę achillesową piętę tego znakomitego krytyka.

Skiwski stoi poza walczącymi obozami literackimi w Polsce. To brzmi jak komunał, a naprawdę nie jest pozbawione głębszego znaczenia. W dobie emancypowania się „czystego malarstwa”, „czystego teatru”, „poezji integralnej” i t. p. wyemancypowała się rów-

nież krytyka. Z jednej strony mamy szereg teoretyków, formułujących programy szkół literackich, torujących drogę nowym prądom — Mochnacki, Chmielowski, Matuszewski, Peiper, częściowo Pomirowski i Zawodziński, z drugiej — niezależnych wolontariuszów krytyki, Brzozowskiego, Irzykowskiego, częściowo Millera, teraz Skiwskiego. Pojawia się nowy typ kulturalno - społeczny: czytelnik, który awansuje na krytyka.

Ale Skiwski nie jest bezinteresownym „nazwyczajcem”, ma on nadto własne ideały, nawet swój prywatny program literacki. Gani w literaturze współczesnej resztki wieszczbiarstwa i przeżytki dydaktyzmu, nie odpowiada mu naturalistyczna redukcja do „człowieka fizjologicznego” ani formizm, poetycki kult słowa dla słowa. „Przy całym bogactwie naszej literatury zbywało jej na jednym, na wielkiem studjum natury ludzkiej... Brak nam tradycji wielkiej szkoły duszoznawstwa, która jest podstawą każdej wielkiej literatury” (str. 106 i 108). Z przytoczonych zdań jasno widać, o jaki typ literatury autor walczy. Ideałami orientacyjnymi tego typu są pisarze w rodzaju Balzaca, Dostojewskiego.

Zasadniczo wolno krytykowi odrzucić choćby całą współczesną literaturę (Skiwski wspomina o wyjątkach, z nazwiska wymienia tylko Dąbrowską; nb. mowa tu o polskiej współczesności). Istnieje jednak moralny obowiązek wylegitymowania takiej sumarycznej oceny. Prawo sądu nie podlega dyskusji, trzeba jednak na nie zarobić. Ale Skiwski tak lekceważy np. dążenia i osiągnięcia dzisiejszej poezji polskiej, że nie chce mu się w niej babrać. Tak gruntownie lekceważy, że nawet wyraża — zdaleka — formalne uznanie. A na serjo różnie bez pardonu, bez subtelniejszych rozróżnień, bez wnikięcia w mechanizm tej „małej” literatury, co dopiero dawałoby prawo do bezwzględного sądu. I to jest rażące.

Niejedno dałoby się zakwestjonować w „programie” literackim Skiwskiego. Postulat problematyki psychologicznej (wiercenia w złożach bez dna) wydaje się cokolwiek spóźniony. Analiza psychologiczna doszła do szczytu u Prousta, Joyce’a, Gide’a i przesiłiła się — obserwujemy w literaturze nawrót do charakterów prostych, nieskomplikowanych. Punkt ciężkości przesuwają się gdzieindziej, w różne strony, ale wyraźnie od problematyki psychologicznej.

Skiwski zdaje się przeceniać Mauriaca. Istotnie, „Kłębowski zmij” jest znakomitą powieścią, ale trudno uznać je za nową Iliadę. Czy nie mamy tu w gruncie do czynienia z nową odbitką starej kłiszy? Tradycjo-

nalizm Mauriaca (jak i niższego talentu, choć równego powodzeniem André Maurois) w zakresie t. zw. powieści psychologicznej przekracza daleko granice, w których uznajemy go za zdrową i chlubną kontynuację pozycji osiągniętych.

Szkic o „Wielkiem zmartwieniu” przechodzi mimo istotnych, rewelacyjnych walorów powieści Dąbrowskiej (odrodzenie techniki narracyjnej i postawy epickiej), rozwodzi się zaś nad obojętnymi szczegółami, które w czytelniku budzą znacznie mniejszy entuzjazm niż w Skiwskim. Skiwski przecenia wagę nagromadzonego w powieściach materiału psychologicznego; przecież jest tego wszędzie pod dostatkiem i w tak przednim gatunku, że zdążyliśmy się zblazować. Nie imponuje nam Weysenhoff jako duszoznawca, „Podfilipskiego” podziwiamy ze względów czysto artystycznych, jako majstersztyk t. zw. „przedstawienia ironicznego”.

Skiwski powiada, że pisarze w typie Weysenhoffa „żyli więc żyć będą”. Z dalszych rozważań wynika, że mutatis mutandis to samo cehuje i kreacje autora „Podfilipskiego”. Obiad w Ustroniu trwa... Ale tutaj Skiwski popełnia nieostrożność, może nawet niekonsekwencję. Ledwie odrzucił naturalistyczną redukcję do „człowieka fizjologicznego” a już sam redukuje istotę ludzką do „człowieka naturalnego”, tego problematycznego wynalazku psychologów. Cóż bowiem znaczy innego ponadczasowa wartość wyników badań psychologicznych jak nie to, że z „istoty” swej człowiek jest niezmienny, ahistoryczny.

Prócz programu literackiego Skiwski reprezentuje jeszcze pewną postawę ideową i z nią przychodzi do charakteryzowanych pisarzy. To jest już uświęcone tradycją, że krytycy „samodzielni”, działający poza obzami literackimi (Brzozowski, Irzykowski), wytwarzają sobie a raczej dotwarzają ideologię. Ale zwykłe ideologii tej czegoś brak, jest pozorna, od razu poznać że powstała drogą jakiegoś cudownego samoródtwa...

Wiem, że to co tu piszę jest brzydką insynuacją, ale nie mogę się powstrzymać od chęci sprowokowania Skiwskiego. Jakże dziwne wędrówki przechodził ten pisarz: od nacjonalizmu do katolicyzmu, od katolicyzmu w stronę Boya, ze strony Boya na stronę Irzykowskiego, od klerków do...? Ani myślę wytknąć Skiwskiemu zmienności poglądów (byłby to zarzut tani i prostacki), idzie mi o co innego. Zdaje się, że elementarnem, żywiołowym i nieprzecieżonym uczuciem krytyka jest uczucie niezadowolenia, braku, a więc i wszelki opis, wszelka charakterystyka musi

skończyć się wytknięciem dziury w całości. I dlatego potrzebna jest ideologia, ideologia złożona z dziur...

Przykłady? Są. Polemizując z katolicyzmem i boyizmem Skiwski szeroko rozwodzi się nad tem, że światopoglądy te w konsekwencjach musiałyby ogromnie zubożyć literaturę. Ten argument nie jest naturalnie rozstrzygający, ale samo wysunięcie go charakteryzuje autora i demaskuje go jako ukrytego w ideologu — krytyka literackiego... Skiwski krytykuje Boya, katolicyzm i marksizm za to, że są niewystarczające, jednostronne. Komunizm wynosi nadewszystko ideę sprawiedliwości społecznej, boyizm walczy z obłądą, przekreśla wszelki idealizm, wszelkie normy etyczne, katolicyzm dba o dusze ale nie pamięta o urzeczywistniającym się duchu obiektywnym i nic nie chce wiedzieć o świecie pozaludzkim. Tak, każda ideologia jest jednostronna, ciasna i w stosunku do bogactwa możliwości — uboga, ale z drugiej strony bez tego „ubóstwa” nie mielibyśmy wygóle żadnych „bogactw” kulturalnych.

Główny wynalazek Skiwskiego to „religia kultury”. Kultura wisi nad nami jak skarb, skarb do zdobycia. Należą tu wielkie czyny, doskonałe dzieła sztuki, piękne i głębokie myśli. Byłe więcej i lepiej! Napiecie walczących dzisiaj prądów duchowych musi w przyszłości się zmniejszyć, uciszyć, wyrównać i już teraz możemy zwracać wzrok i wyobraźnię w tamtą stronę, w kierunku twórczej syntezy.

Nie mam bynajmniej intencji parodjowania Skiwskiego, choć przyznaję, że trudno mi podzielić jego nadzieje, i wydaje mi się, że można przewidywać raczej wzrost ekskluzywizmu w dziedzinie kultury niżeli jakąś syntezę. Wogóle zaś „religia kultury” jest klasyczną ideologią bez ideologii, klasycznym wytworem krytyka typu obecnego (samodzielnego i odosobnionego), który patrzy na literaturę spoza jej aktualnego frontu.

Na zakończenie należy wspomnieć o końcowych artykułach z „Naprzelaj”, roztrąsających przyszłość kultury polskiej. Najciekawszą i najcenniejszą z wypowiedzianych tam myśli jest zwrócenie uwagi na postępujący proces demokratyzacji i jego ogromną doniosłość. Nasi społecznikujący literaci mówią wiele o nędzy, o bezrobociu, faktach nadzwyczaj ważnych i tragicznych, ale jednak wtórnych, zewnętrznych i przejściowych. Stąd wywodzi się sentymentalny egalitaryzm, płytka i szkodliwa fikcja. Skiwski słusznie wyśmiewa frazes chłopomanów o dekadentyzmie inteligencji miejskiej; niewątpliwie inteligencja ta u nas posiada dość sił ży-

wotnych i twórczych, aby wchłonąć w siebie napływające elementy z młodszych warstw społecznych bez narażenia poziomu kultury polskiej.

Wszystkie te sprawy wymagają szerszego rozwinięcia; spodziewamy się tego po autorze. Narazie ograniczymy się tylko do jednego marginesowego znaku zapytania. Skiwski słusznie podkreśla nędzę humanistyki polskiej, tłumacząc to zjawisko napływem elementu chłopskiego, pozbawionego tradycyjnego zmysłu kultury. Bo humanista to „typ wielkiego smakosza bogactw, zawartych w dziejach wciąż przetwarzającej się ludzkości” (str. 251). To zdanie wymaga stanowczej korekty. Nigdy nie uznamy za ideał twórczego humanisty — Stanisława Wasylewskiego. Smakosze, wytworni i subtelni dyletanci są bardzo cenni i mili, ale prawdziwa wielka humanistyka nie smakuje lecz walczy o ideały, o mity, pasuje się z przeszłością, opanowuje ją twórczo i przezycięża. A to jest przyczyną nędzy dzisiejszej humanistyki polskiej, że nie ma ideałów, że jest warsztatem, obracającym się siłą nadanego przed dziesiątkami lat rozpędu, siłą inercji. Chłopi tu nie zawiniли.

Kto wie, czy w tej różnicy zdań w kwestji raczej ubocznej nie wyraża się pewne przeciwieństwo o charakterze i znaczeniu zupełnie pryncypjalnem?

*

Jerzy Liebert: Pisma. Tom pierwszy. Poezje. Warszawa, 1934. Nakładem księgarni F. Hoesicka. Str. VIII + 247 + V.

Niepodobna mówić, pisać o tej książce bez wzruszenia. Leży przed nami zbiorowe wydanie wierszy autora nieżyjącego, a więc twórczość już nieodwołalnie zamknięta i raczej nawet przecięta niż zamknięta. A przecież to tylko pozór i nieprawda, bo dzieło Lieberta żyje i rozwija się nadal mimo i po śmierci swego twórcy, bo oto bez żadnej reklamy, bez nacisku z niczyjej strony poezja ta dzięki utajonej sile wewnętrznej rozszerza stale choć powoli krąg swego oddziaływania, przenika do coraz liczniejszych kół czytelniczych, nieprzerwanie wznosząc się w hierarchji literackiej. Świadectwem tej ewolucji są rozliczne artykuły, rozprawy i nawet monografie o Liebercie, których liczba wzrasta z roku na rok. Doprawdy, tajemniczymi drogami posuwa się sława poetów.

Zbiorowe wydanie pism Lieberta jest dobitnem świadectwem pietyzmu, żywionego dla poety przez koło przyjaciół, wśród których żył i działał. Nie wiemy, co wykazałyby

ścisła filologiczna analiza wydanego tomu, na oko jednak przedstawia się on imponująco i okazale. Nieujawniony wydawca zasługuje na najwyższe pochwały za nadzwyczajną staranność i pracowitość oraz widoczną w układzie tomu inteligencję i wczucie się w twórczość poety. Specjalnie cenne są zestawienia końcowe, ujmujące dorobek twórczy Lieberta w porządku chronologicznym, z podaniem mniej lub więcej dokładnej daty powstania utworów. Dzięki temu mamy nareszcie możność dokładnego i pełnego poznania spuścizny poetyckiej autora „Guseł” i możemy skontrolować popularne, obiegowe sądy o poecie, jak zwykle symplifikujące i fałszujące rzeczywistość duchową.

O Liebercie mówi się potocznie z sympatją, z żalem nad „młodo zmarłym” poetą. Jest w tem więcej pomniejszającego pobbłażania niż istotnego rozumienia wielkości. Mówi się z rozrzewnieniem o poecie religijnym (w dzisiejszych zmaterjalizowanych czasach) i o biednym gruzliku, który nie zdążył „rozwinąć skrzydeł”. Opinie te są wręcz irytujące. Dobrzy, współczujący, rozsądni ludzie zapominają o tem, że świat poetycki Lieberta jest niezwykle bogaty i różnorodny, że nie wszystko w nim można podciągnąć pod kategorię pobożnych kanticzek i elegijnych introspekcji gruzlika. Obok tego popularnego Lieberta jest jeszcze Liebert inny, a raczej są inni. A więc np. autor „Rozmowy o Norwidge”, „Muzy zaścianka” i „Piosenki do Warszawy”, o dziwo, humorysta i satyryk o ciętym dowcipie. Wymienione trzy utwory reprezentują trzy różne style satyryczne, i wszystkie są mistrzowskie. Niemniejszym mistrzem okazuje się poeta w kreśleniu obrazów przyrody, nietyle tych, które przepaja tuwimowska witalistyczna dynamika, ile raczej w przymglonych, a prztem cudownie konkretnych, swoście „liebertowskich” pejzażach:

Przestrzenie, o przestrzenie!
Jesieni niepojęta —
Owoce i obłoki,
Samotność i zwierzęta.

„Przekrój fantastyczny” i „O rzeczach” ukazują nam znowu Lieberta z innej strony, jako poetę groteski, odkrywcę dziwności świata; „Gorączka” objawia w nim sugestywnego odtwórcę stanów podświadomych. Możemy tu łatwo nakreślić linje paralelczne, ukazać związki z innymi poetami współczesnymi, nie umniejszając jednak wartości wymienionych utworów — wartości, jakie mają rzeczy skończone i doskonałe. Jakież jednak znaleźć paralele dla takiego dziwo- i cu-

dotworu jak liryczna ballada „Jurgowska karczma” lub zgoła epicki poemacik „Moses Krumholz”. Humor, dowcip, przyroda, groteska, poezja stanów podświadomych, liryczna ballada i epika — doprawdy, niebardzo to przystaje do popularnego wyobrażenia gruzlika, wyśpiewującego melancholijne kantyczki.

Wbrew popularnej opinii o przedwczesnie zmarłym poecie, który nie zdążył „rozwinąć skrzydeł”, trzeba stwierdzić, że Liebert rozwijał się w ciągu swego krótkiego życia niesłychanie szybko. Intensywność wewnętrznego życia autora „Guseł” nasuwa myśl, że gwałtowne tempo rozwoju pozostawało w ciemnym, tajemniczym związku z zawieszoną nad poetą śmiercią. Czytelnicy „Drogi” mają w pamięci studjum Romana Kołonieckiego (z czerwca 1932 roku), kreślące etapy rozwoju duchowego człowieka. Dorzucmy do tego kilka uwag o etapach kształtowania się i dojrzewania artysty.

W rozwoju Lieberta jako poety możemy wyróżnić cztery stadja. Stadium pierwsze obejmuje większość wierszy młodzieńczych, opublikowanych po raz pierwszy w wydaniu zbiorowym. Cechuje je naogół ubóstwo i nikłość środków artystycznych. Ale właśnie dlatego niektóre wiersze, jak np. nadzwyczaj trafnie wysunięte na czołowe miejsce „Czekanie”, osiągają prawie niemożliwość, cud: czysty liryzm, pełną bezpośredniość wyrazu, prostą wypowiedź serca. Przeważają jednak wpływy, zapowiadające pierwszą manierę klasyczną, o zabarwieniu sentymentalno-romantycznym, która przejawia się np. w „Dialogu między poetą i panną” i często w cyklu „Druga ojczyzna”.

Jeden z wierszy tego cyklu nazywa się „Koncha, perły i słowik”. Tytuł ten w swoim doborze leksykalnym jest typowy. Powtarzają się teraz bezustanku róże, ponsy, turkusy, błękity, muszle i lży. Zaznacza się silnie wpływ „Srebrnego i czarnego” Lechonia, widoczny zwłaszcza w upodobaniu do efektownych, paradoksalnych antytez: „Na ziemi nieba szukam w Twych oczach naprzódno, — Na niebie ziemi, w której leży Twa ojczyzna” (str. 81).

W okresie następującym, obejmującym część wierszy z „Guseł”, poeta wyzywa się „rózowej” sentymentalnej maniery, opanowuje (nie bez wpływów Tuwima) arkana techniki poetyckiej „Skamandra”. Bez tej szkoły poetyckiej nie mielibyśmy tak przepysznych stylizacji jak „Jurgowska karczma”, „Rozmowa o Norwidzie”, „Na lipę czarno-leską”, „Kolenda”, „Św. Katarzyna Genuęń-

ska”. W szybkim tempie Liebert staje się świadomym swego rzemiosła artystą słowa.

P o o k r e s i e s t y l i z a c y j — o k r e s s t y l u. Wyczuwamy ten osobliwy, indywidualny, duchowy i artystyczny styl Lieberta już w młodzieńczym wierszu „Lwów”, kreślonym niepewną ręką dwiętnastoletniego chłopca. Dokonywa się przejście od klasycyzmu do baroku, usprawiedliwiające zestawienie z Sępem-Szarzyńskim. Widać to przejście wszędzie, w nowej tematyce, w rosnącym pierwiastku dramatycznym (niektóre wiersze są dialogami, inne dramatycznymi monologami), w obfitości antytez i nagromadzeń w języku odbarwionym ze zmysłowej konkretności, w kompozycji „atektonicznej” (otwartej) i w „relatywnej jasności” t. zn. zaciemnieniu, niezrozumiałstwie (terminologia przejęta od historyka sztuki Wölfflina). Wymieńmy kilka reprezentatywnych arcydzieł: „Dzwony”, „Słowacki”, „Veni Sancte Spiritus”, „O czulej nocy”, „Lisy”.

Nie mamy tu miejsca na szerszą analizę artyzmu Lieberta; musimy zadowolić się kilkoma zaznaczeniami. Wogóle zaś analiza taka jest zadaniem ważnym i wdzięcznym; naskicowany powyżej rzut wskazuje, jakie perspektywy otwierają się dla czytelnika tej poezji. Wskazuje też chyba na to, że popularne „ujęcie” Lieberta jest błędne i płaskie. Mówi się o nim z sympatją i żalem jako o obiecującym młodzieńcu, a nie widzi się i nie rozumie, że to był pomiędzy nami i pozostał w swej twórczości dla nas — wielki poeta.

*

Jerzy Putrament: W c z o r a j p o w r ó t.
Wilno, 1935; nakładem Zw. Zaw. Literatów
Polskich. Str. 30 + 2nl.

Debiut młodego wileńskiego poety wprowadza nas w atmosferę i tendencje poetyckie „idącego Wilna”, dobrze już zapisanego w annałach poezji współczesnej. Młodzi poeci wileńscy, Miłosz, Zagórski i Bujnicki, tworzący t. zw. grupę Żagarów, opierają się na zdobyczach awangardowej szkoły krakowskiej, odrzucają pod jej wpływem tradycyjną strofikę i przejmują od niej skomplikowaną, swoistą technikę metafory. W tej nowej, przełamującej harmonijny klasycyzm „Skamandra” formie, wyraża się nowa treść, gorzki smutek pokolenia, zawieszonego „między przeszłością a przyszłością”, tkwiącego w beznadziejnej pustce, w pauzie, brzemiennej w nieuniknione burze i katastrofy.

Te akcenty ideowe odzywają się również w poezji Putramenta:

Południe jest tak gorące, że spalone na
(niebiesko powietrze
osiada na siwem zbożu, budząc w niem le-
(niwe dreszcze.
Kiedy upadnie wiatr, niosący słodką woń
(żółto-zielonego łubinu
nad wodą rozgrzaną, która w zamyśleniu
(do nieba się uśmiecha
można raczej wyczuć niż usłyszeć echa
odległych gromów, dudniących bez przer-
(wy,
głucho, jak daleka artylerja,
osłaniająca natarcie, które się zaczyna.

Przytoczony fragment jest równocześnie charakterystyczną próbką stylu tej poezji. Jakże ona niemuzykalna! Rymy nikłe i dalekie, forma metryczna swobodna, nieuregulowana, stałe enjambement — wszystko to sprawia, że zacytowany ustęp brzmi prawie jak proza, zlekka tylko skandowana. Nie jest to styl odpowiedni dla motywów opisowych, pejzażowych (świadczą o tem takie chybiące w całości mimo pięknych szczegółów wiersze jak „Wieczór” i „Pelnia lipcowa”), ale zato w innym zakresie, w rozwinięciach wątków narracyjnych, szorstka surowość tego stylu, przełamująca potoczną dźwięczność „mowy związanej”, jest cenną i trwałą zdobyczą. Widać to najlepiej w drugim ze „Snów pana dyrektora”, jednym z najświetniejszych ustępów książki. Mamy tam wyrazistą choć krótką linię fabuły, mamy konkretną sytuację, przemawiającą silnie wizyjną, nierealną grozą, nie przybudówkami metaforycznymi. Poprzez słowa tego wiersza jak przez szklaną przezroczystą szybę patrzymy na opowiedziane rzeczy i sprawy. Analogicznego przykładu dostarcza szkicowy lecz sugestywny opis „białej śmierci”, wpleciony w pięknie narysowany krajobraz arktyczny (końcowy fragment „Teogonji”).

Dłużej posuwać się nie mogli. Drogę myliła
(stalowa noc.
W lodach wyrwy, kry wysoko, poranili
(dłonie o krawędzie ostre.
Jedzenia nie było. Wołali. Głosy odeszły
(i zagasły po załomach błado drząc.
Sen osnuł oczy, ukazując drogi do ojczyz-
(ny przesadnie proste.
W parę godzin po ich śmierci na niebie
(wykwitł ogromny ognia łuk.
Rosną, biegną różowe kolumny, purpura
(zamyka je w migoczącą klamrę,
aż zgóry wybucha fontanna brylantami
(kropki — to Bóg

w pustyni śniegów dla nikogo rozpala
(światło polarne.

Z obu tych czołowych fragmentów książki widać jak ciekawe perspektywy otwiera ten nowy styl poetycki, wyzwolony z tradycyjnej śpiewności i wyzwalający się z gorączki metaforycznej. Poprzez nowe zdobycze otwiera się droga do o d n o w i e n i a p o e z j i n a r r a c y j n e j, do odrodzenia epiki.

Zaczątki tego nowego stylu znajdujemy w „Poemacie o czasie zastygłym” Miłosza; Putrament realizuje zawarte tam a niewyżytkane możliwości. Podobnie, z „Ostrza mostu” Zagórskiego daje się wywieść charakterystyczny i pięknie rozwinięty w omawianym zbiorze świat motywów egzotycznych. Należą tu: „Rimbaud”, fragmenty „Teogonji” i piękne „Księżycowe noce”, upoetyzowane chłopięce marzenie o pełnej grozy i tajemnicy Afryce Liwingtona’a i Stanleya. Ale nie znajdziemy u Putramenta efektownej i płytkiej „ucieczki od kultury” — po krótkiej chwili fatamorgana świata egzotycznego zostaje zdemaskowana jako fikcja, jako nierealny s e n chłopca i złudzenie poety. I znów: wbrew narzucającej się pokusie nie dochodzi do ucieczki od życia w sferę „rzeczywistości śnionej” — sen jest tylko pretekstem, środkiem symbolicznym uzmysławiającym wyrzuty sumienia („Sny pana dyrektora”). W tem bezwzględnie u z n a n i u r z e c z y w i s t o ś c i ujawnia się głęboka, rzetelna postawa moralna poety. Nic z roztkliwienia, z ciepłego sentymentalizmu. O śmierci zbłąkanych w polarnym kregu pod różnych, o głodnych dzieciach gryzących cegły mówi się tu z prostotą, ze spokojem sprawozdawcy, z męską surowością. Charakterystyczny jest wiersz „Słowa powrotu” wyrażający sentymentalne w gruncie przywiązanie do nikłych akcesoriów życia, które należałoby raczej wykreślić z pamięci. Autor wyraźnie wsiądnął się tej słabości, pragnie ją omówić, wyrazić pośrednio i przez to wpada w enigmatyczność, w niezrozumiałość. „Rzucić je, minąć jak drzewa narznięce opodal... tak samo trudno sto lat temu i dziś”. O własnym życiu wewnętrznym mówi się tutaj w bezokolicznikach, w przekreślających egotyczną wyniosłość i odrębność bezosobowych formułkach. Wstyd uczucia!

Zgodnie z duchem „szkoły” Zagarystów, autor często uderza w strunę społeczną. I tu wychodzi najaw pewna mniej przyjemna cecha młodej poezji wileńskiej. Tak np. w wierszu „Warszawa” autor nie umie przezwyciężyć pokusy wprowadzenia starych i

opornych skrótów i szablonów, w „Wigilji” po litanii tanich bluźnierstw przychodzi pointa, zapowiadająca nadejście „czerwonego Mesjasza”. Kiedy indziej natykamy się na takie z doskonałą powagą wypowiedziane komuny jak: „nie wiedział, że szczęście jest pożądanym”, „trwać to znaczy mijać” i t. p. To wywołuje przygnębienie i nasuwa myśl, że przecież u młodych poetów wileńskich (i może nie tylko wileńskich) świadomej, zrationalizowanej woli artystycznej, wspartej o męską, szlachetną i rzetelną postawę moralną, nie towarzyszy równie świadoma i rzetelna kultura intelektualna. Ale o tem trzeba pisać osobno, szerzej, opierając się na obfitszym materiale.

I niezależnie od wyrażonych przy końcu zastrzeżeń, trzeba uznać „Wczoraj powrót” za debiut interesujący, udany, za piękne świadectwo dużej kultury literackiej i rzetelności moralnej poetów „idącego Wilna”.

L. Fryde.

Florjan Znaniecki: *Ludzie teraz i niejsi a cywilizacja przyszłości*. Książnica - Atlas, Warszawa — Łwów, 1935.

Charakter przełomowy przeżywanych przez nas czasów rysuje się w sposób tak dalece wybitny, że dostrzega go nawet mało wyostrzony zmysł obserwatorski. I to zgoła bez perspektywy czasowej — uważanej niemal powszechnie za wymóg konieczny orzeczeń diagnostycznych w zakresie zdarzeń t. zw. humanistyk. Tak bardzo potężna jest wymowa faktów.

To też syntetycznego ujęcia kryzysu współczesności próbowali liczni myśliciele i uczeni, — i jeszcze liczniejsi — niedouczeni. Od czasu ukazania się głośnego dzieła Spenglera o „Upadku kultury Zachodu” (Untergang des Abendlandes, I wyd. w 1918) pojawiło się mnóstwo prac, które poruszają to palące zagadnienie w sposób mniej lub więcej zbliżony do naukowego, mniej lub więcej interesujący i głęboki. Liczba tych książek rośnie w dalszym ciągu. Obok „patentowanych” doktrynerów, fantastów, umysłów ciasnych i mętnych, które zupełną dowolność teoretyczną w snuciu swych wywodów łączą z nader przejrzystymi nieraz aspektami praktyczno-politycznymi, — rzadko tylko zauważyć można próbę możliwie obiektywnego podejścia do zagadnienia. Z dzieł najnowszych wymienimy tu: Förster F. W.: „Weltkrise und Seelenkrise”, Jaspers K.: „Die geistige Situation der Zeit”, oba wydane w Berlinie w 1932 r., Spasowski W.: „Wyzwo-

lenie człowieka” — Warszawa 1933, Henryk Decugis: „Le destin des races blanches”, Paryż 1935.

Punktem wyjścia dla rozważań nad profilem naszych czasów bywa najczęściej kryzys ekonomiczny, którego skutki odczuwa każdy — w przeciwstawieniu do kryzysu moralno - umysłowego. Takie nastawienie, zrozumiałe ze względu na panekonomiczny pogląd współczesności na świat i życie, takie nastawienie wyrzuciło z niezwykłą plastyką rozwiązanie: *z m i e n i ć s y s t e m*, a wszystko pójdzie dobrze. Aspekt ten jest tak wyraźnie powierzchowny, że zbędnym wydaje się dłużej nad nim zatrzymywać. Hipostazowanie systemu kulturalnego, oderwanie go od ludzi jest błędem, rodzącym dalsze w postępie geometrycznym.

Spółeczność — to podstawa, od której należy rozpocząć rozważania. W moim krótkim szkicu p. t. „Dysonans kultury”, ogłoszonym w *P i o n i e* (Nr. 5 z b. r.), poruszyłem to zagadnienie. Próbowałem wskazać na niewiele reprezentatywnych przykładach, że ekshibicje i wykołajenia współczesnej kultury mają swe źródło przede wszystkim w dysproporcji, jaka zachodzi między wysokim poziomem technicznym w naszych czasach, a barbarzyństwem moralnym jednostek. (Ten aspekt zwykło się często podkreślać w przeciwstawieniu amerykańizmu i yogizmu Hindusów). Ze stwierdzenia faktu — chyba niezbitego — dysonansu wspomnianego — wynika doniosła dyrektywa praktyczna. *Z m i e n i ć* trzeba *c z ł o w i e k a*, ukształtować go — w miarę możliwości — tak, by zdolny był zachować równowagę duchową mimo szybkiego tempa życia współczesnego. Tak zatem rysują się tu trzy grupy zagadnień: 1) jaki to mamy materiał ludzki? 2) jakie postulaty wytknąć mamy dla jego ukształtowania duchowego? i 3) jakimi środkami do tego zdążać?

Temi właśnie problemami zajmuje się prof. Florjan Znaniecki w niedawno wydanej książce pod tyt. „Ludzie teraz i niejsi a cywilizacja przyszłości”. Książka ta licząca blisko 400 stron jest — jak nas informuje autor — zarysem obszerniejszego dzieła, które ma być wykończone w roku przyszłym i wydane w języku angielskim. Ten charakter „zarysu” tłumaczy też pewną szkieletowość, lakoniczność wywodów. Autor w szerokich linjach rzuca jakby pierwsze kontury, rusztowanie pod przyszły gmach.

Książka obejmuje dwie części. Pierwsza nosi tytuł: „Możliwość nowej cywilizacji”, a druga: „Ludzie teraz i niejsi”. Prof. Znaniecki podkreśla sam charakter naukowy jedynie części drugiej, odróżniając filozofję i wska-

zania praktyczne z jednej — a naukę z drugiej strony.

Znacznie od pierwszej obszerniejsza część druga daje typologję społeczności. Zwykle posługiwano się w tej kwestji kryterjami antropologicznymi lub psychologicznymi (charakterologicznymi). Prof. Znaniecki, autor dwutomowej „Socjologii wychowania”, obrał inną podstawę podziału. Jakby w myśl słów Krasińskiego: „Młodość życia jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot całego”, wskazuje autor na przemożny wpływ w kształtowaniu osobowości — kręgów, w których jednostka spędza dzieciństwo i młodość. Niewątpliwie, taki aspekt na problematykę jest równouprawniony z innymi. Cenne też mogą być wyniki tą drogą osiągnięte. Jak najstaranniej jednak strzec się musi badacz, by nie przenosić mocy, ważności tych rezultatów, z natury swej wyraźnie jednostronnych, na platformę też, pretendujących do rozstrzygnięcia całego życia z agadnieniem. Mając na uwadze fakt, że na ukształtowanie się osobowości, obok kręgów wychowawczych (w sensie najszerszym — zgodnym z terminologją prof. Znanieckiego), wpływa cały szereg innych czynników, trudno nam się będzie zgodzić z twierdzeniem autora nieco zanadto skrajnem: „Organizm tylko umożliwia życie kulturalne, nie wyznaczając w niczem jego istoty”. Gdybyż to było prawdą! Jakże wówczas obiecujące perspektywy rozwarłyby się przed pedagogami, którzy mogliby kształtować materiał ludzki, jak plastelinę! Tak jednak nie jest. Jeśli zgodzilibyśmy się — oczywiście — z tem, że warunki fizyczne, a więc i biologiczne, nie wyznaczają całkowicie rozwoju kulturalnego jednostki, tem niemniej jednak trudno nam byłoby nie zauważyć wpływu choćby klimatu na rozwój osobowości. Już Montesquieu wypowiadał pod tym względem cenne uwagi. To też bardzo ryzykowne wydaje się założenie autora: „W jakim stopniu wysyskane zostają kulturalnie dane możliwości organiczne osobnika i w jakim kierunku, na podstawie tych możliwości osobowość kulturalna się rozwija, tego nikt z badań nad organizmem przewidzieć, ani podobno — w tym momencie — wyjaśnić nie jest w stanie”. Nie trudno wykazać, że autor się tu myli. Znany jest dość powszechnie u nas wynik Międzynarodowego Konkursu Szopenowskiego w Warszawie. Los wówczas rozstrzygnął o pierwszej nagrodzie, którą zdobył Aleksander Uniński, podczas gdy druga nagroda przypadła niewidomemu Imre Ungarowi. I oto po paru latach jeden z najznakomitszych naszych pianistów, prof. Zbi-

gniew Drzewiecki, stwierdza po koncercie Ungara, jak słuszne było rozstrzygnięcie losu. Muzyka Ungara jest jakaś poszarpana, dzika, jakby skurczem bólu przepełniona (cytuje z pamięci, więc nie ręczę za dosłowność). Brak organiczny, jego skutki nie dały się wyeliminować, mimo korzystania przez niewidomego wirtuoza z wskazań niewątpliwie pierwszorzędnych mistrzów instrumentu i pedagogów. Czyż można więc mówić, że nie da się wyjaśnić, w jakim kierunku rozwija się osobowość kulturalna na podstawie możliwości organicznych — w sensie współwyznacznika — a nawet podobno — w tym momencie?

Tak zatem nasuwają się poważne zastrzeżenia w stosunku do założeń dzieła prof. Znanieckiego. W konsekwencji: i do wielu wyników. Niemniej — książka zasługuje na przeczytanie jako substrat dla samodzielnych rozmyślań. Przyjmując krytycznie wywody autora, uważny czytelnik zorientuje się szybko, jak dalece teren, na którym się porusza, jest naukowo jeszcze nieopracowany, i jak znaczne stąd wynikały trudności dla badacza. Nastręcza je w dużej mierze już samo zbieranie materiału: biografij jednostek. Łatwo zrozumieć, ile przeszkód piętrzy się na drodze zdobycia obiektywnych danych.

Najbardziej interesująca partja dzieła — to ta, która rozpatruje społeczność według prób, rozróżnionych na podstawie wpływów wychowawczych. Autor rozróżnia 3 główne klasy kręgów: wychowawcze (w znaczeniu ściślejszem), jak rodzina lub szkoła, kręgi pracy, jak gospodarstwo rolne, warsztat, fabryka, i kręgi zabawy, t. j. kręgi bawiących się rówieśników. Mają tu miejsce, oczywiście, kombinacje, a więc są także kręgi, które łączą w sobie cechy dwóch rodzajów, jak rodzina chłopska (wychowanie i praca).

„Každy z tych 3 rodzajów kręgów w odmienny, swoisty — zdaniem autora — sposób nakierowuje późniejszy bieg życia człowieka, rozwija pewne dążności osobotwórcze, przytłumia inne, słowem, wytwarza zupełnie odrębny typ biograficzny”. Tu znów przejawia się — jak w całej książce zresztą — jednostronność założeń autora. Typ biograficzny — by zostać w ramach terminologii prof. Znanieckiego — jest wypadkową całego zespołu czynników, z których wychowawczy jest niewątpliwie niezmiernie doniosły, — ale bynajmniej nie jedynie wyznaczający.

Autor jednakże konsekwentnie utrzymuje się w sieci swych założeń. I tak np. twierdzi, że „znajdujemy jednak ludzi, którzy zbaczają

w życiu swem od typowości tych 3 kategorii, poczęści wskutek niezwyklej kombinacji lub chaotyczności wpływów, którym w młodych latach podlegali, poczęści dzięki swej indywidualności". Coprawda, zwrot „dzięki swej indywidualności” zdaje się wprowadzać te czynniki, które autor pragnął w zupełności wyeliminować.

W zależności od wpływów kręgu wyróżnia autor ludzi dobrze wychowanych, ludzi pracy i ludzi zabawy. **L u d z i e d o b r z e w y c h o w a n i** — to ci, którzy całe dzieciństwo i młodość przeżyli pod wpływem przemocnym kręgów wychowawczych, albo wcale nie pracując w tym okresie, albo tylko praktykując w przygotowaniu do właściwej pracy, i których zabawy w kręgach rówieśników znajdowały się też pod wychowawczą kontrolą. **L u d z i e p r a c y** — to ci, których okres pracy, przynajmniej pomocniczej pod kierunkiem dorosłych, zaczął się wcześnie i trwał nieprzerwanie, mało zostawiając czasu na zabawę z rówieśnikami. **L u d z i e z a b a w y** — to ci, którzy podlegali wprowadzie i wpływom wychowawczym, i później być może, wpływom kręgów pracujących, lecz z jakichkolwiek powodów mogli znaczną część czasu spędzać w kręgach rówieśników bez kontroli starszych, które to kręgi wywarły przemożny wpływ. Wreszcie **L u d z i e z b o c z e n i c y** — to ci, których biografie nie podpadają pod żadną z powyższych klas.

Obszerna analiza tych różnych rodzajów niezawsze jest przekonująca. Trudno jednakże w tych szczyplwych ramach badać napomknąć o bogactwie myśli, problemów książki. Wspomnieć wypada jeszcze tylko w kilku słowach o części pierwszej dzieła: „Możliwość nowej cywilizacji”. Główny zarzut, jaki musi spotkać tu autora — to nie liczenie się z ujemnymi stronami psychiki ludzkiej, pominięcie tych czynników, które powodują, że niema społeczeństwa bez zbrodni. Jakżeby to wspaniałe było, gdyby dało się uregulować życie społeczne bez prawa karnego! Niemniej faktem jest, że marzenia takie są jedynie mrzonką. Statystyka dowodzi, że przestępstwa bynajmniej nie maleją z biegiem czasów, wprost przeciwnie — rosną i liczebnie i zakresowo, powstają bardziej wyrafinowane. Równó 100 lat temu Quetelet powiedział w swem znanem dziele „Sur l'homme et le développement de ses facultés ou essai de phylique morale”: „Il est un budget qu'on paye avec une régularité effrayante, c'est celui des prisons, des bagnes et des échafauds”. Prof. Znaniecki z nadmiernym optymizmem przeszedł nad temi sprawami do porządku, kreśląc obraz nie-

zmiernie bliski utopji. Dychotomja: albo zagłada, albo wspaniały, niczem niezmacony rozkwit cywilizacji nie wydaje się trafna. Życie nie jest albo białe, albo czarne, ale i białe i czarne, — i czerwone i zielone... Daremny też trud tego, kto chciałby je zamknąć w jednym tylko szablonie.

*

Nowe Państwo

To, co się dzieje poza granicami Rzeczypospolitej w dziedzinie przemian politycznych, nie może być dla nas — nieznane. Budując w sposób oryginalny zrebę własnej państwowości, nie możemy nie śledzić z uwagą eksperymentów i posunięć, głęboko sięgających w podstawy organizacji państw, już nie tylko europejskich. I to nie tylko ze względów czysto teoretycznej ciekawości. Nie. — Kto choć trochę myślał o sprawach społecznych, niechybnie musiał dojść do wniosku, że tutaj wszystko tak się zazębia, tworzy tak spójny kompleks, iż olbrzymiej przenikliwości wymaga znalezienie dla ostatniego ognia „skutku” — łańcucha, który doprowadzi do punktu zakotwiczenia.

W czasach naszych rozpowszechniło się szczególnie silnie świadome oddziaływanie na t. zw. opinię społeczną. Technika dostarczyła odpowiednich środków propagandy (radio, film i t. d.). To oddziaływanie jednak nie zawsze jest bezstronne, obiektywne. Częściej — raczej wprost przeciwnie.

Dlatego też wartość informacyjna takiego perjurydu, jak **Nowe Państwo**, redagowanego przez prof. Wacława Makowskiego, jest wprost proporcjonalna do jego wysokiego poziomu i bezstronności. **Pismo to, poświęcone zagadnieniom życia państwowego i międzynarodowego**, wydaje Polskie Towarzystwo Prawa Państwowego w Warszawie. Przeciętnie wychodzą 4 zeszyty rocznie w odstępach nieregularnych. Ostatnio ukazał się zeszyt 1 (13) tomu IV.

Zeszyt przedostatni rozpoczyna interesujące studjum p. Kazimierza Smogorzewskiego p. t. **Elementy „światopoglądu” narodowo-socjalistycznego**.

Niezmiernie ważne i aktualne zagadnienie porusza w swych uwagach p. Leon Zieleniewski (**Organizacja wewnętrzna monopartijj**). Szkic ten dowodzi — po raz nie wiem który — jak nauka nie może dotrzymać tempa życia. — Stanowisko partji „bolszewickiej” w Z. S. R. R. czy faszystowskiej w Italji jest całkowicie odmienne, niż sytuacja partji w ustroju t. zw. demokratyczno - liberalnym. Tak więc treść się zmienia, a nazwa i sposób podejścia pozostały. P. Zieleniewski, wska-

zując na niektóre różnice, proponuje nazwę „monopartja”. Pomijając to, że ten nowotwór językowy jest potworkiem (zlepek grecko - łaciński), wydaje mi się, że takie kompromisowe ujęcie (monopartja) jest już w założeniu sprzeczne. Oczywiście, zasadnicza kwestja to — definicja „partji”. Konstrukcja jednak teje musi być — jeśli ma być sensowna — odniesiona do układu, którym jest jedynie i wyłącznie t. zw. ustroj demokratyczno-liberalny (nie wnikając tu — z braku miejsca — w analizę tego ustroju). Partja (etymologicznie: pars) ogranicza swe aspiracje do pewnej podgrupy społeczności państwowej, uwzględniając w swym programie potrzeby, postulaty czy tendencje tylko tej podgrupy. Tak np. jakieś Stronnictwo Włościańskie ogranicza się w swym programie do włościan, nie negując wszakże potrzeby tak oczywiście, jak np. lekarzy i t. d. „Reprezentowanie interesów” — zostaliśmy przy żargonie partyjnym — innych podgrup pozostawia partja A partji B, C lub D. Tak więc w samym założeniu problemu: „partja” tkwi — w i e l o ś ć takich grup i w konsekwencji — w a l k a między temi grupami o przewagę w kompromisie, którym bywa — w tym układzie stosunków — polityka państwowa, lawirująca między sprzecznymi żądaniami partyj.

Takie natomiast organizacje, ugrupowania, jak przytoczone przez p. Zieleniewskiego, są w z a s a d z i e różne od partyj i odniesione mogą być tylko do odmiennego ustroju prawno - państwowego. Wprawdzie obecna „partja” bolszewików w Z. S. R. R. wywodzi się genetycznie z partji, działającej w innym ustroju prawno - politycznym, nie-

mniej jednak są to rzeczy całkowicie odmiennie. Wyłączność i w konsekwencji skierowanie selekcji organizacyjnej na całość społeczności państwowej — to cechy, które wymagają odrębnej konstrukcji dla ujęcia takiej grupy, tembardziej że zespolenie jej nie tylko faktyczne, lecz także p r a w n e z grupą państwową, choćby przez linję personalną stanowisk naczelnych, jest daleko posunięte. — Tyle na marginesie szkicu p. Zieleniewskiego.

Studjum do uzupełnienia statutu Wszechwzajemnej Partji Komunistycznej Z. S. R. R. z 10 lutego 1934. Jako ciekawostkę możnaby przytoczyć z art. 57 (O wewnętrznej partyjnej demokracji i partyjnej dyscyplinie) zdanie: „szeroka dyskusja... winna być w ten sposób zorganizowana, aby nie mogła ona doprowadzić do tego, by nieznaczna mniejszość próbowała narzucić swą wolę przeważającej większości partji...”

Dalej mamy statut Narodowego Komitetu Faszystowskiego, zatwierdzony dekretem królewskim z 17 listopada 1932.

Resztę zeszytu zajmują — prace Komisji Konstytucyjnej Senatu. Znajdujemy tu zatem ważny materiał: m o t y w y u s t a w o d a w c z e. Oprócz referatu senatora Wojciecha Rostworowskiego i zmian, zaproponowanych do projektu Ustawy Konstytucyjnej przez sprawozdawcę (p. Rostworowskiego) Komisji Konstytucyjnej Senatu, mamy streszczenie (według Djarjusza) dyskusji ogólnej w teje Komisji oraz opinij rzeczoznawców: prof. Starzyńskiego, prof. Komarnickiego, prof. Makowskiego, wicemarsz. Czerwskiego i prezesa Sławka.

Al. S.

Druk numeru ukończono 22 lipca 1935 r.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Chmielna 33 m. 5.

Tel. 2.75-34. Konto P. K. O. 518.

Godziny urzędowe Redakcji od 11 — 15.

Godziny urzędowe Administracji od 9 — 15.

Prenumerata: rocznie zł. 20.—, półrocznie zł. 10.—, kwartalnie zł. 5.—.

Zagraniczna kwartalna zł. 6,50.

Cena numeru pojedynczego zł. 2.—, podwójnego zł. 3.—.

Redaktor: WILAM HORZYCA

Redaktor odpowiedzialny: STANISŁAW PODWYSOCKI

Drukarnia Artystyczna, Warszawa, Nowy Świat 47, tel. 635-80 i 635-83.

